

SIECI



**NIK POTWIERDZA NASZE USTALENIA:
PAWLAK I TUSK DAROWALI
GAZPROMOWI MILIARDY!**

**JANECKI: O CO GRA BYŁA
PREZES SĄDU NAJWYŻSZEGO
MAŁGORZATA GERSDORF**



SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

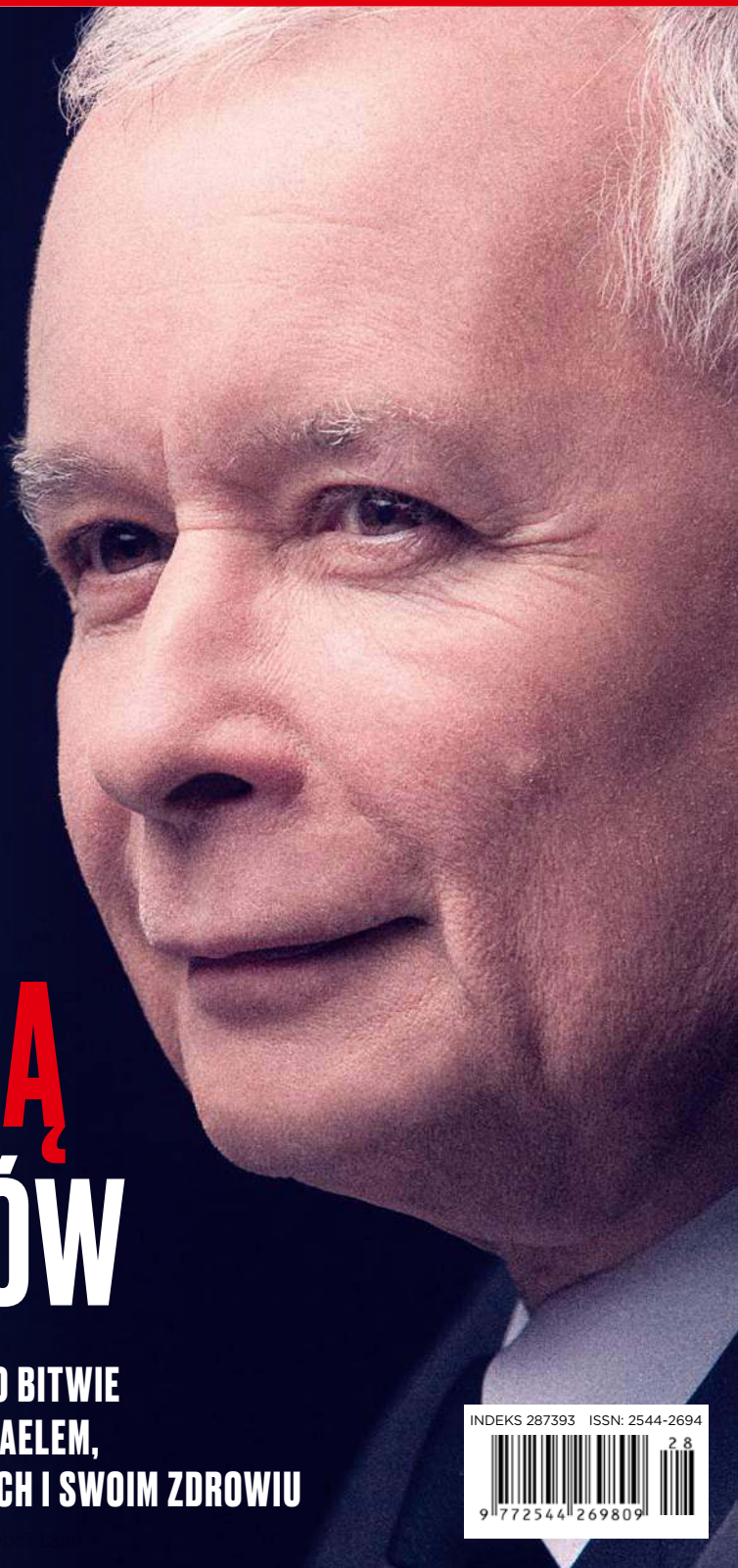
Nr 28 (293) 2018
9–15 lipca

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

JAROSŁAW KACZYŃSKI

W ROZMOWIE Z „SIECI”

OPOZYCJA PRZEGRAŁA OSTATNIE MIESIĄCE, BO JESTEŚMY NAPRAWDĘ DOBRA ZMIANA DLA MILIONÓW POLAKÓW



**PREZES PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI MÓWI NAM O BITWIE
O REFORMĘ SĄDÓW, RELACJACH Z UNIĄ ORAZ IZRAELEM,
POLITYCZNYCH PLANACH, DECYZJACH KADROWYCH I SWOIM ZDROWIU**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



28

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

150 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i miesięcznik
wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę
„Historia USA” o wartości 99,90 zł
otrzymasz **gratis!**



Sprawdź dostępność książek
na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70

prenumerata@fratria.pl

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kto może budować muzea?

Kiedy w czerwcu tego roku Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego poinformowało, że w Toruniu kosztem 70 mln zł powstanie Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II, media III RP wpadły w nerwowość. Znowu pisano o rzekomym imperium Rydzyka.

Kiedy w październiku 2014 r. otwarto Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin” w Warszawie, na które 340 mln w sumie wyłożyło to samo ministerstwo wraz z samorządem stołecznym, te same media przyjęły je z radością. I nas ucieszyło. Można mieć zastrzeżenia do wybiórczego doboru tematów organizowanych tam debat, ale nie zmienia to faktu, że polscy Żydzi, po tysiącu latach obecności, po straszliwej zbrodni zgotowanej im na okupowanej polskiej ziemi przez państwo niemieckie, zasługują także na takie upamiętnienie.

Ale dlaczego jedno muzeum jest złe, a drugie dobre? Wszystko wskazuje na to, że niektóre środowiska denerwuje utrata monopolu na budowę placówek muzealnych.

Postarajmy się jednak dostrzec w tych atakach i dobro. Mamy potwierdzenie, że nowoczesne muzea, będące żywymi ośrodkami promieniowania intelektualnego, są ważne dla życia narodowego. Pojawiła się odwaga, by takie przedsięwzięcia wspierać. I wreszcie – ojciec dyrektor Tadeusz Rydzyk wraz ze współpracownikami nie zwalniają tempa. Każdy, kto tam był, wie, że żadna złotówka nie jest zmarnowana, a powstają dzieła wielkie.

Michał Karnowski

Sukces musi się uleżeć

Każdy, kto zna i rozumie kontekst, wie, że uzyskanie od Tel Awiwu ustępstwa w sprawach historycznych, i to tak szczególnie ważnych jak te związane z Holocaustem, było zadaniem na granicy tego, co w ogóle możliwe. Dlatego deklaracja premierów Polski i Izraela, zawierająca i uznanie antypolonizmu za problem, i sprawiedliwą ocenę okresu wojennego, musi zostać uznana za sukces. To był majstersztyk dyplomatyczny. Z arcytrudnej sytuacji wyszliśmy i z twarzą, i nie bez poważnych zysków.

Zrezygnowaliśmy z ustawy, która po globalnym wecie i tak była już martwa.

Każdy dzień, który upływa od ogłoszenia deklaracji, potwierdza, że rząd Netanjahu również zapłacił sporą cenę za zakończenie gorącej fazy konfliktu, również położył na szali sporo kapitału politycznego. W opinii lewicy izraelskiej to polska narzuciła swoją opowieść. Ale i u nas wielu próbuje albo podważyć, albo ośmieszyć kruche porozumienie. Ręka w rękę pracują nad tym i narodowcy, i salonowcy. Konflikt polsko-żydowski jest w interesie wielu, często odległych od siebie, środowisk. Połączyła je kalkulacja, że zderzenie z potężnymi siłami o zasięgu światowym doprowadzi do obalenia rządu. Spodziewano się narastającej izolacji Polski, konfliktu z USA, jawnych i cichych sankcji.

Deklaracja powinna być początkiem uczciwej rozmowy na nowych warunkach. To trudne, ale nie ma innej drogi. Mam jednak wrażenie, że nie należy się z tym śpieszyć. Musi opaść pył bitewny, muszą opaść emocje, zwłaszcza w Izraelu i USA. Zbyt ostentacyjne i pośpieszne korzystanie z sukcesu może wszystko wywrócić. To wszystko musi się trochę uleżeć.

Jacek Karnowski





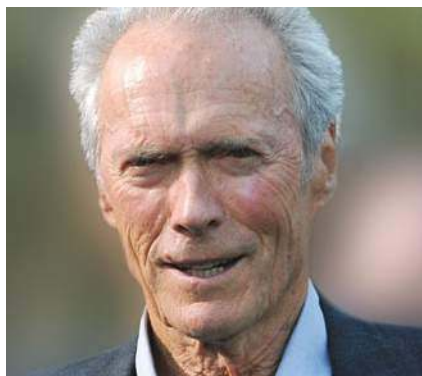
38

Z Konradem Szymańskim rozmawia Piotr Skwieceński



42

Jak założyć knebel na internet
Konrad Kołodziejski



51

Wolny jak Clint Eastwood
Lukasz Adamski

NA POCZĄTEK

- 6 NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista
- 8 CZŁOWIEK Z BEZNADZIEI**
Krzysztof Feusette
- 10 NA CZELE FIZYCZNEGO ODSUNIĘCIA**
Jan Pietrzak
- 11 CZY SĘDZIOWIE SĄ PRAWEM?**
Bronisław Wildstein
- 14 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieceński
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 W TROSCIE O KONSSENSUS**
Marta Kaczyńska
- 18 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 20 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 Z JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowsky
- 32 WAKACJE BEZ ZADYSZY**
Marcin Fijołek

KRAJ

- 34 GRY MAŁGORZATY GERSDORF**
Stanisław Janecki
- 38 Z KONRADEM SZYMAŃSKIM**
rozmawia Piotr Skwieceński
- 42 JAK ZAŁOŻYĆ KNEBEL NA INTERNET**
Konrad Kołodziejski
- 45 NIK NOKAUTUJE PAWLAKA**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 48 MIEJSKIE WAKACJE**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

- 51 WOLNY JAK CLINT EASTWOOD**
Łukasz Adamski
- 53 CNOTA MĘSTWA**
Łukasz Adamski
- 55 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 56 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 58 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

IMPRESJE

- 60 „ZAJĘCZA WARGA”**
Krzysztof Logan Tomaszewski

OPINIE

- 62 Z KS. BP. WIESŁAWEM ŚMIGŁEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

HISTORIA

- 65 MINISTER BECK MIAŁ RACJĘ**
Romuald Szeremietiew
- 70 ZAPOMNIANY PROROK**
Grzegorz Górny

ŚWIAT

- 74 SZCZYT, KTÓRY PODSYCIŁ KRYZYS**
Jan Rokita
- 77 NIE MOŻNA MIEĆ WSZYSTKIEGO**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

- 80 SZANSA NA INTEGRACJĘ W REJONIE TRÓJMORZA?**
Rafał Handzel

SPORT

- 80 KTO PO NAWALCE?**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

- 84 MOJE SMAKI: MARCIN KWAŚNY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 85 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 86 REALNE „CHECK AND BALANCE”**
Piotr Skwieceński
- 87 DOOKOŁA EUROPY**
Krystyna Grzybowska
- 88 KOCHAJĄC PABŁA, NIENAWIDZĄC ESCOBARA**
Dariusz Karłowicz
- 90 CASUS GERSDORF**
Wojciech Reszczyński
- 91 FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92 PRZECZYTAJCIE ŚLIWERSKIEGO**
Aleksander Nalaskowski
- 93 GANGSTA NA LEGALU**
Wiktor Świetlik
- 94 AZYL PRZED DEPRAWACJĄ**
Jan Pospieszalski
- 95 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 96 BRAMKA Z SIATKĄ**
Ryszard Makowski
- 97 Z PIOSENKĄ NA LATO**
Leszek Długosz
- 98 DEMOKRACJA NIELIBERALNA**
Andrzej Zybortowicz

ODRODZENIE MARYNARKI WOJENNEJ I POLSKICH STOCZNI

Budowa okrętów podwodnych Scorpène® w polskich stoczniach to:

- uzbrojenie Marynarki Wojennej w najpotężniejsze konwencjonalne okręty podwodne w NATO
- skok technologiczny dla polskich stoczni
- 2000 miejsc pracy w polskim przemyśle dzięki szerokiemu programowi współpracy przemysłowej



naval-group.com

NAVAL
GROUP

POWER AT SEA



Była I prezes Sądu Najwyższego **Małgorzata Gersdorf** bardzo chciała pójść na urlop, ale pre-sja salonu okazała się silniejsza i urlop trzeba było przesunąć o kilka pięknych dni. Była I prezes wyraźnie należy do tej grupy ludzi na wysokich stanowiskach, którzy po cichu stale zadają sobie pytanie: co ja tutaj robię? Jest ich, wbrew pozorom, wielu.

★ ★ ★

Co nie zmienia faktu, że w stanie spoczynku prezes Gersdorf będzie mogła się cieszyć dostatnim życiem. Ma oszczędności w kwocie 544 103 zł, fundusze i obligacje o wartości 2 594 499 zł, sześć działek o powierzchni od 1 635 do 23 639 m², prawie kilogram złota inwestycyjnego. Dodatkowo zarabia rocznie 200 tys. zł na Uniwersytecie Warszawskim oraz 42 tys. zł z tytułu praw autorskich. Niestety zamiast pochwałać zaradność, Polacy się dziwią.

★ ★ ★

Dziwić się jednak nie można, że w tej sytuacji, mimo medialnych zachęt i gróźb, większość zainteresowanych sędziów SN i NSA dostosowała się do ustawy o Sądzie Najwyższym. To jednak całkiem dobra robota, spokojna i przyjemna. Swoją drogą, czy to nie kuriozum, że po dokończeniu zmian będziemy mieli w Polsce 110 (!) sędziów w tej prestiżowej instytucji? Jak już posprzątają, coś z tym powinni zrobić.

★ ★ ★

Byłą I prezes zastąpił sędzia Józef Iwulski. Namaszczenie było podwójne: i przez Gersdorf, i przez prezydenta. Ale niespodziewanie na konferencji prasowej sędzia oświadczył: „Prezydent ani mnie nie wyznaczył, ani mi nie powierzył żadnych obowiązków”. I dobrze

się stało: droga do powołania kogoś bardziej koncyliacyjnego została otwarta. Rzepliński grał sprytniej, on by takiego błędu nie zrobił.

★ ★ ★



W obronie byłej I prezesa opozycja skrzyknęła tłumy, ale protesty były cieniem tych z zeszłego roku. Nie pomógł nawet **Wałęsa**, tym razem zresztą szczerzy („100 tys. to was tu nie ma, trzeba się rozmnożyć”). Nie było nawet 10 tys. Ale TVN łatwo się nie poddaje: ustawili kamery tam, gdzie kończyła się ludzka gęstwina, i powstało wrażenie, że plac jest pełen. Znają te sztuczki już od lat 80. ubiegłego wieku.

★ ★ ★

TVP kamery ustawiła tak, jak trzeba – na końcu placu. Za to jej berliński korespondent Cezary Gmyz huknął na Twitterze: „Sorry, ale jak słyszę, że taka szlampą jak I prezes SN robi za wzór cnót, to mi się miesiączka cofa”. Dostał oficjalną naganę od prezesa Kurskiego. Twitter to niebezpieczne narzędzie: są tweety, których nie da się już usunąć. Ale przeprosić zawsze można.

★ ★ ★

A sam prezes Kurski odniósł niemały sukces. Oto podczas Gali XVIII Festiwalu „Dwa Teatry – Sopot 2018” wygłosił przemowę do wybitnie salonowego towarzystwa. Ale tym razem, inaczej niż roku temu, żadnych podśmiewek, żadnych gwizdów, żadnych gestów. Telewizja ma pieniądze i sporo wydaje na sztukę wysoką. Aktorzy, a przynajmniej ich część, już wiedzą, kto w Polsce rządzi.

★ ★ ★

Deklaracja premierów Polski oraz Izraela – i związane z nią nadzieje na nowe otwarcie – to mała, krucha roślina, którą zgodnie chcą zdeptać ludzie „Wyborczej”, izraelska lewica i nasi narodowcy. Mają sukcesy. Rząd niestety trochę im pomógł: ogłoszenia w izraelskiej prasie (choć były na całym świecie) z treścią dokumentu rozwścieczyły wrogów Netanjahu. To był błąd, choć intencje dobre. Na tym kierunku co krok to mina. Trzeba myśleć.

★ ★ ★

„Wyborcza” porozumienie postanowiła początkowo... po prostu przemilczeć. Poza małą notką ani słowa. Nieciekawe? Nudne? Banalne? Ożywili się dopiero, gdy uznali, że deklarację można obalić. Ach, gdyby oni tak w 1989 czy 1990 r. powiedzieli Polakom, co naprawdę myślą o tym narodzie, jego historii i jego wartościach! Owszem, czasem to wylażyło, w maskowaniu się byli jednak bardzo sprawni.

★ ★ ★

Samo porozumienie negocjowano długie miesiące, na różnych poziomach: i premierów, i wysłanników. Brak zaufania był tak duży, że ambasador Azari nie wierzyła na słowo, że prezydent Duda podpisał ustawę, i domagała się... zdjęcia z podpisem. Oczywiście je dostała. Liczyły się minuty, bo jeśli wspólna konferencja premierów nie odbyłaby się o zaplanowanej godzinie, to nie odbyłaby się w ogóle.

★ ★ ★

tygodnia alisty

Liderzy obozu rządzącego są dumni, że sprawa do końca pozostała słodką tajemnicą kilku osób. Mimo że akt finałowy – czyli środa 27 czerwca – był bardzo precyzyjnie i konkretnie rozpisany, z podziałem na role. Nikt farby nie puścił. Widać ci, którzy zwykle puszczają, nie zostali dopuszczeni do tajemnicy. A opozycja była tak przerażona nadzwyczajnym posiedzeniem Sejmu, że spodziewała się wniosku o... samorozwiązanie parlamentu.

★ ★ ★

Premier Morawiecki wygłosił dobre przemówienie w Strasburgu, ale europosłowie mainstreamu tylko udawali, że słuchają. W czasie dyskusji woleli pojęczeć nad



losem Polaków umęczonych przez krwawy reżim. Przykład represji, który podał nie był kto, bo szef chadeków Manfred Weber, mówi wszystko: jego zdaniem Władysława Frasyniuka zatrzymano za to, że trzymał w ręku różę. Radio Erewań znów nadaje.

★ ★ ★

Europosłowie atakowali też premiera za stwierdzenie, że „ogromna większość, 80–90 proc.” mediów „prezentuje krytyczne wobec władzy poglądy”. Domagali się... badań naukowych. Dobrze. Ale może najpierw zbadaliby, jaki procent mediów jest krytyczny wobec władzy np. w Niemczech czy we Francji? Tak,

racja, nie ma co badać, wszystko widać i słyszać gołym okiem.

★ ★ ★

A nasza opozycja w Brukseli nie próżnuje. Pewna dziennikarka złapała ich ostatnio za rękę: nakłaniali posłów do Parlamentu Europejskiego z innych państw, by rozmawiali wyłącznie z mediami III RP. Robili to całkiem profesjonalnie, bo chętni otrzymali listy mediów słusznych i niesłusznych. I pomyśleć, że ci ludzie nie mają nawet programu, a postulat, by jednak coś skrobnęli, uważają za idiotyzm.

★ ★ ★

Na rynku jest już książka lewicowca Jakuba Dymka „Nowi barbarzyńcy”. O Trumpie, Putinie i Kaczyńskim. Próba odpowiedzi na rozterki liberałów zawarte w dramatycznym pytaniu: „Co się u licha dzieje ostatnio ze światem?”. W kontekście polskim sporo o zasługach mediów konserwatywnych, które powstały niemal z niczego, a umożliwiły zmianę. Tak to już jest na tym świecie, że najszybciej doceni cię wróg.

★ ★ ★

Solaris, największy polski producent autobusów, będzie sprzedany hiszpańskiemu koncernowi CAF. Za 300 mln euro, czyli za pieniądze nie tak znowu kosmiczne. Dlaczego w Polsce nie znalazł się nikt, kto mógłby uratować jedną z naszych sztandarowych firm od wykupu? Ciekawe pytanie. Wielu w obozie rządzącym myślało nad problemem, ale ostatecznie wyszło jak zawsze. Marzenie o silnej polskiej marce, która podbije rynki, odjechało. Adios!

★ ★ ★

W morzu połajanek w prasie izraelskiej, niemieckiej i amerykańskiej miła perełka: prof. Daniel Pipes na łamach „The Washington Times” ocenił, że to Polska będzie miejscem schronienia dla mieszkańców państw Europy Zachod-

niej, gdy już islam przejdzie od słów do czynów. A prof. Pipes to nie był kto: już w 1985 r. ostrzegał przed zagrożeniem islamskim fundamentalizmem. I ładnie mówi o PiS: „cywilizacji”. Bo broń cywilizacji.

★ ★ ★

Nie tylko zachodnia prasa łaja Polskę, lecz i nasi dziennikarze goszczący w zachodnich ambasadach na rozmaitych lunchach. Jeden z uczestników takiego spotkania nie krył szoku, którego doznał, gdy pojawił się po raz pierwszy. Bo – jak relacjonuje – to nie jest dyskusja o sprawach międzynarodowych. To rodzaj wyścigu, kto bardziej dołoży, kto bardziej wyszydzi rządzących. To, co widzimy na łamach, to przy tym pikus.

★ ★ ★

Nowy i bardzo młody premier Austrii Sebastian Kurz miał być antysystemowym lwiatkiem Europy, ale szybko się okazało, że to raczej kociak nie tylko udomowiony, lecz wręcz bardzo grzeczny. Politycy europejscy z rozbrawieniem opowiadają sobie, jak to jest ostentacyjnie uległy wobec Merkel, jak milknie na spotkaniach Rady Europejskiej, gdy tylko następczyni Bismarcka krzywo na niego spojrzysz. A gdy mówi, to pachnie banałem na kilometr.

★ ★ ★

Kancelarz Merkel

znów broni swojej decyzji o otwarciu granic dla uchodźców w 2015 r. Ale tym razem inaczej. „Zrobiliśmy to, by pomóc Austrii oraz Węgrom” – oświadczyła niespodziewanie.



Skąd my znamy te erystyczno-propagandowe sztuczki? Czy aby nie z przeszłości? Narody zmieniają się mniej, niż im się samym wydaje.

Człowiek z beznadziei

Spokojnie, to nikomu nic siem nie stanie. To nie jest zamach stana, tylko fizyczne odsunięcie kaczyńskiego reżymu. Niech was nie zmyli czarna rajstopa na głowie, jestem przytomny na ciele i rozmyśle. Słuchać mnie teraz! Mylczęć i kombynować, bo nie bendem powtarzać. Mam pistoleta i nie zawaham się go użyć. Najsamwpierv chcem pałować, potem wyrzucać przez okno, a na końcu strzelać. Albo nie – najpierv strzelać, potem pałować... Nie, no ludzie złoci, to jest bez sensu. To może najsampierv wyrzucać... Tylko po co wtedy pistolet? Dobra, jeszcze przemysłem.

Bo tu nie chodzi o żadną rewolucję, tylko o wsadzenie do ciupy nielegalnie wybranej władzy. Dlaczego nielegalnie? Już podpowiadam. A czy ktoś siem mnie pytał o opinię, jak ich wybierali? Czy ktoś przyszedł i powiedział: panie Bolku, tfu, panie Lechu, królu naszej wolności, jest tak i tak, i my chcemy głosować na pysiorów, co pan na to? Nikt, nikogo! Prosiłem, dajcie mi dwa miliony ludzi. Potem zeszłem na połowę, teraz wam mówię: psia wasza maciora, niech stracę – dajcie chociaż sto tysięcy! To przyjadę z bronią, a może nawet z Bronkiem, bo on też chciał się walić. To znaczy dechom, nie z broni palnej, ale przecież nie w tej Budzie Rosyjskiej dechami zabytej (bo dechom można zabyć!), tylko we stolicy. Pamiętam, jak opowiadał, jak z Głuszcem na palikoty jeździł. Albo odwrotnie. Więc przyjadę i zrobię takiego porządku konstytucyjnego, że posłanka Mucha nie siedzi.

Na margyniesie – tak się odgrażały, że platfusów posadzę, i co? Jednego Gawłowskiego zamkli, a i to za kanapki. No ludzie kochane, jak można człowieka pociongać w majestacie prawa – za to, co on żre? Dlatego niezależnie od tego pistoletu powołuję komiteta obywatelskiego w takim składzie, że mózg staje. Nie trzeba mnieć palnej. Na ten przykład pan Olbrychski, zaraz, jak on mniał na imnie? Donald chyba... Albo Jeleń? W każdym razie szablom umnie machać.

Jest też Władek Frasyniuk, który się pałom nigdy nie kłaniał. Mnieśsem rzucić potrafi, z piąchy przywalić, policjanta nawet ostatnio popychał. Albo ta pani Róża von coś tam szacher macher, też kawał chłopca. A jakby jej jeszcze zatrutem dzidę w łapę wpakować, to pięciu gliniarzy nie da rady. Wziełem se też Boniego, żeby napoje donosił. Bendzie mógł kiedyś mówić, że donosił, ale nikomu nie szkodził. No ludzie kochane, co on mnie takie pierdoły tłumaczy, jak ja sam wiem najlepiej, czym się tewu zajmowały. Myśmy tych ubeków w giertycha robili, i ja ztem do zwyciężył, a Boni siem przyznał. To znaczy najpierv nie, a potem już tak, jak go ipey namierzali.



KRZYSZTOF FEUSETTE

Kogo ja tam jeszcze zgromadziłem, muszę w kartkę zerknąć. O, Kalysz jest na przykład. Paczcie państwo, jak to siem dziwnie w życiu plecie, że myśmy kiedyś z Kwaśniewskimi walczyli, a dziś ramnie w ramnie, jak drzwi w Kyszcakowej szafie, będziem Kaczora na stos prowadzili. Ten Kalysz to nawet pistoletu nie musi mieć – jak go na wyjściu z Sejmu postawię, to mnie żaden pisowiec nie ucieknie. A nawet jakby uciekł, to mam jeszcze jednego aktora, bardzo dobrego na takie okazje. Mówiem, oczywiście, o panu Janku Kosie, to znaczy Pedrosie, który w tych słynnych pancernych występował. Jak on czołgiem się stawi na wizawie Dudowego pałaca, to mi żaden reżym nie podskoczy. Tak siem tylko jeszcze zastanawiamy w gronie doradców, czy ten czołg w obecnej sytuacji powinien siem jeszcze nazywać „Rudy”, czy może po prostu „Tusk”, bo w ostatecznym bilansie wyjdzie na jedno.

A jakby ktoś siem burzył, że to jest jakiś zamach stanu, to mu członek naszego Komiteta, dożywotni prezes Trybunału Konstytucyjnego, jego eksceslencja profesor doktor rehabilitowany Rzepliński wytłumaczy, dlaczego można Walensę na chwilem obecnym w zupę romana pocałować. Pani Jandzia Krystyna mu to wyrecytuje, a Holendrowa nakręci i jeszcze Złotą Plamę zgarniemy.

Tylko mnie dajcie być trochę dyktatorem. Bo pan Wajda mnie na ten przykład nie słuchał i wyszło, jak wyszło, z tym jego „Walensa. Człowiek z beznadziei”. Więc podsumowując – jest pistolet, jest zabawa. I żeby nie było, że sobie żywa lygenda jakieś jaja stroi, to muszę od razu zaznaczyć, że to nie jest pistolet na wodę ani na kapyszony albo farbę natryskową, tylko normalnie – do strzelania. Dawno ztem tego nie robił, ostatni raz to chyba wtedy, jak mnie Danuta odwiodła. W planie chciałem wygarnąć, tak mnie te Cenckiewicz i Gontarczyki wnerwiły. Wcześniej to i do Mniatki siem strzelało, jak kapcie krzywo położył, i do tarczy z Wyszowskiego zdjęciem, albo jak się ryby w podbieraku głupio patrzyli... Ale ja sobie to strzelanie przypomnę. Mogli Jaruzelski z Kyszcakiem, może pokojowy noblista.

To teraz na koniec: czy som jakieś pytania albo niejasności, bo pamiętajcie, że ja szybciej mówię, niż wy myślicie. Nie wydzę. W ogóle nikogo nie wydzę. Dlatego za pomocą internetu informuję, co następuje: nie chcę i nie muszę, ale staję przed wami z tym oto pistoletem i pytam: czy mam być na czele fizycznego odsunięcia głównego sprawcy wszystkich nieszczęść? Nie muszę dodawać, że tutaj nie o moje życiowe nieszczęścia się rozchodzi, bo przecież nie bendem sam siebie z pistoletem ganiał. Zresztom, to prezent jest tylko. Kłauy mnie dali w uznaniu zasług.

Muzykami nie jesteśmy, ale...

GRAMY NAJLEPIEJ W POLSCE

Trójka
POLSKIE RADIO



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Na czele fizycznego odsunięcia

Oj, dzieje się, dzieje... Czasami nie zdążymy ogarnąć, co właściwie się zdarzyło w mijającym tygodniu, a już nadciąga następna burza informacyjna z gradobiciem. Samo przesianie wiadomości prawdziwych od kłamliwych jest niełatwe. W szumie zmyłkowych komentarzy, prowokacyjnych opinii można stracić orientację, gdzie prawda, gdzie bujda na resorach.

Którejś nocy zobaczyłem w internecie, jak Lech Wałęsa zapowiada, że „staje na czele fizycznego odsunięcia sprawcy wszystkich nieszczęść”. Myślałem, że to zgrzytliwy hejt. Okazało się, że on tak naprawdę. Nie chciałem przeoczyć takiego cyrku, kiedy Wałęsa „na czele” Rzeplińskiego i Gersdorff, z bronią w ręku, odsuwa nieszczęścia, cokolwiek by to znaczyło. Intrygujący pomysł. Profesorowie prawa potrzebują mądrego przywódcy, który „fizycznie” uczyni to, czego oni umyślowo nie potrafili zrobić, nieboraki.

Realizacja pomysłu 4 lipca była rozczarowująca. Rutynowe głędzenie nierozumnych nerwusów. Oto przez nadzwyczajną



Jan
Pietrzak

kastę został osiągnięty taki poziom absurdu, że można go tłumaczyć jedynie jakimś dopalaczem. Oczywiście jest wielu mądrych ludzi w środowisku sędziowskim, ale hałaśliwa grupa jest „mądra inaczej”. To są prawnicy z licencją poprawności politycznej od ga-ga-gazety et consortes. Nie zauważyli, że ta poprawność narzucana w ciągu dwudziestu paru lat III RP, przez kilka ośrodków medialnych i agenturalnych, stała się szkodliwa jak niegdyś czerwona zaraza. Polacy stracili cierpliwość i kartką wyborczą zaprotestowali przeciwko fałszywej ideologii rządzących od 1989 r. „jelit”, które sobie wmówiły, że są rzeczywistą elitą „w tym kraju” – jak mówią.

Wybory w 2015 r. wygrała Polska niepoprawna, za to mądrzejsza i uczciwsza. Układy, mafie, sitwy wyłapywane przez CBA i inne służby zaczęły zeznawać przed sądami. To rodzi strach i wściekłość wśród tych, którzy mają coś za uszami, tak jak sławetny Wałęsa właśnie, który staje na czele licznych „Bolków”, by „odsunąć fizycznie” spodziewane wyroki... Oj, będzie się działo.

W tej rodzinie kocha się sztukę

Z **Andrzejem Pągowskim**,
artystą grafikiem, rozmawia
Jolanta Gajda-Zadworna

To dość nietypowe: świętować 40-lecie pracy twórczej i jednocześnie debiutować.

Andrzej Pągowski: Mam na to proste wytłumaczenie: Andrzej Pągowski plakacista jest traktowany jako osoba z historią, a współczesność nie zawsze ma zlecenia dla historii; dla dziedzictwa narodowego, dla ikony popkultury, a takimi terminami ludzie mnie określają. Tymczasem, choć wciąż jestem w formie i swój zawód cały czas uprawiam na pełnych obrotach, realia są takie, że nie reżyser Filip Bajon decyduje o tym, kto wykona plakat do jego filmu „Kamerdyner” (premiera we wrześniu), tylko producent, dystrybutor. Ich wiarę – że mogę, że potrafię, że dam radę – musiałem sobie zaskarbić.

I sięgnął pan po formę plakatu do tej pory omijaną szerokim łukiem?

Sięgnąłem, ale na moich warunkach. Miałem do dyspozycji parę głównych aktorów – Sebastiana Fabijańskiego i Mariannę Zydek – którzy mi ten plakat, w kostiumach, na planie „zagrali”. Mogłem ich wyreżyserować, pokazując to, co widzów niezmiennie przyciąga, czyli miłość. W tym filmie rozwijającą się na tle dramatycznych, historycznych zawirowań. I w oczach, mimice aktorów wszystko jest.

Dzięki „Kamerdynerowi” zadebiutował pan jako autor plakatu komercyjnego, ale film przyniósł panu też prywatną niespodziankę.

To prawda. Okazało się, że Marianna, odtwórczyni głównej kobiecej roli, jest moją kuzynką. Jej prababka i moja babka były siostrami. Piękna historia. I pokazuje, że w tej rodzinie kocha się sztukę.



Fot. Niemce/AKPA

Czy sędziowie są prawem?

Ustawa o Sądzie Najwyższym weszła w życie i nie wydaje się, aby chwilowa awantura o „urlop” jej dotychczasowej prezes Małgorzaty Gersdorf mogła tu coś zmienić. Dziwić może kontredans wokół jej zastępcy/następcy Józefa Iwulskiego, który deklaruje, że Gersdorf pozostaje na stanowisku, co oznacza, iż lekceważy obowiązujące dziś w Polsce prawo. Jest to podstawowy argument, aby zachowujący się w ten sposób sędzia nie tylko nie pełnił żadnej funkcji publicznej, lecz w ogóle nie zajmował się sędziowaniem. Zgoda prezydenta na to, aby pomimo osiągnięcia wieku emerytalnego przedłużyć Iwulskiemu możliwość orzekania, nie mówiąc już o wyznaczeniu go na stanowisko następcy Gersdorf, wydaje się po prostu. Sprawa jednak nie jest specjalnie ważna, chociaż gorsząca. Najprawdopodobniej już za miesiąc wybrany zostanie nowy prezes SN i wszystkie te niejasności okażą się mało znaczące.

Są one jednak interesujące, aby prześledzić mentalność sędziowskiego – i nie tylko – establishmentu w III RP i stada jego bezrefleksyjnych zwolenników.

Przeciwnicy obecnej ustawy podnoszą, że skoro w konstytucji w art. 183 zapisane jest, iż prezes SN powołany jest na sześć lat, to żadna okoliczność nie może przerwać jego kadencji.

Czy na pewno? A jeśli popełni on przestępstwo i trafi do więzienia? A jeśli zwariuje? Nic na ten temat w konstytucji nie ma, a więc wynika z tego, że – zdaniem rzeczników Gersdorf i jej samej – nadal będzie zarządzał SN. Bo wbrew zabobonnemu podejściu do konstytucji, czyli wierze, że rozwiązuje ona wszystkie problemy i reguluje każdą sytuację, żadna norma prawna nie jest w stanie – na szczęście – ująć całości ludzkich spraw i dlatego potrzebujemy polityki.

Zostawmy jednak te hipotetyczne rozważania i odwołajmy się do litery konstytucji. Jej artykuł 180 stwierdza: „Ustawa określa granicę wieku, po osiągnięciu której sędziowie przechodzą w stan spoczynku. [...] W razie zmiany ustroju sądów lub zmiany granic okręgów sądowych wolno sędziego przenosić do innego sądu lub w stan spoczynku z pozostawieniem mu pełnego uposażenia”.

O tym, kiedy sędziowie odchodzą w stan spoczynku, tak jak i o organizacji pracy sądów, a więc tym, kto w nich pra-

cjuje, decyduje parlament, czyli ustawodawca. Nowa ustawa o SN i wieku emerytalnym sędziów, w konsekwencji której m.in. prezes Gersdorf traci swoje stanowisko, jest zgodna z literą ustawy najwyższej.

Przyjmijmy jednak, wbrew oczywistościom, że przytaczane zapisy konstytucji wchodzą z sobą w kolizję. Nic nie stało na przeszkodzie, aby Gersdorf czy wspierające ją instytucje zwróciły się do Trybunału Konstytucyjnego o ocenę zgodności z nią nowego prawa, gdyż tylko to ciało, zgodnie z porządkiem prawnym RP, jest w stanie tego dokonać. Nikt jednak tego nie uczynił. Była prezes SN sugeruje, a jej poplecznicy mówią to wprost, że nie uznają TK w obecnym kształcie.

Jest to najbardziej szokująca lekcja, jaką moglibyśmy otrzymać od najwyższych rangą funkcjonariuszy prawa. Deklarują oni, że państwo i jego instytucje akceptować będą zależnie od tego, kto do nich zostanie wybrany, a więc że nie szanują ich ani nie mają zamiaru przestrzegać prawa. Chyba że takiego, które sami będą ustanawiać i egzekwować. Prawo utożsamiają więc ze swoją władzą.

Prawnicy III RP (nie tylko zresztą oni) uznali się faktycznie za władzę ustawodawczą i za kasę, która decyduje o wszystkim w państwie. Lekceważą zupełnie reguły demokracji i tradycyjnego podziału władzy, który za ustawodawcę uznaje wybierany przez naród parlament. Czasami mówią to wprost. „W demokratycznym państwie prawnym suwerenem nie są wyborcy. Suwerenem są wartości znajdujące się w prawie, a na straży tych wartości stoją niezależne sądy i niezawisli sędziowie” – zadeklarował, budząc owacje, na ostatnim Kongresie Prawników Polskich prof. Wojciech Popiołek, kierownik Katedry

Prawa Cywilnego i Prawa Prywatnego Międzynarodowego na UŚ, członek Komitetu Nauk Prawnych PAN. Innymi słowy – sędziowie to bramin, którzy jedyni, mocą swoich intelektów, są w stanie rozumieć i interpretować prawo. Wynika z tego, że sędziowie to prawo.

Ostatnio Gersdorf ogłosiła, że to konstytucja stworzyła naród. Skoro stworzyła, to może go rozwiązać, a w każdym razie odwołać się do Brukseli, aby to zrobiła. Na szczęście wygląda na to, że to naród jest w stanie rozważać szczególną kasę i odbudować władzę sądowniczą, która winna pełnić funkcję służebną wobec powołującej ją wspólnoty.







Rozmowa z magnetofonami?

Telewizyjne relacje, z założenia skrócone, nie oddały dobrze tego, co we środę działo się w Parlamencie Europejskim w Strasburgu. Prezentacja przez premiera Mateusza Morawieckiego polskiej wizji Europy (w ramach cyklicznych zaproszeń dla szefów rządów państw unijnych) wypadła dynamicznie i świeżo, ale stała się też dla europejskiego establishmentu okazją do ataku na nasze reformy. Był to szokujący pokaz nieznamość faktów połączony z ideologicznym zacietrzewieniem. Europosłowie czytali z kartek, mieszając Sąd Najwyższy z Trybunałem Konstytucyjnym, rysując wizję państwa, w którym opozycjoniści są „aresztowani tylko za to, że trzymali białą różę”, gdzie nie ma już wolności mediów, a kobiety straciły swoje prawa. „Panie premierze, jak widać, to, co pada w tej Izbie, jest beznadziejnie przewidywalne. Nikt nie jest zainteresowany przyszłością Europy, za to widać gruby mur półprawd, mistyfikacji, kłamstw o Polsce. Ta Izba nie słucha argumentów, nie słyszy kontrargumentów, tylko mamy zastraszanie, obrzucanie błotem” – stwierdził w swoim wystąpieniu prof. Ryszard Legutko, współprzewodniczący frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów.

Ale premier Morawiecki podjął wyzwanie. Mimo wyraźnych prób sprowokowania go, w tym przez wyjątkowo obcesowe przemówienie Manfreda Webera, niemieckiego szefa Europejskiej Partii Ludowej, zachował spokój i ponawiał apele o spokojną rozmowę. Przypomniat, że Europejczycy z Zachodu nigdy nie doświadczali komunizmu, nie wiedzą więc, czym jest odziedziczone po tym systemie, niemal niereformo-

wane, sądownictwo. „Wymiar sprawiedliwości przez lata był pobłażliwy dla przestępców, w sądach zapadały wyjątkowo niskie kary, mówiono nam, że tak musi być, że nic się z tym nie da zrobić. My pokazaliśmy, że się da. Państwo i społeczeństwo nie może być okradane przez bandytów, przez mafie VAT-owskie. Dzięki tej walce zmniejszyliśmy o 95 proc. poziom ubóstwa” – podkreślił Morawiecki. I zaproponował debatę o tym, jak z tych doświadczeń mogłaby skorzystać cała Unia.

Przypominało to jednak rozmowę z magnetofonami. Polski premier podawał argumenty, a europosłowie wstawali i znowu czytali to, co im nadesłano, jakby z ulicy Czerskiej. Choć ze strony konserwatywnej mniejszości w Parlamencie Europejskim Mateusz Morawiecki zebrał kilkakrotnie duże brawa. Między innymi gdy stwierdził, że Unia, zamiast żądać coraz to nowych uprawnień i budować superpaństwo, powinna wrócić do źródeł, do dyskusji, współpracy, koordynacji działań. „To jest jej DNA, to jest jej gen wolności. Gdy się to ludziom zabiera, zaczynają się buntować. I to drżenie ziemi słysząc już w wielu państwach” – podkreślił.

Jaki więc bilans? Batalia była twarda, choć ze strony większości w Parlamencie Europejskim mocno zakłamana. Jednak kropla drąży skałę, kilka argumentów premiera zrobiło duże wrażenie, trochę wiedzy dotarło. Trzeba dalej iść tą drogą, nie można się dać zastraszyć, zmusić do zamknięcia w obronie polskich reform. W sumie na plus.

Michał Karnowski ze Strasburga

Balansowanie na skraju przepaści

Kancelerz Angela Merkel i szef MSW Horst Seehofer przez dwa tygodnie spierali się o metodę zapobiegania tzw. migracji wtórnej – czyli przedostawaniu się do Niemiec „uchodźców”, którzy zostali już jako tacy zarejestrowani w innym kraju Unii. Seehofer i jego bawarska CSU domagali się odsyłania „turystów azylowych” prosto z granicy. Merkel i CDU stały na stanowisku, że Niemcy nie powinny działać w pojedynkę, tylko wspólnie z partnerami z UE. Były premier Bawarii postawił pani kanclerz w końcu ultimatum: albo przekona inne kraje Unii do współpracy, albo on, Seehofer, zrealizuje „samowolnie” swój plan migracyjny.

Koalicja zawisła dosłownie na włosku i przez chwilę wyglądało na to, że Niemcy czekają przyspieszone wybory. Merkel udało się jednak uzyskać zgodę kilku państw na przyjmowanie „wtórnych imigrantów” i CDU/CSU udało się wypracować kompromis. Jest nim powstanie „ośrodków tranzytowych”

przy granicy austriackiej, które geograficznie będą się znajdowały na terenie Niemiec, ale „prawnie” nie. W tych ośrodkach wtórni azylanci będą oddzielani od tych pierwotnych, a następnie odsyłani m.in. do Grecji, Hiszpanii czy Austrii.

Tyle w teorii. W praktyce bowiem trochę potrwa, zanim ośrodki powstaną, a plany Merkel i Seehofera wywołały duży niepokój w Wiedniu. Władze Austrii, która sprawuje półroczne przewodnictwo w UE, ogłosiły, że są gotowe podjąć podobne środki i zawracać osoby ubiegające się o azyl na swej południowej granicy, co grozi efektem domina. O zamknięciu granic mówią bowiem również Włochy i Słowenia.

Jednak kompromis niemieckich chadeków nie został uzgodniony nie tylko z Austrią, lecz także z partnerem koalicyjnym SPD. Współrządzającym z chadekami socjaldemokratom trudno będzie go zaakceptować bez utraty twarzy, gdyż partia ta zdecydowanie sprzeciwiała się

takim propozycjom podczas formowania koalicji.

Eksperci zaś zauważają, że „ośrodki tranzytowe” nie rozwiążą problemu turystów azylowych, gdyż 73 proc. imigrantów już teraz wjeżdża do Niemiec inną drogą niż przez Austrię. Powstanie ośrodków zwiększy więc tylko liczbę przekroczeń granicy w Saksonii, Turynii czy Badenii-Wirtembergii. Układ Seehofer-Merkel doprowadzi więc jedynie do przesunięcia problemu, a nie jego rozwiązania.

Dlatego trudno się oprzeć wrażeniu, że kompromis partii chadeckich powstał głównie po to, by pozwolić ich liderom wyjść z twarzą ze sporu, który obnażył ich słabości. Dalsze trwanie koalicji mimo chwilowego zażegnania sporu nie jest więc wcale pewne. CSU zapewne zaliczy poważne straty w wyborach w Bawarii na jesieni, a CDU – w Hesji. Obie partie są wewnętrznie podzielone i czeka je dalsza degrengolada. Skorzysta na tym przede wszystkim Alternatywa dla Niemiec. Zdezelowany budynek musi się w końcu zawalić. A Merkel to dziś przede wszystkim synonim upadającego politycznego systemu.

Aleksandra Rybińska

Szlakiem bitew przyszłości?

381. Gwardyjski Artyleryjski Pułk Warszawski, nagrodzony orderami Czerwonej Gwiazdy, Suworowa i Kutuzowa – tak od 30 czerwca brzmi pełna nazwa pułku rosyjskiej artylerii spod Rostowa. Na mocy dekretu prezydenta Putina w podobny sposób „uhonorowano” oprócz Warszawy kilka innych miast, tyle że ukraińskich i białoruskich. Także niemieckich.

Zwyczaj nadawania jednostkom wojskowym nazw pochodzących od miejsc, w których zostały sformowane lub gdzie stoczyły bitwy, nie jest nowy. Przed 1989 r. w LWP również istniały przeróżne pułki brandenburskie, łuzyckie lub budziżyńskie. Co jednak ma wspólnego 381. pułk rosyjskiej artylerii z Warszawą? Wydaje się, że nie.

Ten niedawno sformowany pułk kontynuuje tradycję innego pułku o tym samym numerze, który wziął udział w bitwie pod Stalingradem, a potem przeszedł długi szlak bojowy przez Krym, Ukrainę i Białoruś na Litwę. Z Litwy przerzucono go na Śląsk, skąd na koniec wojny dotarł do czeskiej Pragi. Nigdzie jednak nie ma mowy o tym, aby ten oddział walczył o Warszawę. Skąd więc pomysł, aby jego współczesny następca miał w nazwie stolicę Polski?



Co jeszcze ciekawsze, dzisiejszy 381. pułk wchodzi w skład 150. dywizji zmechanizowanej (również nowo sformowanej), której oddziały są rozmieszczone wzdłuż wschodniej granicy Ukrainy. Dowódcą tych wojsk został świeżo awansowany na generała Piotr Bolgariew, dowodzący w latach 2015–2016 – jak twierdzi ukraiński wywiad – oddziałem rebeliantów z Ługańska. A jeśli dodać do tego, że większość pułków wchodzących – podobnie jak ten „warszawski” – w skład 150. dywizji nosi nazwy pochodzące od ukraińskich miast (np. 6. Gwardyjski Lwowski Pułk Człogów), to nie sposób uciec od wrażenia, że być może Putinowi chodzi nie tyle o uhonorowanie dawnych miejsc bitew, ile raczej o zasugerowanie tych przyszłych.

Wszystko to wygląda dość prowokacyjnie. Zwłaszcza że 381. „warszawski” pułk nagrodzony jest orderem Suworowa. Tego samego, którego żołnierze w 1794 r. wymordowali 20 tys. mieszkańców podwarszawskiej wówczas Pragi.

Konrad Kołodziejski

I lipca patriarcha ekumeniczny Konstantynopola Bartłomiej wypowiedział słowa, które w Moskwie odebrane zostały niczym grom z jasnego nieba. Duchowy zwierzchnik prawosławia stwierdził: „Nasz Tron nigdy nie uznał podziału metropolii kijowskiej oraz zależnych od niej Kościołów prawosławnych na Litwie i w Polsce oraz ich przystąpienia do Kościoła moskiewskiego, dokonanego wbrew kanonom i przy nieszanowaniu praw metropolity kijowskiego, który nosił tytuł egzarchy patriarchatu ekumenicznego”. Te słowa to nie tylko wyzwanie rzucone patriarchatowi Wszechrusi i Moskwy. To zapowiedź poważnych zmian na religijnej mapie Europy.

Kluczową rolę odgrywa tu Ukraina, która jest krajem o wiele bardziej rozbudowanym religijnie od Rosji. Choć liczy ona ponad trzy razy mniej ludności niż FR, ma więcej parafii prawosławnych i praktykujących wiernych. Te statystyki podważają hegemonię Moskwy w światowym prawosławiu. Dominacja w nim Rosji wynika

bowiem w dużym stopniu z tego, że uchodzi ona za kraj o największej liczbie parafii i wiernych. Tymczasem ponad połowa z nich znajduje się na Ukrainie.

Problem polega na tym, że Ukraińcy, choć mają swoje niepodległe państwo, nie posiadają własnego

Kościoła narodowego, tak jak mają go prawosławni w Rumunii, Bułgarii, Grecji, Finlandii czy nawet w Polsce. Egzarchat kijowski jest bowiem częścią pa-

triarchatu moskiewskiego, który nie godzi się na powstanie niezależnego (autokefalicznego) Kościoła ukraińskiego. Gdyby do tego doszło, Rosja mogłaby utracić swoją dominującą pozycję w prawosławiu. Także historia przyznaje prymat nie Moskwie, lecz Kijowowi, gdzie dokonał się chrzest Rusi.

Obecnie istnieją trzy wspólnoty, które mają w nazwie „Ukraiński Kościół Prawosławny”. Dwie z nich są niezależne od Moskwy, ale zarazem są niekanoniczne, czyli nieuznawane przez prawosławie winnych krajach. Kanoniczność posiada tylko egzarchat kijowski, który podporządkowany jest Moskwie. By jakiś Kościół narodowy zyskał autokefalię, potrzebna jest jednomyślna zgoda wszystkich prawosławnych narodowych Kościołów na świecie. Na to nie ma jednak szans, bo sprzeciw wyrażają Rosjanie.

Patriarcha Bartłomiej znalazł jednak sposób na obejście tego weta. Uznał, że metropolia kijowska nigdy nie utraciła autokefalii, a Moskwa podporządkowała ją sobie w XVII w. bezprawnymi metodami. Pod koniec lipca spodziewane jest oficjalne stanowisko Konstantynopola w tej sprawie. Rosyjski biskup Ilarion Alfiejew już ostrzegł, że taka decyzja doprowadzi do wojny religijnej i przelewu krwi na Ukrainie.

Grzegorz Górny



Ukraina

Czy Kijów zdetronizuje Moskwę?



USA

Na drodze ku trwałej zmianie

Niekonwencjonalność (użyjemy tego dyplomatycznego słowa) rozmaitych działań Donalda Trumpa z jednej, a jednolita i nieustępliwa, wroga zaporą ogniową nienawidzących go mainstreamowych, lewicowo-liberalnych mediów z drugiej strony sprawiają, że pewnym faktom trudno dotrzeć do świadomości opinii – i amerykańskiej, i światowej. Tymczasem prezydent (którego wielbiciele nie jestem) po prostu odnosi – niezauważane – sukcesy.

Badania opinii pokazują, że wzrósł poziom aprobaty dla Trumpa. Co więcej, w sporej części dzięki zwiększeniu poziomu poparcia dla niego wśród obywateli pochodzenia latyno-amerykańskiego. Jeśli ten trend się utrzyma, zagrozi podstawowemu elementowi, na który stawiają demokratyczni stratedzy – czyli zawężaniu wyborczej bazy amerykańskiej prawicy do wyborców białych. Równie ciekawe, że już tylko lekko powyżej 30 proc. wyborców deklarujących poparcie dla Trumpa zalicza się do jego podstawowej bazy – czyli biednych, niewykształconych białych mężczyzn. 66 proc. to ludzie należący do jednej z trzech innych grup: kolorowi, kobiety i absolwenci college'ów. A wśród wyborców republikańskich poparcie dla niego sięga rekordowych 90 proc.

Związane to jest oczywiście z dobrym stanem gospodarki i przyjętym jako sukces spotkaniem z Kim Dzong Unem. Ale też z innymi faktami, np. z ostatecznym potwierdzeniem przez amerykańskie sądy, że Trump nie nadużył swej konstytucyjnej władzy, wprowadzając na początku rządów zakaz przekraczania granicy przez obywateli pewnych krajów muzułmańskich. A także z coraz bardziej widocznym rozminięciem się z powszechnymi nastrojami amerykańskiej lewicy, czyniącej sobie główny oręż z przeciwstawiania się antyimigracyjnej polityce prezydenta.

Jeśli dodać do tego, że ustąpienie z Sądu Najwyższego centrowego sędziego Anthony'ego Kennedy'ego daje Trumpowi możliwość nominowania jego następcy, który zapewne będzie zdecydowanym konserwatystą, to można się poważnie na tezę, iż prezydent wkracza na szlak mogący wieść do strategicznego zwycięstwa.

Może wręcz do trwałego przesterowania procesów, kształtujących oblicze Ameryki?

Piotr Skwieciński



Fot. Andrzej Skwarczyński

OGNIEM NA WPROST

Historia zatoczy koło?



Narodowy Pomnik Świętego Krzyża w Dolinie Poległych to mauzoleum w hiszpańskich górach Guadarrama poświęcone poległym w wojnie domowej 1936–1939. Inicjatorem powstania monumentu, którego najistotniejszym elementem jest największy na świecie, bo mierzący 152,4 m wysokości, krzyż, był gen. Franco. Ten pogromca „czerwonych” postanowił w ten sposób uczcić pamięć wszystkich ofiar krwawego konfliktu. Pod potężnym krzyżem wykuto w litej skale bazylikę w formie podziemnej krypty, długiej na 262 m i wysokiej na sześć piętér. Prace wykonano rękami 20 tys. więźniów, w tym politycznych, dla których w myśl polityki pojednania każdy dzień pracy oznaczał skrócenie wyroku o dwa dni, a za rok robót przy mauzoleum darowano 10 lat więzienia. W nim też znalazł miejsce swojego wiecznego spoczynku gen. Franco. Dziś komuniści postulują rozebranie krzyża. Złożona ostatnio ustawa zakłada również desakralizację mauzoleum i usunięcie z niego wszystkich symboli religijnych, albowiem zdaniem wnioskodawców „krzyż nie pasuje do państwa demokratycznego”. Szef spadkobierców „czerwonej bandyterki” UI Alberto Garzón stwierdził, że projekt ustawy jest „propozycją prawną dotyczącą pamięci demokratycznej oraz służącą uznaniu i wynagrodzeniu cierpień ofiar frankizmu”. Przypomnijmy, że w okresie tzw. czerwonego terroru w Hiszpanii zamordowano 2,5 tys. zakonników, 4 biskupów oraz 4 tys. księży, spalono 22 tys. kościołów. Komuniści, dziś zadeklarowani miłośnicy demokracji, mają za mało głosów, by samodzielnie przeformować swój projekt. Gdy jednak skaptują do swego pomysłu rządzącą lewicę, może im się udać. Kiedyś Proroka ukrzyżował Sanhedryn,

dziś zrobiliby to hiszpańscy komuniści. Bez mrugnięcia okiem.

Syn zmarłego Richarda Pipesa – prof. Daniel Pipes, amerykański historyk i komentator polityczny urodzony w żydowskiej rodzinie – powiedział „The Washington Times”, że „Polska może wkrótce – ze względu na bliskość, bezpieczeństwo osobiste i niedrogie koszty – stać się celem emigrantów, szczególnie dla emerytów i dla Żydów będących celami w Europie Zachodniej”. Jednocześnie dodał: „PiS nie jest bardziej odpowiedzialny za obawy związane z imigracją i islamizacją niż inne podobne partie Europy, takie jak Austriacka Partia Wolności czy włoska Liga Północna. Wszystkie reagują na rosnący niepokój, głównie z dołu spektrum społeczno-gospodarczego”. Nie obeszło się też bez krytyki. Dostało się Zjednoczonej Prawicy za ustawę o IPN i rozdawnictwo pieniędzy, których zdaniem Pipesa juniora nie ma. Pewnie, że ze swojego punktu widzenia na trochę racji. Rządzący, zamiastłożyć na potrzeby socjalne Polaków, powinni raczej zacząć inwestować w struktury ułatwiające „lądowanie” naszym starszym braciom w wierze. I po co te krzyki oraz wrzaski na cały świat, skoro historia i tak ma zatoczyć koło?

Zycia uchodźców. We francuskim Nantes populacja przybyszów z Południa sięga 10 proc. Podczas kontroli drogowej jeden z nich kopnął policjanta w kolano, wskoczył z powrotem za kierownicę, chcąc dać

nogę. Nie udało się. Kumpel kopniętego wyrwał z kabury pistolet i opróżnił magazynek w uciekający samochód. Miał chłop oko, bo trafił kierowcę na amen. No i w Nantes rozpętało się piekło. Seria eksplozji wstrząsnęła miastem i tym razem nie skończyło się jak zwykle na kilku spalonych autach, śmietnikach czy rozbitych witrynach sklepów. Z dymentem poszły dom kultury oraz centrum handlowe. Policja odpowiedziała gazem łzawiącym. Nie wiem jak państwo, ale ja tam wolę mieć u nas tych żydowskich emerytów. Oprócz tego, że są z natury raczej spokojni, to jeszcze przywiozają parę dolarów czy euro.

W belgijskim letnim barze w Park Spoor Noord doszło do „dogrywki” meczu Polska–Senegal. Według rzecznika antwerpskiej policji wywiązała się walka pomiędzy 40 a 50 mężczyznami. „Latały stoły i krzesła” – informował. Zdaniem świadków Senegalczyki prowokowali oglądających mecz Polaków prawie cały czas: „Po strzelonych golach skakali po ławkach, rozbierali się, walili w piersi, palcami Polakom pokazywali przed oczami »null null«, walili pięściami w kosze na śmieci itd.”, „Polacy przyszli z kobietami i dziećmi. Czarnoskórej nie było ani jednej” – dodaje inny uczestnik zdarzenia. Około 70. minuty meczu przebrała się miarka, kiedy Murzyni zaczęli oblewać dzieci piwem. W ruch poszły pięści, meble i to, co było pod ręką. Choć w Rosji nasza reprezentacja poniosła klęskę, to „dogrywka” w Antwerpii skończyła się zwycięsko przy bierności policji. Video z zajścia można obejrzeć na portalu HLN.be.

Andrzej Rafał Potocki

W trosce o konsensus

Ministerstwo Sprawiedliwości pracuje nad przepisami nowelizującymi postępowania rozwodowe. W myśl nowych zapisów ustawowych strony będą musiały uczestniczyć w rodzinnym postępowaniu informacyjnym, podczas którego będą skłaniane do pojednania albo wspólnego wypracowania porozumienia w zakresie kontaktów z dziećmi i wysokości alimentów. Wyjątkiem mają być małżonkowie nieposiadający wspólnego, małoletniego potomstwa oraz osoby, którym przed wszczęciem postępowania rozwodowego zarzucono popełnienie umyślnego przestępstwa na szkodę drugiego małżonka lub dziecka. Postępowanie informacyjne ma być bezpłatne i trwać co najmniej miesiąc, a w jego toku nie będzie możliwe inicjowanie postępowań w sprawie alimentów czy kontaktów z dziećmi. Nowe przepisy przewidują także możliwość wielokrotnego zawieszania przez sąd postępowania rozwodowego w każdym przypadku, gdy uzna, że są widoki na utrzymanie rodziny. Pokoje wysłuchań dla małoletnich dzieci mają zostać wyposażone w sposób pozwalający na stworzenie najbardziej przyjaznych im warunków.

Obowiązujące przepisy przewidują możliwość skierowania stron do mediacji przez sąd na każdym etapie postępowania – nawet gdy zostało ono zawieszone, o ile tylko zaistnieją widoki na utrzymanie małżeństwa. Mediacja może mieć miejsce wyłącznie z inicjatywy sądu, każdego z małżonków z osobna lub na zgodny wniosek stron postępowania. Przedmiotem mediacji mogą być także sprawy o zaspokojenie potrzeb rodziny, alimenty, sposoby sprawowania władzy rodzicielskiej, kontakty z dziećmi oraz sprawy majątkowe między małżonkami. Mediatorzy to osoby posiadające wykształcenie psychologiczne, pedagogiczne, socjologiczne lub prawnicze albo kuratorzy sądowi, pracownicy ośrodków diagnostyczno-konsultacyjnych. Instytucja ta w polskim wymiarze sprawiedliwości ma stosunkowo niedługi staż, a z badań prowadzonych przez Ministerstwo Sprawiedliwości wynika, że pozostaje niedoceniana przez strony.

Wprowadzenie rodzinnego postępowania informacyjnego ma zdaniem resortu sprawiedliwości usprawnić postępowania rozwodowe. Dane bowiem wskazują, że doprowadzenie do mediacji stron znacznie skraca czas pomiędzy wniesieniem pozwu a uzyskaniem prawomocnego orzeczenia, z uwagi na złagodzenie konfliktów pomiędzy małżonkami i ułatwienie osiągnięcia konsensusu w sprawach dotyczących małoletnich dzieci, a także rodzinnych finansów.

W środowisku prawniczym pojawiają się opinie, że postępowanie informacyjne w istocie dubluje istniejące już postępowanie mediacyjne i będzie prowadzić do przewlekłości postępowań. Argumentem przemawiającym za wejściem w życie omawianych przepisów jest bezpłatny dla stron charakter proponowanego rozwiązania, a także zamiar, by było



**Marta
Kaczyńska**

ono prowadzone przez stosownie wykwalifikowane osoby. Inicjatywa resortu wychodzi naprzeciw ludziom, których nie stać na profesjonalnych pełnomocników, dając im szansę na lepsze zrozumienie konsekwencji wniesienia do sądu sprawy o rozwód i bardziej świadomego podjęcia decyzji o warunkach, na których zamierzają formalnie zakończyć związek małżeński, tak by jak najmniej ucierpiało na tym dobro dzieci. Jeżeli postępowania te będą uruchamiane niezwłocznie po wniesieniu sprawy do sądu, to należy zakładać, że nie przyczynią się one do przewlekania procesu.

Obawy budzić może przewidywana w ramach nowelizacji możliwość wielokrotnego zawieszania sprawy przez sąd właśnie z uwagi na groźbę nadmiernego przedłużania postępowania. Wprowadzenie udogodnień dla dzieci w pokojach wysłuchań jest z pewnością potrzebne, ale z doświadczeń wielu pełnomocników wynika, że przede wszystkim istnieje potrzeba wyegzekwowania, by małoletni byli wysłuchiwiani wyłącznie w tego typu specjalnie przygotowanych pomieszczeniach, a nie w miejscach dowolnie wybieranych przez sędziów.



Ministrowi Energii

**KRZYSZTOFOWI
TCHÓRZEWSKIEMU**

*najszczerze wyraży współczucia
z powodu śmierci*

MATKI

składają

*Zarząd Energi SA
oraz pracownicy Grupy Energa*

9/07/8/F

Wolność słowa

Prezzydent Emmanuel Macron zmienił ambasadora Francji w Budapeszcie po tym, jak do prasy wyciekła poufna notatka, w której dyplomata pochwalił politykę migracyjną premiera Węgier Viktora Orbána. Sprawę opisywał m.in. portal Stefczyk.info. „W poufnej notatce datowanej na 18 czerwca, która była adresowana do kancelarii Macrona i została opublikowana przez internetowy portal śledczy Mediapart, Fournier napisał, że Węgry »są wzorem«, jeśli chodzi o radzenie sobie z migrantami, oraz że oskarżenia Orbána o populizm to wymysły mediów. Dyplomata napisał także, że francuskie media, oskarżając Węgry o antysemityzm, starały się odwrócić uwagę od »prawdziwego antysemityzmu«, który wyrażają »muzułmanie we Francji i w Niemczech«”. Ot i cała wolność słowa po francusku. 



3,8 proc.

– tyle w maju br. według Eurostatu wyniosła stopa bezrobocia w Polsce. W Unii Europejskiej osiągnęła poziom 7 proc. To spadek o 0,7 proc. w stosunku do maja 2017 r. Polska utrzymuje się w europejskiej czołówce krajów z najniższym bezrobociem.

2 220 zł

– tyle zgodnie z propozycją rządu może wynieść minimalne wynagrodzenie za pracę w 2019 r. To o 5,7 proc. i jednocześnie 120 zł więcej niż obecnie.

326,4 tys.

– tyle wniosków o świadczenie Dobry Start złożyli rodzice drogą elektroniczną tylko w ciągu pierwszych czterech dni od uruchomienia tego programu.

Pociąg do sztuki

Miłosc do kultury to piękna sprawa, no chyba że ktoś tę kulturę kocha zbyt mocno. Przekonali się o tym rodzice chłopca, który zapragnął przytulić Afrodytę. Pięciolatкови z Kansas popiersie bogini spodobało się tak bardzo, że rzucił się na rzeźbę wystawioną w lokalnym centrum kultury. Chłopiec chciał ją przytulić. „Na wideo z monitoringu widać, jak mały chłopiec wspina się na podest z rzeźbą Afrodyty z Kansas City i chwilę później spada na ziemię razem z drogocennym popiersiem” – podaje tvp.info. Teraz niestety ubezpieczyciel domaga się od rodziców dziecka 132 tys. dol. odszkodowania. Rodzice może i stracą fortunę, ale przynajmniej z dumą mogą mówić, że ich syn ma pociąg do sztuki. 



Chłop na medal

Pilkarz reprezentacji Anglii Fabian Delph nie zagrał w meczu w 1/8 finału mistrzostw świata. Zamiast na boisku w Moskwie wołał być w szpitalu położniczym w Manchesterze, gdzie jego żona rodziła trzecie dziecko. Inną decyzję podjął kapitan szwedzkiej reprezentacji, który został na mundialu, mimo że jego żona miała rodzić w dniu meczu Szwecji ze Szwajcarią. A teraz zagadka: prawdziwy facet to ten, który był z żoną, czy ten, który kopał piłkę? 



System

82-letni Japończyk przez ostatnie 29 lat żył nago na bezludnej wyspie. Opuszczał ją tylko raz w tygodniu, by zdobyć wodę, ciastka ryżowe i zapasy” – relacjonuje historię współczesnego Robinsona Crusoe typ.info. Masafumi Nagasaki na należącej do Japonii wyspie Sotobanari żył samotnie i szczęśliwie od 1989 r. Pustelnik stał się sławny za sprawą Agencji Reutersa, która go opisała i sfotografowała, ale 29 lat później władze Japonii zmusiły 82-latkę do powrotu do cywilizacji i umieściły go w komunalnym mieszkaniu w Ishigaki. A współczesny Robinson marzył tylko, żeby na wyspie, w zgodzie z naturą, umrzeć. I na nic zdały się tłumaczenia, że na wyspie, z dala od cywilizacji, mężczyzna był szczęśliwy. Ech, z systemem nie wygrasz! Zwłaszcza będąc Japończykiem.



”

Frans Timmermans pracuje wspaniale na rzecz Polski. Za kilka lat stanie tutaj jego pomnik – powiedział I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf w wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. I to chyba najlepszy dowód na to, że to może niezły moment na emeryturę.

Nowa prawda

Swiatowa Organizacja Zdrowia (WHO) opublikowała 11. wydanie Międzynarodowej Klasyfikacji Chorób (ICD-11). Niby nic, a jednak! Ciekawostką jest to, że ze spisu zniknął transseksualizm, który wcześniej znajdował się na liście jako zaburzenie psychiczne. O sprawie informuje m.in. Pch24.pl. Jak zmianę tłumaczą przedstawiciele organizacji? Ma ona na celu upowszechnianie akceptacji dla transseksualizmu. Chodzi też o ułatwienie osobom „nieakceptującym biologicznej płci” dostępu do operacji zmiany tejże płci oraz terapii hormonalnych. Dokument wejdzie w życie 1 stycznia 2022 r. Może ze zmiany wypada się cieszyć. Tyle osób uzdrowionych za jednym zamachem!

Fot. Andrzej Witko, Shutterstock (4-)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Hymn nienarodowy

Jeszcze niedawno wydawało się, że nad istnieniem lub nieistnieniem narodu będziemy się zastanawiać tylko w czasie zawodów sportowych. Rywalizacja zawodników miała zaspokoić atawistyczną (i, jak przekonywano, absurdalną) potrzebę wspólnoty.

Marzenia Johna Lennona z początku lat 70. i późniejsze o niepełna 20 lat prognozy Francis Fukuyamy zostały jednak zwerfikiowane przez rzeczywistość.

Narody Zachodu musiały sobie przypomnieć o swoim istnieniu wraz z chińską ekspansją gospodarczą i przebudzeniem rosyjskiego imperializmu. A dzieła dokonała fala imigrantów z północnej Afryki – dzięki niej o poczuciu wspólnoty z etnicznymi rodakami przypomnieli sobie wielu zwolenników zapraszania uchodźców do Europy.

A jednak problem narodu pojawił się w innym miejscu. Przed każdym z meczów na mundialu odgrywano pieśń, którą stadionowy komentator zapowiadał po angielsku jako hymn narodowy, a po rosyjsku jako hymn państwowy. Akurat w tej kwestii – przynajmniej na poziomie semantycznym – Rosjanie lepiej opisują rzeczywistość. We współczesnym świecie i hymny, i reprezentacje przestają być narodowe, a stają się państwowe.

Najlepiej to widać w przypadku Francji, gdzie (w dużej mierze na skutek kolonialnej historii) na boisku mamy szeroką paletę barw skóry, a rodowitych Francuzów ze świecą trzeba szukać. Podobnie – choć w mniejszym stopniu – imperialistyczna polityka państwa rosyjskiego (czy to carskiego, czy komunistycznego) ukształtowała skład reprezentacji tego kraju, w której występują potomkowie Białorusinów, Ukraińców, Azerów, ale też rosyjskich Niemców, wołańskich Tatarów i Czuwaszów.

Przymrużając oko, zerknijmy na dawną Jugosławię: to nieistniejące już państwo wystawiło na mundialu przynajmniej cztery reprezentacje, dwie pełne, będące „potomkami” dawnej federacji – Serbię i Chorwację, a także w części dwie dodatkowe – Australię i Szwajcarię...

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu cudzoziemcy, którzy nie żyli w zwartych grupach, łatwo się integrowali, tym bardziej że wymuszały to ich nowe ojczyzny. Przyswajali obyczaje i miejscową wiarę. Uczyli się języka i słów hymnu. Wchodzili w skład narodu politycznego.

A potem przyszło multikulti, ideologia nakazująca nawet nie równoprawne, ale nadzwyczajne traktowanie religii i kultur, które przynieśli przybysze. Narody, rzecz jasna, nie przestaną istnieć, ale nie nadużywajmy tego słowa.

Autor jest szefem portalu tygodnik.typ.pl



**Dominik
Zdort**

RZECZY POSPOLITE

Niski pressing

Kończą się powoli mistrzostwa, z których odpadliśmy po fatalnym występie. Wyłano już morze wirtualnego atramentu na Nawalkę oraz jego orły – i to różnego w tonacjach, od czerni, po szarość, a czasem nawet róż (w stylu klasycznym „nic się nie stało”). Niektóre z internetowych memów także oddawały tragikomiczny wymiar „popisu” naszych na mundialu. Doskonały był ten ze Sławomirem Peszką w stroju kosmonauty, który po mundialu „dba o atmosferę” na orbicie ziemskiej. Faktycznie na orbicie ziemskiej fruwały oczekiwania przedmundialowe wielu Polaków, gdy tymczasem gołym okiem widać było, że nasza kadra od pół roku gra słabo.

Można przyjąć do wiadomości różne tłumaczenia – braki kadrowe, słabszą formę kluczowych zawodników czy kontuzje, ale dla mnie jest jedna rzecz, której nie mogę darować ani przejść spokojnie; rzecz, która spowodowała, że policzki pąsowiwały ze wstydu, gdy na to patrzyłem... To były ostatnie minuty meczu z Japonią.



**Tomasz
Łysiak**

Farsa, jaka się rozegrała na boisku, była żenującym spektaklem. Japończyków zadowalała porażka 0:1. Naszych kontentowało skromne prowadzenie 1:0. I gdy japońcy podawali piłkę między sobą, patrząc prawie na zegarek, nasi stali na swojej połowie, przyglądając się tej zabawie i uczestnicząc w czymś, co nie miało nic wspólnego z duchem sportu.

Bolało mnie to niehonorowe podejście, tym bardziej że nasi grali w meczu „o honor”, czyli chodziło tylko o zmycie plamy, pokazanie, że mamy pazur i potrafimy grać w piłkę. Jednym z elementów takiego piłkarskiego pazura jest gra do ostatniego gwizdka, aż do samego końca, właściwie niezależnie od wyniku.

Gdy trener Nawalka usiłował tłumaczyć to taktyką „niskiego pressingu”, padłem po raz kolejny ze śmiechu. „Niski pressing” to mogli stosować francuscy żołnierze w 1939 r., w trakcie „śmiesznej wojny”, siedzący w bunkrach i czekający, aż Polska wykrwawi się sama. U nas, u Polaków, tak się przyjęło, że w podobnych sytuacjach nigdy nie gramy „niskim pressingiem” ani nie podkulamy ogona.

Dmuchanie wielbłąda

Jakiż ja byłem głupi, jaki zaślepiony! W pomroczości jasnej żyłem, nie docierało do mnie nic z tego, co mówiono do mnie wymijająco wprost, i politycy różni, i ludzie teatru płci obojga z wczoraj i dziś, i koledzy po fachu z dorobkiem, i inni, którzy widzą więcej, którzy walczą, nic a nic nie docierało. Ale wreszcie przejrzałem na oczy! Teraz mam jasność bez pomroczości, w jakim koszmarnym kraju żyję: zamordyzm skrajny, spacerujący sobie spokojnie po ulicach z różami albo świecami, żeby innych oświecać, są wtrącani do więzień, prześladowania sędziów za poglądy polityczne, bo są to obiektywne, te ich poglądy. Wreszcie dostrzegłem to udeptywanie demokracji jak kapusty w tej naszej polskiej beczcze. A wszystko dzięki tym właśnie, którzy wcześniej widzieli, nie zakładali nogi na nogę, chodzili, jeździli prosili, błagali i wyjeździli...

„Atmosfera środowiska debaty w europarlamencie z udziałem premiera Morawieckiego pokazała dużą determinację europejskich polityków, aby dać polskiemu rządowi po łapach” – podsumował niejaki Sroczynski Grzegorz na użytek ostatniego bastionu wolności w Warszawie przy ul. Czerskiej. „Morawiecki zgrillowany”, bo „bronil nie swojej sprawy” – tytułował swój elaborat. Jasne, że nie jego, premiera rządu RP.



**Piotr
Cywiński**

Polska jest tam, gdzie oni, ci z nogami. I „będzie musiał się wycofać rakiem z czystki”, ten premier, który jeszcze nie przejrzał. W ogóle całe to „PiS zdaje się nie rozumieć, że Unia nie może się zachować wobec Polski miękko. Już nie” – orzekł Sroczynski. Ale życzliwy jest: „Radziłbym premierowi Morawieckiemu już teraz kombinować nad przemówieniem”, tzn. jak się wycofać, tym rakiem z tego, że usiłował dowodzić w Strasburgu, iż Polska nie jest wielbłądem. I oberwał od różnorodnych, że zamordyzm, że spacerujący po ulicach z różami lub świecami, żeby innych oświecać, wtrącani są do więzień itd., niech wie! Dla ilustracji cytacik Morawieckiego, próbującego „odwracać kota ogonem”, i kilka zdaniek komentarzyka Sroczynskiego, tak jedno w tę, drugie w tę, pół na pół... – można się „pośmiać” z „niezręcznych wypowiedzi Morawieckiego”.

Dzięki wam, Czerscy! Teraz i ja mogę się pośmiać. Dzięki, panie Sroczynski, który tak oto ujął na Facebooku własny wkład na łamach „GW” w rozjaśnianie: „Przez osiemnaście lat pracy tutaj robiłem już chyba wszystko: pisałem teksty własne, redagowałem teksty cudze, skracałem, ciałałem, dopisywałem, ściągałem”, całości nie przytoczę, bo długie, w każdym razie „dmuchał”, „liczył”, „kręcił” i „wydębiał” – to też jego słowa. Lepiej bym tego nie ujął!

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECINSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:

ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN),
LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FUJEK,
WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWÓRNA, GRZEGORZ
GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ,
STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS,
CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ
RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,

JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECINSKI,
WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, EWA WESOŁOWSKA,
MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ
ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTOTEKA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSŁYKI ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.
PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKLAD: 103 330 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.

WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRAÇA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMIOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ADAM CHEŁSTOWSKI, SHUTTERSTOCK, KRISTIAN MAJFORUM,
ANDRZEJ WIKTOR



Opozycja przegrała

Komisja Europejska nie złamie polskiej woli dokończenia reformy, bo to jest albo-albo. Jeśli nie zreformuje się sądownictwa, inne reformy mają mały sens, gdyż prędzej czy później zostaną przez takie sądy, jakie mamy, zanegowane, cofnięte

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **Jarosławem Kaczyńskim**,
prezesem Prawa i Sprawiedliwości*



Panie premierze, jakby pan podsumował zamknięcie sporu wokół ustawy z IPN, ale i – szerzej patrząc – pewnego etapu dyskusji o historii narodów polskiego i żydowskiego, podpisaniem „Wspólnej deklaracji premierów Państwa Izrael i Rzeczypospolitej Polskiej”. Czy można było uzyskać więcej? Czy to, co jest, ma rzeczywiste taką wartość, jak to słyszymy od premiera?

Jarosław Kaczyński: To ma dużą wartość i każdy, kto nie jest ignorantem, kto ma elementarne rozeznanie w sferze światowej, kto nie ma złej woli, musi uznać, że to jest duży sukces. Uzyskaliśmy archimedesowy punkt oparcia do tego, żeby rozpocząć poważną walkę o zmianę obrazu najnowszej historii Polski. Przypomnę, że były też dwa ważne niemieckie oświadczenia, szefa niemieckiego MSZ Sigmara Gabriela i pani kanclerz Merkel, mówiące jednoznacznie o niemiec-

kiej winie. Było też oświadczenie Departamentu Stanu USA stwierdzające, że określenie „polskie obozy śmierci” jest całkowicie nieprawdziwe i krzywdzące. To wszystko wynik tego, że w pewnym momencie uchwalając ustawę, powiedzieliśmy, że poważnie traktujemy walkę z antypolskimi kłamstwami.

Wydarzenia ostatnich miesięcy uświadomiły wielu, jak w tym obszarze, w odniesieniu do II wojny światowej, jest źle, jak zakłamanym jest ten obraz. Pana to też zaskoczyło?

Ten obraz, odziedziczony po poprzednich dekadach, jest fatalny. Wiem, że wielu Polaków może nie zdawać sobie z tego sprawy, ale każdy, kto ma jakąś wiedzę, musi mieć świadomość, jak ogromne jest rozpięcie pomiędzy rzeczywistym przebiegiem zdarzeń w czasie II wojny światowej a tym, jak to jest przedstawiane. W tych warunkach uzyskanie ze strony Państwa Izrael takiego oświadczenia, w którym mamy bardzo skrótowy, prawdziwy opis historii tych lat, gdzie pojawia się słowo „antypolonizm”, ma wielką wartość. Podkreślam: to jest punkt oparcia, z którego można przejść do rzeczywistej ofensywy. Mamy świadomość, że efekty nie będą widoczne natychmiast. Ale jeśli będziemy pracowali konsekwentnie, kiedyś je zobaczymy. Najlepszym dowodem, jak dużo udało się osiągnąć, jest to, że premier Benjamin Netanjahu jest dzisiaj atakowany z tego powodu.

Odnótował to portal wPolityce.pl. W skrócie: „Haaretz” ogłosił wręcz, że oto Izrael... podporządkował się polskiej polityce historycznej i „zdecydował przeoczyć, iż wielu Polaków uczestniczyło w prześladowaniu i mordowaniu Żydów”. Przywódca Unii Syjonistycznej Itzik Shmuli ogłosił, że zmiana ustawy nie idzie wystarczająco daleko, bo wciąż, jak to określił, „będzie zabronione wspomnianie roli odegranej przez Polaków w zbrodniach przeciw Żydom”. Jego zdaniem w tym kontekście Izrael nie wypełnił przyrzeczenia danego ofiarom Holokaustu – że „polskie zaprzeczanie i zamazywanie nie przyniesie sukcesu”. Sławetny Yair Lapid zaś, liberalny przywódca, którego atak na Polskę zapoczątkował jedną ze spirali mijającego kryzysu, nazwał nowelizację „kiepskim dowcipem”, stwierdzając, że cała ustawa powinna zostać „wymazana z polskiego prawa”, a Polacy „winni prosić martwych o przebaczenie”.

Takich głosów jest więcej, choć są i pozytywne, co cieszy. Oczywiście nie można się zgodzić, gdy czytamy, iż „zwyciężyła polska narracja”, bo zwyciężyła po prostu prawda. To, co my twierdzimy i co jest w tej deklaracji zapisane, to prawdziwy, choć bardzo skrócony, opis strasznego czasu niemieckiego najazdu i niemieckiej okupacji. Tak było i są jeszcze w Polsce ludzie, którzy to pamiętają, a mojemu pokoleniu, pewnie i pokoleniu panów rodzice czy dziadkowie zdążyli to jeszcze opowiedzieć. A jeśli nie, to mamy ogrom materiału historycznego, by to pokazać. Jeśli oczywiście ktoś chce słuchać. Bo nie jest prawdą, co twierdzą postmoderniści, że nie ma prawdy, są tylko różne opowieści. Musimy na rzecz powrotu tej prawdy do świadomości europejskiej, światowej pracować. Wcześniej nie było od czego się odbić, teraz mamy. Wskazałem to już wcześniej.

Za jaką cenę?

Umiarkowaną. Przepisy, z których zrezygnowaliśmy wskutek całej tej awantury, stały się niezwykle trudne do stosowania, ich użycie wiązałoby się z olbrzymim kosztem politycznym. Jeśli zestawimy z tym, co udało się uzyskać, można mówić o olbrzymim koszcie politycznym. Trzeba gratulować tym, którzy się do tego przyczynili.

Czyli komu? Komu najbardziej?

Niektóre osoby w to zaangażowane muszą jeszcze pozostać w cieniu, nie mam upoważnienia, by je dziś wskazywać. Mam nadzieję, że przyjdzie moment, gdy będzie im można publicznie podziękować. Muszę oczywiście pogratulować premierowi, który wziął na siebie najtrudniejszą część zadania, czyli rozmowy z premierem Netanjahu, i wiele innych działań.

Wszystko wskazuje na to, że Izraelowi też zależało na tym porozumieniu. Dlaczego? I jaka była rola Stanów Zjednoczonych, o czym się głośno dywaguje?

Uzyskanie ze strony Izraela takiego oświadczenia, w którym mamy bardzo skrótowy, prawdziwy opis historii, gdzie pojawia się słowo „antypolonizm”, ma wielką wartość. To jest punkt oparcia, z którego można przejść do rzeczywistej ofensywy

Sądzę, że premier Netanjahu wie, iż jesteśmy właściwie jedynym sojusznikiem w Europie, na którego na pewno może liczyć. Czy zorientował się w trakcie tych negocjacji, że to, co mówił choćby w pierwszych rozmowach, nie jest prawdą, nie wiem.

Chodzi o to, co miało paść w jednej z rozmów z premierem Morawieckim: rzekomo systemowy udział Polaków w Holokauście?

Tak. To już się potem, po naszym ostrym sprzeciwie, nie pojawiło. Zapewne pan premier Netanjahu uznał, że wycofanie tych przepisów z ustawy o IPN, które wzbudziły tak ogromne oburzenie w Izraelu, zostanie uznane za sukces. I prawdopodobnie znaczna część obywateli Izraela tak to przyjęła.

Z polskiego punktu widzenia ogromne znaczenie ma przyznanie w deklaracji, że wspomniany już antypolonizm rzeczywiście miał miejsce.

O tym w ogóle nie dawało się mówić, nawet na gruncie polskim, a to przecież jest rzeczywiste zjawisko. Kiedy Victor Ashe, ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce w latach

2004–2009, zapytał mnie, co jest głównym problemem w relacjach z Zachodem i Izraelem, odpowiedziałem, że właśnie antypolonizm. I on, znając tamtejsze nastroje, nie protestował.

Ala i w Polsce krytyki sposobu wyjścia z tego kryzysu nie brakuje.

Nie jestem zaskoczony atakami ze strony tych, którzy prezentują opcję endecką, którzy chcą ten kierunek polityczny ożywić. Nie kwestionuję historycznych zasług Narodowej Demokracji, to jest zupełnie inna sprawa. Wracając do krytyki z tej strony: jeśli ja słyszę od posłów z tego środowiska, choćby będących w klubie pana Kukiza, że Polska powinna była w tej sprawie iść ostro na starcie na wszystkich polach, nie tylko z Izraelem, lecz także ze Stanami Zjednoczonymi, to mogę tylko się uśmiechnąć. To są opowieści bardzo dziecinne.

Albo świadoma gra na zbudowanie na tym tle politycznego odbicia.

Takie kalkulacje na pewno tam są, ale nie sądzę, by się powiodły. Polacy są rozsądnym narodem, mającym w głębi duszy niezłe rozeznanie sytuacji na świecie, dostrzegającym, kto ile waży. A akurat Izrael, choć formalnie niewielki, waży dużo. On jest jak niewysoki mężczyzna, o którym wiadomo, że jest w istocie bardzo silny.

Czegoś panu w tej deklaracji brakuje?

Jasne, że można było mocniej podkreślić straszliwy los, jaki spotkał Polaków w czasie II wojny światowej, męczeństwo i bohaterstwo, ale generalnie tam jest prawda o naszej historii.

Powiedział pan, że to może być polski oręż w walce o prawdę. Może warto rozpropagować ten dokument, dotrzeć z nim do elit innych państw?

Tak uważam i wiem, że prace w tym kierunku trwają.

Mówiliśmy o krytyce ze strony neoendeckiej, ale ostre słowa padają też ze strony opozycji, która sama kiedyś nazywała siebie totalną. Mówią, że sami to zaczęliście, a potem potknęliście się o własne nogi. Donald Tusk zaś dodaje, że nikt tak nie przyczynił się do rozpropagowania nieprawdziwego terminu „polskie obozy zagłady” jak styczniowa nowelizacja ustawy o IPN.

Można to ujmować tak jak pan Tusk, co w mojej opinii dowodzi, że jego kwalifikacje polityczne, a może i moralne, są fatalne. A można też ujmować to w taki sposób, jak my to czynimy: podjęliśmy próbę ostrzejszej polityki i uzyskaliśmy bardzo dużo. Ekipa Tuska akceptowała, że ceną za siedzenie cicho jest zgoda na ciągle powielanie tych opowieści o polskim współudziale w Holokauście i stałe wezwania nas do tego, byśmy się rozliczyli. Takie słowa dochodziły nawet z Austrii, której ogromna odpowiedzialność za zbrodnie narodowego socjalizmu nie została jeszcze w pełni rozliczona. Dość powiedzieć, że komendantami obozów zagłady na okupowanych przez Niemców terenach polskich, poza komendantem Auschwitz Rudolfem Hössem, byli Austriacy.

Czyli mówi pan tak: ceną za milczenie i brak działań było staczanie się po równi pochyłej. Teraz zmienimy kierunek, zaczniemy się znów wdrapywać, przypominać światu, jak było naprawdę?

Przynajmniej odzyskujemy taką możliwość. Siedząc cicho, nieustannie byśmy spadali, a za jakiś czas odnaleźli się w roli wyłącznych sprawców nie swoich zbrodni. Teraz mamy narzędzia, by to zatrzymać, w tym sensie to może być punkt zwrotny. To wielka szansa. A czy ją wykorzystamy? Bardzo dużo zależy od nas, nie tylko od rządu, lecz i od świata kultury, mediów. Na marginesie: zwrócili panowie uwagę, co na ten temat napisała pewna gazeta w Polsce, kiedyś największa, dla której to są ważne tematy?

Niewiele.

Nic lub prawie nic. To też sygnał, jak bardzo nie w smak wielu ta deklaracja.

Padają pytania, dlaczego rządzący nie zdecydowali się poczekać na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie ustawy o IPN.

Bo Trybunał Konstytucyjny orzeka w porządku konstytucyjnym, prawnym, a tu trzeba było wykonać działanie polityczne.

Zmierzymy się z jeszcze jednym typem krytyki. Odnosi się on do naprawde wielu pozytywnych gestów obecnego rządu wobec Izraela i wspólnot żydowskich, przekazywania dużych pieniędzy na renowację cmentarzy, budowę muzeów, fundacje. Odpowiedzią było kilka miesięcy ostrzału medialnego z tamtej strony.

Proszę panów, to, że tutaj przez wieki żyło wielu Żydów, w pewnym momencie połowa wszystkich Żydów w Europie, to jest fakt. Podobnie jak to, że wielu Polaków ma żydowskich przodków. To jest część dziedzictwa państwa polskiego, Rzeczypospolitej, o to też trzeba dbać. Z relacjami z Izraelem ma to niewiele wspólnego, to są nasze decyzje i nasza dbałość, by polska historia i kultura była w całości pielęgnowana.

Wszelkie antysemickie ekscesy są w PiS tępione zdecydowanie?

Nie tylko w Prawie i Sprawiedliwości, podobnie było w Porozumieniu Centrum. Ale chcę podkreślić, że to było i jest w społeczeństwie polskim margines, zjawisko dużo mniejsze, niż niektórzy próbują rysować.

W deklaracji premierów padają słowa o tym, że „Polska i Izrael to oddani, wieloletni przyjaciele i partnerzy”. Czy te słowa są nadal aktualne w wymiarze politycznym?

Ta deklaracja jest bardzo poważnym krokiem do tego, by stosunki polsko-izraelskie nabrały charakteru i dynamiki, której właśnie w związku z tymi nieprawdziwymi opowieściami nie miały, by były bardziej autentyczne. Ale oczywiście zawsze byliśmy, mówię o naszej formacji politycznej, proizraelscy.

Jeśli piorun jakiś nagle z nieba nie strzeli, jeśli nie zdarzy się jakiś czynnik zmieniający zasadniczo sytuację, to tak – premier Morawiecki poprowadzi rząd do wyborów parlamentarnych

Urzędowanie premiera Mateusza Morawieckiego zbiegło się z wybuchem tego konfliktu, którego finał właśnie omówiliśmy. A jak pan ocenia funkcjonowanie rządu w innych obszarach? Pana oczekiwania i plany zostały zrealizowane?

Tak, premier, który od razu wszedł, potocznie mówiąc, w ogień, bardzo dobrze się sprawdził. Jestem bardzo rad z jego pracy i współpracy z nim, która się doskonale układa. Jest oczywiście, jak każdy z nas, człowiekiem i zawsze są sprawy, które trzeba rozwiązywać, ale to jak szukanie pyłku na pięknym dywanie. Zaznaczam, że to w żaden sposób nie ujmuje premier Beacie Szydło, której ogromne zasługi doceniam. Nadszedł po prostu nowy etap.

Premier Morawiecki poprowadzi rząd do wyborów parlamentarnych?

Jeśli piorun jakiś nagle z nieba nie strzeli, jeśli nie zdarzy się jakiś czynnik zmieniający zasadniczo sytuację, to tak.

A jak by pan określił cel w wyborach samorządowych? Połowa sejmików?

Na pewno chcemy powiększyć swój stan posiadania, ale nie chcę w tej chwili mówić o liczbach. Proszę pamiętać, że w wyborach do sejmików wyniki dużych partii są zawsze znacznie niższe niż w wyborach do Sejmu i Senatu. Wszyscy dostają mniej. W 2014 r. – odkładam na chwilę wątpliwości co do liczenia głosów – dostaliśmy ponad 11 proc. mniej niż w wyborach parlamentarnych 2015 r. Z kolei w 2010 r. w wyborach samorządowych padło na naszą listę 23 proc. głosów, a rok później do Sejmu i Senatu – 30 proc. Ten czynnik trzeba więc wziąć pod uwagę. Ale oczywiście mamy bardzo ofensywny plan, chcielibyśmy uzyskać większy wpływ na to, jak rządzone są województwa, miasta, miasteczka i wsie, bo uważamy, że w wielu miejscach dzieje się źle, fatalnie.

Pana ocena szans w wielkich miastach – dynamiczny Jaki w stolicy, startująca w Krakowie pani Wassermann?

Sądzę, że gdy pani Wassermann ruszy z kampanią, też będzie dynamiczna. Wierzę, że da z siebie wszystko pani Mirosława Stachowiak-Różecka we Wrocławiu, świetnie się prezentuje w Gdańsku bardzo młody Kacper Płażyński. To są nasze największe nadzieje. Liczymy też oczywiście na pana Tadeusza Zyska w Poznaniu, gdzie sondaże już są lepsze, niż były. Krótko mówiąc, chcemy walczyć, bo mamy pomysł na to, by lepiej rządzić w samorządach.

Wspomnił pan o sondażach. Po kilku miesiącach lekkiego spadku znowu poszły do góry. Są zadowolające?

Nie chcę zapeszyć. Sądzę, że sytuacja nie jest najgorsza, ale musimy się oczywiście ciągle starać. Musimy pamiętać, że w 2015 r. pomogło nam rozbić głosów lewicy. Należy założyć, że to się nie powtórzy, musimy po prostu zdobyć tyle głosów Polaków, by bezpiecznie uzyskać kolejną kadencję. Ostatnie badania dają nam 236 mandatów. Nie możemy być jednak jak te tłuste, zadowolone z siebie koty. To jest oczywiście piękny widok w przypadku kota, ale jeśli tak zachowuje się polityk, jest to niezdrowe, demoralizujące i nieskuteczne.

Powie pan to partii?

Mówię ciągle, ale powtórzę. Planowane jest nawet duże spotkanie w tej sprawie.

W samym ugrupowaniu mówi się, że planuje pan dużą modernizację struktur, wymianę części kadr, także jeśli chodzi o obsadę list wyborczych do parlamentu. To prawda?

Nie wiem, skąd to przekonanie. Każdy poseł, który dobrze wykonuje swoje obowiązki, ma pełne szanse na dobre miejsce na listach. Inną sprawą jest to, że chciałbym, by tych posłów było jak najwięcej; że chciałbym, by posłowie byli jak najlepsi; że są środowiska obecnie poza nami, do których możemy się jeszcze odwołać, także przez kandydata na posła czy senatora. To jednak w polityce naturalne. Celem głównym jest zwycięstwo, kolejna kadencja, która umożliwi utrwalenie pozytywnych zmian w kraju. Bo przecież każdy widzi, że dla milionów Polaków nasze rządy są naprawdę dobrą zmianą. Chodzi o to, by polepszać sytuację tych, którym już się poprawiło, i umożliwić awans życiowy tym, którzy jeszcze tego wystarczająco nie odczuli.

A tzw. Zakon PC przesuwają pan na boczny tor? Tak twierdzi część prasy.

Panowie, gdybym miał się przejmować wszystkimi bzdurami, które wymyśla prasa, to nie mógłbym spać. To nie ma nic wspólnego z prawdą. Dowodzi tylko jednego: że jesteśmy już szczerą formacją i media muszą wymyślać różne tezy, by mieć co pisać o naszym rzekomym życiu partyjnym. Nie, nie ma mowy o żadnym odsuwaniu żadnej grupy, zmiany w rządzie są naturalne.

Opozycja jest groźna?

Każda opozycja może być groźna, rywalizacja polityczna jest w demokracji czymś normalnym. Niestety nasz przeciwnik to nie jest normalna opozycja, łamie wszelkie reguły i ma potworne poczucie bezkarności. Rzucili przeciw nam wszystkie możliwe zasoby, podeptali wszelkie zasady życia parlamentarnego, politycznego. Proszę zwrócić uwagę: w Hiszpanii ludzie, którzy wzywali do buntu przeciw demokratycznemu rządowi, siedzą w więzieniach z perspektywą kilkunastoletnich wyroków. A jak nazwać to, co robi Schetyna, jeśli nie wzywaniem do buntu, łamaniem prawa?

Ktoś zaraz powie, że chce pan wsadzić Schetynę do więzienia.

To w Polsce nie wchodzi w grę. Pan Schetyna jest bezpieczny. Mówię tylko, jak to dziś w Polsce wygląda i jak takie działania są traktowane w Europie. W Polsce jest inaczej: sądy uniewinniają masowo tych, którzy w sposób oczywisty łamali prawo, np. rzucali się na drogę, blokowali legalne demonstracje. Widziałem te zachowania z bliska.

I tak będzie zawsze?

Na pewno polskie życie publiczne wymaga jakiegoś upórządkowania, ale oczywiście zawsze w Polsce będzie wolność, i to wolność większa, niż jest dziś na Zachodzie. Polska musi być i pozostanie krajem wolności.

Sondaże wskazują, że opozycja przegrała?

Tak, opozycja te ostatnie miesiące przegrała. Ale jeśli liczą, że to nas uspi, myślą się. Ogromna zasługa w tych dobrych notowaniach premiera Morawieckiego, który dał sobie z tymi wszystkimi wyzwaniem radę. Jest ogromnie pracowity, ma nieprawdopodobną odporność fizyczną, co w polityce nie jest bez znaczenia. Dobrze wybrnął i rozwiązał sprawę protestu osób niepełnosprawnych, nie pozwalając na polityczne wykorzystanie sprawy, ale też w sposób zasadniczy zwiększając świadczenia dla tej grupy, która naprawdę potrzebuje pomocy. Duże znaczenie dla tego odbicia ma objazd naszych działaczy po Polsce, tutaj wielka praca pani premier Beaty Szydło.

Jej przyszłość?

Zapewniam, że jeszcze Polacy o niej usłyszą.

Będzie zmiana ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego?

Tak. To, co jest w tej chwili, jest absurdalne. To chyba Gierzych wymyślił: lista krajowa, ale z podziałem na okręgi. Trzeba się zdecydować: albo jedno, albo drugie.

A ordynacja do Sejmu?

Nie przewiduję w tej chwili żadnej korekty. Ona by się oczywiście przydała, ale padłyby takie zarzuty, że nie warto. Nastawiamy się na wygranie wyborów wedle istniejących zasad wyborczych.

Czy po ewentualnym kolejnym parlamentarnym zwycięstwie, na starcie kolejnej kadencji, zaproponuje pan kolejny pakiet zasadniczych zmian w Polsce? Kolejny skok reformatorski?

Kolejne lata musimy poświęcić na naprawę tych obszarów, które są najbardziej dolegliwe dla społeczeństwa, np. służby zdrowia. Tutaj konieczne będzie zwiększenie nakładów, to nieuniknione. Generalnie jednak będziemy zakładali pewną stabilizację, bo społeczeństwo tego potrzebuje. Nie można zakładać zmian permanentnych. Planujemy – czego powiedzenie wymaga pewnej odwagi – rządy dłuższe i wtedy pewne sprawy, które dzisiaj przez nas nie są stawiane, mogą zostać podjęte. Na przykład problem sposobu



zorganizowania polskiej władzy w terenie. Trzeba to jednak czynić ostrożnie. Już w 1998 r., gdy te zmiany wchodziły w życie, mówiłem, że to zawsze jest na dłużej, że takich reform nie można robić zbyt często.

A temat reparacji, odszkodowań wojennych za zbrodnie i zniszczenia dokonane przez Niemców w czasie II wojny światowej? Czy on jest aktualny?

Oczywiście, że jest aktualny, i są tu nawet pewne nowatorskie pomysły. Za wcześniej jednak, by o nich mówić. Działamy konsekwentnie: ustaliliśmy, że najpierw musimy mieć pełną dokumentację, pełną wiedzę, i tym się zajmuje zespół pana posła Arkadiusza Mularczyka.

Były pogłoski, że Niemcy proponowali odpuszczenie w konflikcie wokół sądownictwa w zamian za porzucenie tematu odszkodowań.

To proszę pytać MSZ, ja nic o tym nie wiem.

Roszczenia wobec Niemiec mogą być jakąś przeciwwagą dla spodziewanych roszczeń żydowskich?

Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Ewentualne roszczenia wobec majątku bezspadkowego to jest coś w praktyce prawnej w ogóle niespotykane. Nie ma dla nas tego tematu, nie pojawił się w ogóle w ostatnich negocjacjach z Izraelem, nie ma żadnej możliwości prawnej, by Polska takie prawo uchwaliła. Na marginesie: to by oznaczało dyskryminację własnych obywateli ze względu na narodowość. To absurdalny pomysł.

Polacy się tego obawiają.

Wiem o tym, dlatego jasno deklaruje: nic takiego nie nastąpi.

Są kraje, które płacą.

Być może w sensie państwowym mają dużo za uszami, państwo polskie nie ma. I to jasno pada także w tej deklaracji premierów Morawieckiego i Netanjahu. W tym sensie kolejny raz widzimy, że ma ona znaczenie historyczne i polityczne.

O przełomowym znaczeniu mówi się także w odniesieniu do reformy sądownictwa. Również rok temu tematem głównym były weta lipcowe prezydenta Andrzeja Dudy. Jak pan ocenia ten rok zmian w sądownictwie? Liczył się pan aż z takimi konfliktami wokół zmian?

Spodziewałem się, że ten bój będzie tak zażarty. Zauważyłem to już bardzo dawno temu, jeszcze na początku lat 90., kiedy mówiłem ludziom Unii Wolności, np. Tadeuszowi Mazowieckiemu czy Wiktorowi Osiatyńskiemu, że ten obszar wymaga radykalnych zmian. Odpowiedzią było stwierdzenie, że tam, gdzie można, władzę trzeba przekazać sądom. Panowie, to jest fundament układu, z czasem bardziej wpływowy i znaczący niż służby.

Waleśa grozi, opozycja woła, że łamiecie konstytucję, i za to odpowiecie.

Nie łamiemy konstytucji, to jest beczelne kłamstwo. I pierwsza reforma, ta zawetowana, którą uważałem za

lepszą, miała bezpośrednie oparcie w przepisie konstytucyjnym, jaki mówi, że jeśli przeprowadza się reformę sądownictwa o charakterze ustrojowym, można uchylić zasadę, iż sędziowie są nieusuwalni. Reguluje nawet, jak im wtedy trzeba płacić! Także bezpośrednio konstytucja stwierdza, że wiek emerytalny sędziów określa ustawa. Gdzie tu złamanie konstytucji?

Nie możemy być jak te tłuste, zadowolone z siebie koty. To jest oczywiście piękny widok w przypadku kota, ale jeśli tak zachowuje się polityk, jest to niezdolne, demoralizujące i nieskuteczne

Wedle opozycji w przerwaniu kadencji niektórych sędziów, np. w Sądzie Najwyższym.

To jest najwyżej czysty spór prawniczy. Co jest *lex specialis*, a co jest *lex generalis*. Tu mamy sytuację następującą. Konstytucja nie reguluje tego, w jakich okolicznościach kadencja I Prezesa SN może być przerwana. Gdyby przyjąć tylko jej regulację, to nawet śmierć nie przerywałaby kadencji. To jest oczywisty absurd i rozwiązanie znalazło się w ustawie. Jest oczywiste, że sędzia niebędący w stanie czynnym nie może pełnić funkcji związanych z kierowaniem sądem. Krótko mówiąc, przejście na emeryturę – w stan spoczynku, oznacza zakończenie misji. Nie ma w konstytucji zakazu wybierania na funkcję I Prezesa SN osoby, która w chwili wyboru ma więcej niż 59 lat, a więc to, że kadencja musi być przerwana, jest tym bardziej oczywiste. Dodam, że kiedy wiek emerytalny sędziów SN wynosił 70 lat także nie było zakazu wyboru osób, które mają powyżej 64 lat i też było oczywiste, że nie mogą pełnić funkcji w stanie spoczynku. Swego czasu próbowano nawet przedłużyć funkcjonowanie sędziów w SN powyżej 70 lat. Działo się to w świadomości, że w przeciwnym razie będą musiały nastąpić zmiany kadrowe. Krótko mówiąc, rzecz jest oczywista. Przepisy konstytucji o ustaleniu przez parlament wieku emerytalnego i przepisy ustawy o SN można tu traktować jako *lex specialis* wobec artykułu konstytucji wyznaczającego 6-letnią kadencję.

Zasada „Lex specialis derogat legi generali” o tym, że prawo o większym stopniu szczegółowości należy stosować przed prawem ogólniejszym.

Tak. Prosty wywód prawniczy prowadzi do wniosku, że *lex specialis* to jest jednak przepis o wieku emerytalnym. Krótko mówiąc: kadencja jest sześcioletnia, ale jeżeli ktoś przechodzi w tym okresie na emeryturę, to nie może być



Fot. Adam Chęśkowski/FORUM

jednocześnie emerytem i prezesem sądu. Powtarzam: konstytucję łamie opozycja, wychodząc poza normalne, przyjęte w świecie demokratycznym sposoby wyrażania krytyki. Rozumiem demonstracje, ostrą krytykę, ale niszczenia własnego państwa, bo nie oni już rządzą, nie rozumiem i nie mogę zaakceptować. Nie może być tak, że sędziowie nie podlegają ustawom, że sami sobie rozstrzygają, czy ustawa jest konstytucyjna. Od tego jest Trybunał Konstytucyjny.

Komisja Europejska nie złamie polskiej woli dokończenia tej reformy?

Nie złamie, bo to jest albo-albo. Jeśli nie zreformuje się sądownictwa, inne reformy mają mały sens, bo prędzej czy później zostaną przez takie sądy, jakie mamy, zanegowane, cofnięte.

To jest ostatnia barykada postkomunizmu?

Może nie ostatnia, ale kluczowa, ważna.

Komisja Europejska oszukała polski rząd? Uzgodnione zmiany zostały wprowadzone, ale procedur sprawdzających nie tylko nie cofnięto, zostały wszczęte nowe.

Powiedziałbym, że zachowała się w sposób niewłaściwy. O oszustwie można mówić, gdybyśmy zakładali, że można tu na pewno liczyć na odpowiednią, uzgodnioną reakcję.

Planujemy – czego powiedzenie wymaga pewnej odwagi – rządy dłuższe i wtedy pewne sprawy, które dzisiaj przez nas nie są stawiane, mogą zostać podjęte. Na przykład problem sposobu zorganizowania polskiej władzy w terenie

My takich złudzeń nie mieliśmy. Wiemy, jakie czynniki tam są czynne. Uznaliśmy, że warto spróbować, pokazać dobrą wolę.

Teraz celem jest zablokowanie ustawy o Sądzie Najwyższym w Europejskim Trybunale Sprawiedliwości.

W Polsce o zgodności stanowionego prawa z konstytucją rozstrzyga Trybunał Konstytucyjny, a ta ustawa będzie przez ten sąd oceniana.

Da się na dłuższą metę żyć z tym art. 7, sprawdzaniem praworządności, ciągłą presją? Liczono tu chyba na jakąś emocjonalną reakcję społeczną, która jednak okazała się bardzo dojrzała.

Da się, chociaż oczywiście to jest dolegliwość. Lepiej, by tego nie było. To jest kontynuowane z przedziwną upartością, bez merytorycznych podstaw, bez chęci jednoznacz-

nego przecięcia. Prawdopodobnie autorzy tego planu już wiedzą, że w głosowaniu w Radzie Europejskiej by to nie przeszło, być może nawet w pierwszym kroku. Pamiętajmy, że w tle jest dyskusja o pieniądzach, o budżecie.

Jest pomysł rozporządzenia dającego Komisji Europejskiej prawo blokowania funduszy wedle uznania, pod zarzutem naruszania praworządności. Polska to zawetuje?

Oczywiście, że zawetuje. To jest przykład nieustannego, pozatraktatowego rozszerzania kompetencji Komisji Europejskiej. Także w sprawie reformy sądownictwa komisja wkracza w obszar będący jednoznacznie w wyłącznej kompetencji państw narodowych.

Polityczne konsekwencje wet prezydenckich zostały usunięte? Podjął pan potem rozmowy z prezydentem Andrzejem Dudą.

Merytorycznie tamte rozwiązania uważałem i uważam za korzystniejsze, były jeszcze bardziej jednoznaczną ustrojową zmianą sądów, co konstytucja przewiduje. Także politycznie dawały większe pole manewru. Natomiast co do napięcia, jakie się wtedy między nami a prezydentem pojawiło, to już przeszłość.

Czy Andrzej Duda będzie kandydatem PiS na prezydenta w kolejnych wyborach? Ten wybór mający już na horyzoncie.

Mający. I gdyby mnie panowie zapytali, kto będzie naszym kandydatem na prezydenta w roku 2020, tobym powiedział, że obecny prezydent. Ale ta decyzja będzie oczywiście oficjalnie podjęta przez radę polityczną lub kongres partii.

Co pan sądzi o proponowanym przez prezydenta referendum konstytucyjnym? PiS je poprze?

Decyzja w tej sprawie jeszcze nie zapadła.

Sądzi pan, że prezydent zmierzy się z Donaldem Tuskiem?

Donald Tusk lubi działać w sytuacji, gdy ma wysoki poziom pewności wygranej. W tej chwili nie ma tej pewności. Sądzę więc, że jeśli sytuacja się nie zmieni, to nie będzie kandydował.

Wciąż dyskutowane są sprawy związane z ochroną życia. Biskupi przypomnieli, że wspierają projekt „Zatrzymaj aborcję”. Pana stanowisko?

Wiem, że wspierają. Jako katolik nie mogę tu nic powiedzieć poza tym, że ta sprawa jest w Trybunale Konstytucyjnym i warto poczekać na orzeczenie. Jakie będzie, nikt nie wie. W polityce w ogóle zawsze jest wiele niewiadomych, nie da się wszystkiego przewidzieć.

A spodziewał się pan, że te zmiany w Polsce, niebędące przecież żadną rewolucją, raczej zasadniczą korektą dokonywaną z silnym mandatem społecznego poparcia, spotkają się aż z takim atakiem, również z zagranicy? Skąd to się w ogóle bierze?

Przyczyna jest prosta: próbujemy się wybić do innej ligi, mamy już w tych zmaganiach o podniesienie pozycji Polski sukcesy. A przecież niektórzy bardzo się przyzwyczaili do tego, że Polska się nie liczy. Najpierw długo nas nie było na mapie, potem krótko byliśmy, ale przerwała to wojna. Następnie niby byliśmy, ale pod butem sowieckim, więc jakby nas nie było. I również Zachód do tego przywykł, dostrzegł korzyści z takiej sytuacji. Pamiętam swoje pierwsze polityczne podróże na Zachód, rozmowy z tamtejszymi politykami, i pamiętam, że entuzjazmu dla zmiany istniejącego stanu rzeczy nie było. Była duża obawa przed zjednoczeniem Niemiec, przed odrodzeniem ich potęgi, co się potwierdziło, choć w trochę inny sposób, niż się obawiano.

Niemcy próbowały narzucić całej Europie swój pomysł na pełne otwarcie granic Unii dla imigracji. Nie udało się. Ostatni szczyt przyniósł rezygnację z przymusowej relokacji uchodźców. Presja się zmniejszy?

Liczę na to, to naprawdę jest bardzo duży sukces Polski i jej premiera. Nasze racje, przestrogi, początkowo wyśmiewane, potwornie atakowane, znalazły zrozumienie. Dziś powinniśmy się skupić na pomocy tam, gdzie jest najbardziej potrzebna, na miejscu, co Polska czyni coraz aktywniej.

Z drugiej strony imigracja zarobkowa do Polski narasta.

Narasta, głównie z Ukrainy, ale też z Białorusi, trochę z Rosji, Azji, subkontynentu indyjskiego. Widać to nawet na ulicach Warszawy. Ale to są zupełnie inne mechanizmy, to wynika z przynależności do strefy Schengen i ogromnego deficytu rąk do pracy. W wielu miejscach w Polsce bezrobocie niemal zanikło.

Charakterystyczne, że nawet teraz nikt z Zachodu ani słowem nie wspominał, że Europa Środkowa, Grupa Wyszehradzka miały rację.

To na łamach „Sieci” francuski, choć mieszkający od kilku dekad w Polsce, dziennikarz Bernard Margueritte stwierdził niedawno, że Polska zawsze była znakiem sprzeciwu. To oczywiście sformułowanie daleko idące, ale zawierające dużo prawdy. Także w sprawie imigracji tak było, stanęliśmy wraz z Węgrami po stronie zdrowego rozsądku, fundamentów cywilizacji i wspólnoty politycznej. Bez ochrony granic to się wszystko rozsypie. I widać po przemianach politycznych w Europie, że sprzeciw obywateli narasta. Oczywiście nie zawsze ma to wymiar jednolitego dobrego, pojawiają się różne mieszanki poglądów, nie zawsze mądrych. Ale to jest jednak zmiana, zakwestionowanie tego nurtu, gdzie społeczeństwa są celem manipulacji przez garstki tych, którzy już nie tylko są bogaci, lecz topią się w tych zasobach. Uważam, że idziemy w tym nurcie, który ma rację, który historycznie zostanie uznany za zwycięski.

Ta przemiana polityczna w Europie może też znieść kanclerz Angelę Merkel.

Zobaczmy. Nie cieszyłbym się z tego. Nie wiemy, czy po niej nie przyjdzie ktoś, kto będzie bardziej elastyczny wobec

Rosjan, ona jest tu stosunkowo twarda. Z polskiego punktu widzenia nie ma co tu przeć do zmiany.

Nie możemy nie zapytać na koniec o mundial. Nie poszło tam dobrze naszej reprezentacji. Dlaczego? Rządzący chyba lubią, gdy towarzyszą im sukcesy.

No pewnie, że lubią! Sam jestem bardzo zawiedziony, ale nie jestem w stanie odpowiedzieć na pytanie, co się stało. To jest sport, przegrana zawsze może się zdarzyć,

W Hiszpanii ludzie, którzy wzywali do buntu przeciw demokratycznemu rządowi, siedzą w więzieniach. A jak nazwać to, co robi Schetyna, jeśli nie wzywaniem do buntu, łamania prawa?

ale to była jakaś zapaść. Jeśli miałbym szukać jakiejś odpowiedzi, to może w braku jedności? Ducha zespołu? Kiedyś, dość dawno temu, oglądałem mecz Polaków w Helsinkach i widziałem, że zespół jest pokłócony, że zawodnicy nie podają piłek napastnikowi, choć jest na dobrej pozycji „strzałowej”. Potem podobno to minęło, ostatnio mówiono o dobrej atmosferze, poczuciu wspólnego celu, integracji. No ale po tej klęsce okazało się, takie czytam informacje, że jednak pewne podziały były, grupki i podgrupki w drużynie, że niektórzy zawodnicy nie zaakceptowali pewnych decyzji trenera. Jeśli tak było, to musiało to mieć wpływ. Tak to widzę jako zwykły kibic. Jeśli tak było, jest to przestroga dla nas wszystkich, także dla ekipy dobrej zmiany: kłótnie, spory, podziały zawsze niosą nieszczęście.

Byliśmy ostatnio na Jasnej Górze. Spotkani tam ludzie spod Góry prosili, by zapytać pana premiera o zdrowie. Jak ono wygląda?

Jak wszyscy wiedzą, mam problem z nogą, z kolanem, i to jedyne moje poważne schorzenie. Miałem ostre zakażenie kolana, niebezpieczną bakterią, stąd to błyskawiczne przyjęcie do szpitala. To się może zdarzyć każdemu i każdy by został przyjęty w takim trybie. Z tego wychodzę, mam przed sobą jeszcze operację. Przechodzę dość ciężką kurację antybiotykową, co nie jest bez wpływu na samopoczucie. Wyniki krwi i wszystkie inne są dobre. Samopoczucie się poprawia. Wszystko idzie w dobrą stronę, pięć razy w tygodniu mam rehabilitację, mogę nawet chodzić już bez podparcia, ale jeszcze tego unikam. Bardzo mnie cieszy ta troska Polaków, o której wiem. Przyjmuję ją jako znak sympatii. Dziękuję zatem, ale uspokajam – wszystko w porządku, idzie ku dobremu.

Wakacje bez zadyszki

Po wiosennych problemach Prawa i Sprawiedliwości nie zostało nic. Mało tego, z danych wynika, że zadyszka nie tylko się skończyła, lecz PiS wyraźnie przełamało trend, a w niektórych badaniach doszusowało do poziomu poparcia wyższego niż rekordowe z roku 2016. Jak do tego doszło?



MARCIN FIJOŁEK

Tak jak jedna jaskółka wiosny nie czyni, a jeden sondaż nie zmienia kształtu sceny politycznej, tak już kilka badań wyznacza pewien trend w notowaniach, nad którym wypada się pochylić. Wyniki z ostatnich tygodni wskazują jednoznacznie – po wiosennej zadyszce Prawa i Sprawiedliwości w notowaniach nie ma już śladu, a sezon wakacyjny politycy Zjednoczonej Prawicy rozpoczynają ze sporą przewagą nad resztą stawki. Mało tego, niektóre z nich wskazują na rekordowe poparcie dla obozu dobrej zmiany, poparcie dla PiS zaś – wśród wyborców zdecydowanych, a więc tak, jak podawane są wyniki po wyborach – osiąga nawet poziom niemal 50 proc. Jakie są przyczyny tego stanu rzeczy?

SAPER MORAWIECKI

Jeszcze w połowie marca wicepremier Piotr Gliński mówił na łamach „Sieci” o „wizerunkowej zadyszce”, która w znaczący sposób przełożyła się na wyniki w notowaniach. Międzynarodowe zamieszanie wokół ustawy o IPN, informacyjny chaos wokół nagród przyznanych członkom rządu Beaty Szydło i wiele drobniejszych spraw sprawiły, że PiS znalazło się w dość głębokiej defen-

sywie. Ostatnie tygodnie to zmieniły. Główna przyczyna jest pragmatyczna – brak poważnych błędów ze strony polityków PiS, uspokojenie nastrojów i ustabilizowanie sytuacji mimo nieobecności Jarosława Kaczyńskiego. Spora w tym zasługa premiera Mateusza Morawieckiego, który umiejętnie rozbroił kilka potencjalnych niewybuchów, no i był tym, który pociągnął drużynę partyjno-parlamentarną przez niełatwy przecież okres.

O wysokie notowania prawicy pytam prof. Waldemara Parucha, politologa, dziś jednego z doradców marszałka Sejmu. – W jasny sposób widać efekty działalności premiera Mateusza Morawieckiego. Nie miał co prawda 100 miodowych dni jako szef rządu, bo trafił mu się spór z IPN i odziedziczony problem konfliktu z Komisją Europejską, ale wyszedł obronną ręką z kwestii. Jedną z głównych pułapek, jakie pojawiły się przed PiS, był problem protestu osób niepełnosprawnych. Panu premierowi wyraźnie udało się wyjść z tego kłopotu” – tłumaczy Paruch.

POMOCNA DŁOŃ WAŁĘSY

Co ciekawe, jak słyszymy od polityków z kierownictwa Zjednoczonej Prawicy, w rozbrojeniu miny przy okazji protestu niepełnosprawnych premierowi Morawieckiemu w znacznym stopniu pomógł... Lech Wałęsa.

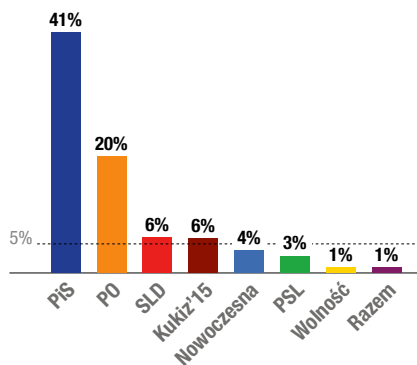
Z wewnętrznych badań PiS wynika, że do momentu wizyty byłego prezydenta w Sejmie wielu Polaków utożsamiało się z tymi, którzy okupowali korytarze parlamentu, i współczuło

im. Wizyta Wałęsy dramatycznie to zmieniła. Były prezydent jest swoim katalizatorem niekorzystnych dla opozycji tendencji. Innym dowodem jest – jak przekonuje mnie prof. Rafał Chwedoruk z Uniwersytetu Warszawskiego – sprawa protestów przy okazji zmian w Sądzie Najwyższym. – Dla samej opozycji partyjnej bardziej nośnym argumentem będzie w przyszłości to, czy reformy wymiaru sprawiedliwości przyniosły obywatelom namacalne efekty. Można też odnieść wrażenie, że te protesty są lepiej zorganizowane niż wiele poprzednich, są bardziej stonowane, ale widać jednak pewne niekonsekwencje: twarzami tego protestu nie są tylko nobliwi profesorowie prawa, lecz i Lech Wałęsa. Były prezydent niewątpliwie kapitał polityczny. Tak jak przy niepełnosprawnych, tak i tutaj, pozwalając wpisać konkretny spór jako kolejną odsłonę walki PO z PiS – mówi politolog w rozmowie z „Sieci”.

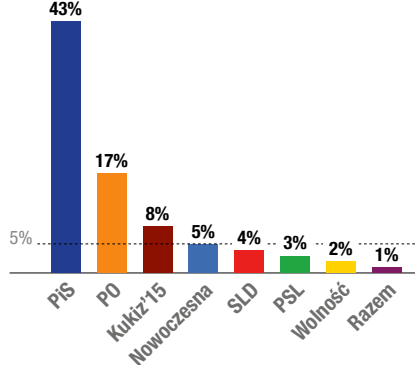
PRZEŁYWY ELEKTORATU

Wracając do wkładu premiera Morawieckiego: szef rządu umiejętnie zareagował na coraz większe zniecierpliwienie wśród rolniczej – ważnej dla PiS – części elektoratu i zdymisjonował Krzysztofa Jurgieła (choć oczywiście decyzja nie była „personalna”, ale szersza). Całkiem zręcznie zainteresował wyborców „na dole” projektami w stylu wyprawki szkolnej i innych pomysłów z „piątki Morawieckiego”, wyszedł też z projektami, które nie zostały przychylnie przyjęte przez część komentatorów, ale wyborcom się spodobały – choćby „danina solidarność-

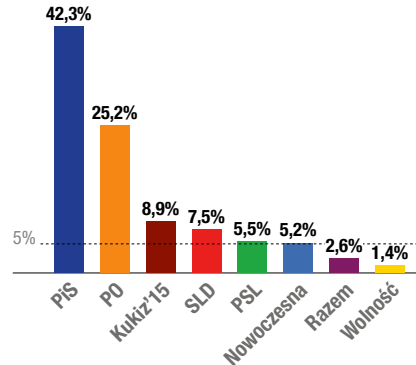
Kantar Public
8–17 czerwca



CBOS
7–14 czerwca



ESTYMATOŃ dla dorzeczy.pl
27–28 czerwca



ciowa”, której założenia są dziś doprecyzowywane w Ministerstwie Finansów.

– Premier udowodnił efektywność swojego przywództwa. Z badań wynika, że Polacy cenią władzę skuteczną. A skuteczność to cecha premiera, którą doceniają, i – co widać także w badaniach, jeszcze przed uporządkowaniem kwestii na linii Polska – Izrael – co znacząco przyczyni się do wzmocnienia tego wizerunku – dodaje prof. Paruch.

Z kolei prof. Chwedoruk zwraca uwagę na inny aspekt rządów Morawieckiego: stabilną sytuację gospodarczą i utrzymujące się niezłe wyniki agencji ratingowych. – Trzeba wziąć pod uwagę czynniki strukturalne: wzrost gospodarczy i skutki reform, które ujawniają się w przełożeniu na codzienne życie Polaków, na stan ich kieszeni. Katastroficzne przepowiednie co do tych reform najzwyczajniej w świecie się nie sprawdziły. Na to nakładają się naturalne czynniki związane z latem, wakacjami, gdy rządzącym zazwyczaj jest nieco łatwiej – mówi nam politolog.

Jest jeszcze jeden, nieco bardziej techniczny, aspekt ostatnich wzrostów poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości. Chodzi o zmiany w strukturze elektoratu, który chce głosować na ugrupowanie kierowane przez Jarosława Kaczyńskiego. W czym rzecz? Zdaniem prof. Chwedoruka zmienił się obraz tej partii – do tej pory skupionej głównie wokół żelaznego elektoratu. – Dziś elektorat PiS tworzy wiele segmentów wyborców, dlatego nie da się w pełni odpowiedzieć na pytanie, czy oboz władzy wspiera 42, 45 czy 48 proc. wyborców, bo spora część z nich jest warunkowych, sytuacyjnych, wiedzionych obietnicami społeczno-go-

spodarczymi. PiS nie ma ani powodów do paniki, jeśli pojawi się kilka punktów straty, ani perspektyw do wielkiego entuzjazmu. Po prostu, jak się jest wielką partią – w Niemczech mówi się o takich ugrupowaniach Volkspartei – to trzeba się liczyć z tym, że sytuacje codzienne będą powodowały, iż obrzeża elektoratu będą się wahały – ocenia politolog.

Z kolei prof. Paruch zwraca uwagę, że sondażowe zyski PiS odbywają się kosztem Kukiz'15. Średnie poparcie tego ruchu spadło poniżej 10 proc., wyhamowały też wzrosty poparcia dla SLD. – To elektorat wędrujący. Część balansuje między PiS a Kukizem, a część patrzy przyjaźnie na SLD. Elektorat tej partii jest zresztą w dużej mierze skierowany przeciwko Platformie – wskazuje Paruch.

WARSZAWSKI IMPULS

Dużo dobrego zrobił Prawo i Sprawiedliwości objazd po Polsce, który trwa od połowy kwietnia pod hasłem „Polska jest jedna”. Opisywaliśmy to szeroko w jednym z ostatnich numerów „Sieci”. Dzięki niemu parlamentarzyści PiS docierają z przekazem do wyborców bez filtra w postaci telewizji czy gazet. – Z perspektywy Warszawy to może się wydawać dziwne, ale gdy tłumaczę to, co zakłada choćby „piątka Morawieckiego”, to ludzie często robią wielkie oczy. Nie słyszeli albo nie znają konkretów. Uważam zresztą, że to dzięki tym spotkaniom przełamaliśmy zadyszkę, że wyszliśmy z tej głębokiej defensywy – przekonuje mnie jeden z polityków PiS.

Sukcesom w notowaniach obozu Zjednoczonej Prawicy przysłużyła się także prekampania Patryka Jakiego

w Warszawie. Wiceminister sprawiedliwości nie robi co prawda furory w stolicy – z badań wynika np., że nie wszystkich mieszkańców interesuje kwestia reprivatyzacji i związanej z tym afery w ratuszu – ale jego dynamika, zwłaszcza na tle Rafała Trzaskowskiego, przynosi rezultaty. Nie musi się to przełożyć na sukces wyborczy w samej Warszawie, ale daje polityczne paliwo PiS w Polsce. Ot, paradoks kampanijny.

Żeby nie było tak kolorowo – te, jak się wydaje, odrębione jako „wpadka” (również w samej Platformie) słowa Rafała Trzaskowskiego o „zamrożeniu” środków unijnych dla Polski mogą uderzyć w PiS. Sporej części wyborców bowiem, niezależnie od cynizmu i cwaniactwa, Platforma kojarzyć się będzie jako partia, która może odmrozić te środki, jako partia sprawcza, mająca znajomości i realny wpływ. Inaczej uważa jednak prof. Paruch. – Strategia ulicy i zagranicy, jaką przyjęła część opozycji, spowodowała przekroczenie przez Platformę pewnej czerwonej linii. Mam na myśli zaangażowanie Brukseli w sprawę Polski. Przykład? Wypowiedź Rafała Trzaskowskiego, której wydźwięk jest prosty: PO jest w stanie wykreować działania niekorzystne dla Polski, byle tylko wrócić do władzy. Odbiór społeczny takiego stanu rzeczy jest fatalny – słyszę.

Na razie przełamanie niekorzystnego trendu z początku roku trwa. I to mimo generalnie ciągle dość trudnej dla PiS sytuacji politycznej. To, jak długo ono potrwa i jak wyznaczyć oś sporu politycznego na najbliższe miesiące, to już kwestia na osobną refleksję, ale dziś wygląda na to, że PiS z wiosennego klinczu zdołało wyjść obronną ręką.



Gry Małgorzaty Gersdorf

Czy z bitwy o Sąd Najwyższy wyłoni się kandydat opozycji na prezydenta w wyborach w 2020 r.?

Najczęściej zadawane dziś w Polsce pytanie brzmi: w co gra prof. Małgorzata Gersdorf, do 4 lipca 2018 r. I prezes Sądu Najwyższego. Ona sama uważa, że wciąż jest I prezesem i nie musi tego uzasadniać. Nie musi, gdyż istnieje art. 183 ust. 3 konstytucji głoszący, że „Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego powołuje Prezydent Rzeczypospolitej na sześcioletnią kadencję spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego”. A w związku z tym jej kadencja trwa do 30 kwietnia 2020 r. Małgorzata Gersdorf uważa, że nie dotyczą jej: art. 180 ust. 4 konstytucji: „Ustawa określa granicę wieku, po osiągnięciu której sędziowie przechodzą w stan spoczynku” ani art. 180 ust. 5: „W razie zmiany ustroju sądów lub zmiany granic okrę-



STANISŁAW JANECKI

gów sądowych wolno sędziego przenosić do innego sądu lub w stan spoczynku z pozostawieniem mu pełnego uposażenia”. Prof. Gersdorf jednocześnie uważa, że innych sędziów Sądu Najwyższego te artykuły dotyczą. I choć kontestuje ich konstytucyjność, nie sprzeciwiała się ich zastosowaniu wobec 10 sędziów, którzy przed 4 lipca osiągnęli zapisany w ustawie o Sądzie Najwyższym (z 8 grudnia 2017 r.) wiek przejścia w stan spoczynku (65 lat).

4 lipca 2018 r. wyznaczony przez Małgorzatę Gersdorf (jeszcze 3 lipca) na jej zastępcę podczas nieobecności sędziego Józefa Iwulskiego tłumaczył: „Ten przepis, jakkolwiek sprzeczny z konstytucją, działa. Wywołał skutek z mocy prawa”. A rzecznik SN sędzia Michał Laskowski dodał: „Przepis kontestujemy, ale nie można tu zastosować konstytucji wprost, więc

wykonaliliśmy ustawę”. Dlatego „w środę [4 lipca] podejmowaliśmy czynności związane z ich odprawami” – dodał Laskowski. Co oznacza, że ustawa zostanie wykonana także w odniesieniu do kolejnych sędziów osiągniętych 65. rok życia. A to, czy będą nadal orzekać, zależy od decyzji prezydenta RP (po zapoznaniu się z opinią Krajowej Rady Sądownictwa).

W istocie nie istnieje więc problem Sądu Najwyższego, tylko problem Małgorzaty Gersdorf. 22 listopada 2017 r. skończyła ona 65 lat, lecz nie złożyła prezydentowi oświadczenia woli, że chciałaby nadal pełnić funkcję sędziego Sądu Najwyższego. Z mocy ustawy z 8 grudnia 2017 r. od 4 lipca 2018 r. nie jest więc już nie tylko I prezesem, lecz nawet sędzią Sądu Najwyższego. Tyle tylko, że sama Małgorzata Gersdorf tego stanu nie uznaje, dlatego 4 lipca demonstracyjnie przysłała do pracy, a towarzyszyli jej z jednej strony sędziowie SN, a z drugiej – skrzyknieni na tę okazję przedstawiciele „ludu”, czyli przeciwnicy PiS.

JAKO PREZES I NIEPREZES

Gdyby kierować się założeniami ustawodawcy, od 4 lipca 2018 r. Małgorzata Gersdorf nie jest już I prezesem SN, gdyż przepis o statusie sędziego jest nadrzędny wobec przepisu o sześciolletniej kadencji. Prezesem, a więc także czynnym sędzią, nie może być bowiem ktoś, kto przeszedł w stan spoczynku, niezależnie od tego, czy jego kadencja dobiegła końca, czy nie. Ustawa korzysta z domniemania konstytucyjności, dopóki Trybunał Konstytucyjny nie orzeknie inaczej. A do tychczas nikt skargi konstytucyjnej w tej sprawie nie wniósł. I niczego nie zmienia twierdzenie Małgorzaty Gersdorf, że taka skarga nie jest potrzebna ze względu na treść art. 183 ust. 3 konstytucji. Nawet I prezes SN nie jest bowiem uprawniona do orzekania zgodności ustaw z konstytucją. A pełna kadencja nie jest bezwzględna, o czym w przeszłości orzekał Trybunał Konstytucyjny (np. 24 czerwca 1998 r. w sprawie o sygn. K. 3/98 – w pełnym składzie), gdyż musi uwzględniać niemożność sprawowania funkcji z powodu choroby, innych przypadków losowych czy sytuacji związanych ze zmianą ustroju sądów. Wtedy o postępowaniu decyduje stosowna ustawa, bo do niej odsyła konstytucja.

Zarówno po stronie prawników, jak i polityków pojawiają się opinie, że kwestia tego, kim obecnie jest Małgorzata Gersdorf, stała się problemem politycznym, a nie prawnym. Spekulowano, że z powodów politycznych, a także z obawy przed postawieniem przed Trybunałem Stanu, prezydent Andrzej Duda nie stwierdził, zgodnie z art. 39 ustawy o Sądzie Najwyższym, przejścia Małgorzaty Gersdorf w stan spoczynku. Tyle tylko, że ten przepis dotyczy sytuacji przyszłych, natomiast w odniesieniu do stanu obecnego zastosowanie ma artykuł III par. 1 ustawy (z przepisów przejściowych i dostosowujących) automatycznie określający przejście w stan spoczynku, bez potrzeby stwierdzania tego przez prezydenta. Mimo to prezydent ostatecznie jednak wysłał II sędziom, w tym Małgorzacie Gersdorf, pisma stwierdzające ich przejście w stan spoczynku.

Sprawa ma być polityczna także z tego względu, że – jak przypuszcza np. Andrzej Stankiewicz z Onetu – doszło do

jakiegoś cichego porozumienia Andrzeja Dudy z Małgorzatą Gersdorf. Tyle tylko, że takie porozumienie nie miałoby sensu, gdyż prezydent musiałby zakładać, iż przygotowana przez niego ustawa o Sądzie Najwyższym skutecznie nie przenosi w stan spoczynku również I prezes SN i w związku z tym trzeba się z nią układać.

Obecnie stan jest taki, że sędziowie SN traktują Małgorzatę Gersdorf jak I prezes, a sędziego Iwulskiego jak jej zastępcę na czas nieobecności. Sam sędzia Iwulski ma już 66 lat i też powinien przejść w stan spoczynku, ale złożył na czas stosowne oświadczenie woli na ręce prezes Gersdorf, przekazane prezydentowi, a przez niego do KRS, więc do czasu rozpatrzenia jego sprawy jest – zgodnie z ustawą – sędzią SN. Powstaje jednak problem, czy upoważnienie sędziego Iwulskiego do zastępowania prezes Gersdorf jest ważne, skoro ona sama nie jest już prezesem. Można przyjąć, i zrobił tak prezydencki minister Paweł Mucha, że upoważnienie się nie liczy, gdyż sędzia Iwulski zastępuje prezes Gersdorf z mocy ustawy (minister Mucha powołał się na art. 14 par. 2). Tu też jest jednak problem, bo skoro to przepis z zasadniczej części ustawy, dotyczy on sytuacji przyszłych, natomiast obecnie powinien być zastosowany artykuł z „przepisów przejściowych i dostosowujących”, czyli art. III par. 4: „Jeżeli stanowisko Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego lub Prezesa Sądu Najwyższego zostanie zwolnione po wejściu w życie niniejszej ustawy, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej powierzy

REKLAMA



PL   49'                  

kierowanie Sądem Najwyższym lub izbą wskazanemu sędziemu Sądu Najwyższego do czasu powołania Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego”.

GLOBALNA NAGONKA

Małgorzata Gersdorf oświadczyła, że pójdzie na urlop, ale jeśli nie jest już I prezesem, na urlop pójść nie może, a zaległy mogła wziąć tylko przed przejściem w stan spoczynku. Powstaje też pytanie, kto jej za ten urlop zapłaci, ile i na podstawie jakich przepisów, skoro formalnie prawa do urlopu już nie ma, gdyż nie jest ani I prezesem, ani nawet sędzią SN (nie złożyła oświadczenia woli).

I tu można wrócić do zadanego na początku tego tekstu pytania: w co gra Małgorzata Gersdorf? Z jej wielu wypowiedzi można wnosić, że nie jest kimś, kto prowadzi lud na barykady, ale znalazła się w sytuacji, gdy jest ostatnią nadzieją przeciwników obecnej władzy (wcześniej taką redutą był ówczesny prezes Trybunału Konstytucyjnego Andrzej Rzepliński). I jako ostatnia nadzieja jest mocno naciskana, przede wszystkim przez byłych prezesów TK (jej mąż Bohdan Zdziennicki też był prezesem TK), ale również przez większość organizacji i stowarzyszeń prawniczych oraz przez polityczną opozycję, by upierała się, że jest I prezesem SN. Urlop jest tylko wybiegiem, żeby nie podpisywać dokumentów, bo może się to okazać nielegalne, ale chodzi o to, żeby uchodzić za I prezesa. Co przychodzi tym łatwiej, że nie ma politycznej woli blokowania Małgorzacie Gersdorf dostępu do budynku Sądu Najwyższego ani wyprowadzania jej z niego. A na to liczyli ci wszyscy, którzy chcieli wokół fizycznie wręcz „prześladowanej” Małgorzaty Gersdorf budować jakiś ruch oporu.

Nie wydaje się, żeby Małgorzata Gersdorf była „bliska decyzji”, aby „zrezygnować z funkcji 3 kwietnia [2018 r.], kiedy weszła w życie ta nowa ustawa o Sądzie Najwyższym” – jak mówiła o tym w „Dużym Formacie”. To chyba tylko mylenie tropów. Realistycznie Małgorzata Gersdorf ocenia, że nie bardzo może pójść do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, gdyż „nie mam żadnej procedury, którą mogłabym wyczerpać na poziomie krajowym, a do tego jeszcze jest mała pułapka – oświadczenie i wniosek do prezydenta, którego świadomie i celowo nie złożyłam. Więc nad skargą trzeba się spokojnie zastanowić”. Pozostaje więc odgrywanie roli pierwszej prześladowanej przez pisowski reżim.

„Uważam, że to jest zdarzenie dziejowe – I prezes Sądu Najwyższego w Polsce wyrzucona przed upływem kadencji. Przecież to będzie bardzo niepopularne zarówno w Ameryce, jak i w Europie” – powiedziała „Dużemu Formatowi”. Już podczas „sądu nad Polską” 4 lipca 2018 r. w europarlamencie w Strasburgu ta kwestia była podnoszona. A to dopiero początek kampanii. Sama Małgorzata Gersdorf tego nie ukrywa: „Moja sytuacja, moje usunięcie z urzędu I prezesa SN przed upływem kadencji stanowi najsilniejszy argument za niekonstytucyjnością tej ustawy. Gdybym więc zrezygnowała, od razu wytrącam ten argument z ręki przeciwnikom owego bezprawia. No więc zdecydowałam, że zostaję. [...] Będę wyrzucona z funkcji przed upływem kadencji konstytucyjnej, dyskryminowana ze względu na wiek i na cały świat pójdzie



Małgorzata Gersdorf

Fot. Andrzej Witko (x2)

informacją, że w Polsce wbrew konstytucji władza wykonawcza wyrzuciła I prezesa Sądu Najwyższego”.

Chodzi więc o to, żeby było głośno, żeby świat tym żył i żeby Polskę postrzegano jako kraj bezprawia, a to oznacza jeszcze większą nagonkę, jeszcze więcej protestów w kraju i uruchomienie nacisków na skalę globalną. Wokół tej sprawy ma być rozpetane piekło, a Małgorzata Gersdorf ma być nie tylko bohaterką tego wielkiego spektaklu, lecz również kimś w rodzaju politycznego lidera, choć sama temu zaprzecza.

ODSIECZ Z LUKSEMBURGA

W planie, w który częściowo Małgorzatę Gersdorf wmontowano, a częściowo sama się wpisała, chodzi o przetrwanie w oporze do czasu wniesienia przez Komisję Europejską skargi do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) w Luksemburgu w sprawie ustawy o Sądzie Najwyższym. Prof. Gersdorf myli tropy, mówiąc, że Komisja Europejska nie złożyła skargi, bo „może Niemcom lub Holendrom wygodniej jest przymknąć oko, powiedzieć, że to nasza sprawa wewnętrzna. [...] Poza tym, choć KE może wszystko, to może jednak w związku z tym, że Polska jest 38-milionowym krajem, nie warto iść na udry z jej rządem? [...] Dla nich naprawdę nie jest najważniejsze, czy w Polsce Sąd Najwyższy będzie taki czy inny”.

Skarga ma jednak istotne znaczenie, także w strategii walki obecnej Komisji Europejskiej z Polską. W sprawie pytania sędzi Aileen Donnelly z irlandzkiego Wysokiego Trybunału, czy „wobec zagrożenia praworządności w Polsce” wolno się zgodzić na ekstradycję na podstawie wydanego przez polski sąd Europejskiego Nakazu Aresztowania,

TSUE nie zaryzykuje orzeczenia uderzającego we wszystkie państwa członkowskie, a nie tylko w Polskę, lecz w sprawie Sądu Najwyższego może zrobić wszystko, bo dotyczy ona tylko naszego kraju.

TSUE może zrobić wyjątek, choć dotychczas rozpatrywał wyłącznie kwestie łamania dyrektyw i rozporządzeń (zgodnie z art. 258 Traktatu o funkcjonowaniu UE), czyli sprawy dotyczące „prawa wtórnego” Unii. Teraz TSUE może się odwołać do art. 19 traktatu o UE (funkcjonowanie skutecznego sądownictwa) w powiązaniu z art. 47 Karty Praw Podstawowych UE (prawo do bezstronnego sądu). Chodzi o to, żeby polskich sędziów uznać za sędziów UE, gdyż mogą orzekać także w sprawach dotyczących stosowania prawa UE. I w ten sposób można by zrobić sąd nad funkcjonowaniem oraz organizacją sądów w Polsce, w tym Sądu Najwyższego.

Wprawdzie kwestie funkcjonowania i organizacji sądów w państwach członkowskich nie są regulowane żadnymi dyrektywami ani rozporządzeniami w „prawie wtórnym”, więc nie ma do tego podstaw, ale walcząc z polskim rządem, można wszystko nagiąć, i na to się zanosi. Od tempa zmian w Sądzie Najwyższym zależy, w jakim stopniu ewentualny wyrok TSUE może zaszkodzić reformie Sądu Najwyższego. Dlatego Małgorzata Gersdorf gra na czas i przynajmniej przez najbliższe miesiące chce uchodzić za I prezesa SN, choćby w tym czasie była na urlopie czy zwolnieniu lekarskim – w obu wypadkach nie wiadomo w jakim charakterze, skoro przeszła w stan spoczynku.

Czas jest potrzebny do tego, żeby sytuacja polityczna w Polsce dojrzała do jakiejś formy przewrotu. Sama Małgorzata Gersdorf prezentuje się jako sceptyk, choć to zapewne tylko gra: „Jeżeli naród woli pisać zjadliwe komentarze, zamiast iść do wyborów albo demonstrować, kiedy jeszcze można, to, cytując Jacka Kuronia, »jest rządzony dokładnie tak, jak na to zasługuje«. [...] Po co wybierać Polakom żar z pieca, którego sami wybierać nie chcą? [...] Polacy sami muszą załatwić tę sprawę. [...] Przede wszystkim wyborami”.

Nie chodzi jednak o to, żeby to Małgorzata Gersdorf prowadziła lud na barykady, tylko żeby powstał ku temu odpowiedni klimat. A Sąd Najwyższy jest dla przeciwników rządów PiS ostatnią nadzieją i ostatnią redutą. Wierzą oni, że jeśli wewnętrzna rozgrywka, przede wszystkim uliczna, zostanie skoordynowana z międzynarodową nagonką oraz z działaniami Trybunału Sprawiedliwości UE, można będzie odsunąć PiS od władzy, można będzie przeprowadzić jakąś rewolucję. A wówczas Małgorzata Gersdorf byłaby jedną z bohaterek, nawet pozostając przez większą część tych działań na uboczu. Wtedy jej stanowcze zapewnienia, że polityka jej nie interesuje, mogą się zmienić. Opozycja potrzebuje przecież kandydata na prezydenta w wyborach w 2020 r. Ten plan może się nie udać, jeśli rządzący, a przede wszystkim prezydent, zapewnią warunki do szybkiego przeprowadzenia zgodnych z ustawą zmian w Sądzie Najwyższym. Przedłużanie tymczasowości oraz polityczne gry i zabawy na czas mogą się źle skończyć dla Zjednoczonej Prawicy.

Szanownemu Panu

**KRZYSZTOFOWI
TCHÓRZEWSKIEMU**

Ministrowi Energii

*wyrazy szczerego współczucia oraz żalu
z powodu śmierci*

MAMY

składa

**MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI PROKURATOR GENERALNY
ZBIGNIEW ZIOBRO**

wraz z

Kierownictwem Ministerstwa Sprawiedliwości

Szanownemu Panu

**GRZEGORZOWI
SCHREIBEROWI**

Sekretarzowi Stanu

w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów

*wyrazy szczerego współczucia oraz żalu
z powodu śmierci*

OJCA

składa

**MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI PROKURATOR GENERALNY
ZBIGNIEW ZIOBRO**

wraz z

Kierownictwem Ministerstwa Sprawiedliwości

Powiedzieliśmy im już wszystko

W wielu krajach lud domaga się respektowania jego woli politycznej. I źle reaguje, gdy w odpowiedzi na swoje postulaty słyszy, że po prostu „to niemożliwe”. Jeśli nie ma się poczucia wpływu na Unię, to Unia staje się obojętna – mówi Piotrowi Skwiecińskiemu wiceminister **Konrad Szymański**, sekretarz stanu ds. europejskich w MSZ



Czy to nie jest tak, że Komisja Europejska i, szerzej, instytucje europejskie żadnego kompromisu z Polską po prostu nie chcą? Że zapadła tam polityczna decyzja o strategicznej konfrontacji?

Konrad Szymański: My również nigdy nie zakładaliśmy kompromisu jako jedynego scenariusza. Oprócz gotowości do kompromisu broniliśmy całości naszych reform sądowych. Do kompromisu trzeba determinacji z obu stron. Komisja z tej możliwości, którą stworzył premier Morawiecki, nie skorzystała. Powodów jest więcej, ale bez wątpienia są w KE osoby, które zawsze wołały scenariusz konfrontacji.

Dlaczego?

Na pewnym etapie była, jak się wydaje, gotowość Komisji do kompromisu, ale zarazem nie było z jej strony możliwości politycznych wcielenia go w życie. Przeważała niezdolność do podjęcia poważnej decyzji i jej obrony na forum UE. Obawa przed krytyką ze strony wpływowych sił wewnątrz UE towarzyszy temu procesowi od początku.

O jakie siły chodzi?

O krajowe i międzynarodowe środowiska prawnicze. Bardzo wpływowe i potrafiące skutecznie bronić swych interesów za pomocą wzniosłego języka. Utożsamiającego te własne, korporacyjne interesy z wielkimi wartościami – wolnością, demokracją. Ale chodzi też o niektóre państwa członkowskie.

Które?

Nie mogę dziś nikogo wskazywać palcem, ale mogę powiedzieć, że dostrzegamy liczne różnice w postawie państw członkowskich. Rzecz w tym, że konflikt z Polską dotyczy w dużej mierze pytania, jak ma wyglądać równowaga między wolą polityczną, przejawioną w wyborach, a potęgą międzynarodowych regulacji i mnożących się norm. To jedno z kluczowych pytań o przyszłość liberalnej demokracji. Bezalternatywność, na którą liberalna demokracja często się powołuje, wznieca coraz szerszy bunt społeczny. Tym samym pytanie o wolę polityczną demokracji jest głównym pytaniem w debacie o przyszłości UE.

Potęgą regulacji, polegającą na paradygmacie, że narodom wielu rzeczy nie wolno i już, po prostu, „bo tak”?

To dotyczy różnych dziedzin. Na przykład północne państwa strefy euro przeżywają to mocno, bo ich interes w relacjach z unijnym południem powiązany jest z mocą regulacji – w tym wypadku fiskalnych – a argument woli politycznej narodów jest używany do podważania tej mocy. Kiedy więc tamtejsze elity słyszą, że Polska, choć w zupełnie innej sprawie, podnosi kwestię woli politycznej dla – jak oni to rozumieją – osłabienia siły norm, to reagują negatywnie. Im wola polityczna bardzo źle się kojarzy. Przy czym trzeba pamiętać, że my przecież wcale nie domagamy się prymatu woli politycznej nad regulacjami. Chodzi nam o stworzenie nowej równowagi. To pytanie o równowagę jest już obecnie stawiane w wielu stolicach. W wielu krajach lud domaga się respektowania jego woli politycznej. I źle reaguje, gdy

w odpowiedzi na swoje postulaty słyszy, że po prostu „to niemożliwe” i już...

...bo tak orzekły niewybrane elity.

Bo tego wymagają anonimowe normy. Ale w tej sprawie chodzi też o polityków i środowiska, pragnące utrzymania logiki akcesji wobec naszej części Europy.

SELEKCJONOWAĆ POLA KONFLIKTU

Logiki akcesji?

Od początku procesu rozszerzenia w krajach „starej Unii” utrzymywały się wpływy polityków, de facto niechętnych temu rozszerzeniu. Oni od początku budowali poczucie niekompatybilności. Zauważmy, że od pierwszej fali rozszerzenia minęło już niemal 15 lat, a ciągle mówi się, m.in. o Polsce, o „nowych krajach członkowskich”. Ci politycy starają się utrzymywać stan, bardziej przypominający wieczny proces naszej akcesji niż realne członkostwo. Wieczne dostosowywanie się do standardów, kształtowanych poza nami, a nie ich współkształtowanie. To przeświadczenie podziela też część środowisk politycznych w naszym kraju. I to bardzo źle wpłynęło na przebieg kryzysu związanego z relacjami Polski i instytucji unijnych. Musimy bronić siebie, ale też Unii i jej jedności – pokazując, że jest ona podmiotowa właśnie dlatego, że ma dużą skalę, że jest rozszerzona. Ale też my sami nie powinniśmy pomagać tym, którzy chcą uderzyć w nas za pomocą argumentu o naszej strukturalnej niekompatybilności – dlatego musimy starannie selekcjonować pola ewentualnego konfliktu, dbać, by się nie rozlewał.

Czy do tej pory, używając pańskiej metafory, te pola konfliktów selekcjonowaliśmy wystarczająco starannie?

Zrobiliśmy wszystko, aby ten zasadniczy konflikt o praworządność nie infekował innych sfer. Na przykład bardzo dobrze współpracujemy z Komisją Europejską w sprawie Brexitu. Zauważmy, że w trakcie konfliktu o polskie reformy sądowe Komisja była w stanie przedstawić projekt podważającej Nord Stream 2 dyrektywy gazowej, realizującej nasze oczekiwania w 100 proc. Wciąż po obu stronach – i polskiej, i unijnej – jest wystarczająco dużo polityków świetnie zdających sobie sprawę z niszczycielskiego potencjału konfliktu między Warszawą a Brukselą. Jeśli chodzi o inne napięcia – w polityce klimatycznej czy budżecie – to różnice interesów są tak stare jak nasze członkostwo. Nie my je stworzyliśmy. Mają one obiektywny charakter.

Liczyliśmy na to, że sprawa się rozejdzie, że na naszą korzyść zaważą rozbieżności w Komisji Europejskiej...

Ja osobiście przekonania, że sprawa sama się rozejdzie, nigdy nie miałem. Nigdy też nie podzielałem przekonania o jakichś fundamentalnych różnicach wewnątrz KE. Powielane przez media informacje o owych rozbieżnościach były plotkami produkowanymi na potrzeby wizerunkowe. Niemniej stwarzaliśmy naszym partnerom możliwości, z których Komisja nie skorzystała. Ten polityczny wysiłek premiera nie poszedł jednak na marne. Dziś zmiany

przyjęte przez polski Sejm są olbrzymim kapitałem w relacjach z państwami członkowskimi. Wzmacniają naszą wiarygodność i argumenty dotyczące polskiej gotowości do kompromisowego rozwiązania sporu.

Jak pan argumentuje, dyskutując z instytucjami unijnymi, kwestie organizacji sądownictwa?

Powiedzieliśmy w tej sprawie już chyba wszystko. Podkreślaliśmy, że ten spór nie dotyczy zasady praworządności ani podziału władz – bo ich nikt w Polsce nie kwestionuje. Podkreślaliśmy, że faktycznie nowa równowaga władz mieści się w granicach pluralizmu konstytucyjnego, potwierdzonego w art. 4 traktatu. Mandat sędziego jest nieodwoływalny i to jest główny wymiar gwarancji niezawisłości. W kontekście parlamentarnego wyboru sędziów – członków Krajowej Rady Sądownictwa zwracamy uwagę, że nie ma powodów, by sądzić, iż wybór parlamentarny jest gorszy od zasady kooptacji, która przecież dotąd była zasadą wyłaniania KRS, a co za tym idzie – jej decyzji personalnych. Zauważmy, że Trybunał Konstytucyjny jest w całości wybierany przez Sejm. Nikt nie podważa z tego powodu legitymacji tego sądu. W piśmie przedprocesowym w sprawie Sądu Najwyższego – wbrew dotychczasowej praktyce – KE nie wskazuje naruszenia żadnej normy wtórnego prawa unijnego. Powołuje się bezpośrednio na traktat i Kartę Praw Podstawowych. To działanie bezprecedensowe; konsekwencją przyjęcia tej linii byłoby wyznaczenie nowych reguł ustrojowych UE, rozszerzenie roli unijnego sądownictwa, na niekorzyść autonomii państw członkowskich. To oczywiście tylko fragmenty argumentacji. Spór jest znacznie szerszy.

MY, WSPÓŁCZEŚNI HUSYCI?

Tylko czy ta argumentacja nie trafia w próżnię? Niezależnie od tego, co kiedyś zapisano w traktatach, Unia jest tym, czego chcą jej elity i najważniejsze państwa członkowskie. Nie zmienimy tego. Czy to, że mimo całej unijnej kultury kompromisu Komisja wystąpiła tak ostro przeciw nam, nie świadczy o tym, że obiektywnie naprawdę jesteśmy niekompatybilni z Unią – taką, jaka realnie istnieje? Oni realizują swoje interesy i utożsamiają je z wartościami, ale zarazem w to połączenie święcie wierzą, jak w religię. Czy więc nie jesteśmy w sytuacji takiej, w jakiej w średniowiecznej Europie byłoby państwo opanowane przez heretyków? Czechy husytów albo Langwedocja katarów?

To rzeczywiście nie jest chłodny, pragmatyczny konflikt. Nasza determinacja też budzi u wielu zaskoczenie. Trudno się jednak dziwić, skoro dla obu stron to sprawa ustrojowa. Trzeba zadać sobie pytanie: czy chcemy Unii, która zmienia swój kształt za sprawą dynamicznego orzecznictwa sądów międzynarodowych? Dlatego jednym z aspektów konfliktu z Polską jest konsolidacja europejskich elit w obronie odpowiadającego im status quo. To znamienne, że decyzja KE o skierowaniu sprawy przeciw Polsce do Trybunału zapadła po wysłuchaniu, odbytym w ramach procedury art. 7. Komisja najpewniej dostrzegła, że w sporze z Warszawą nie może liczyć na konieczną większość państw członkowskich i dlatego zdecydowała się przenieść ciężar sprawy na inny, nowy grunt. Te pytania i te kwestie nie mogą oczywiście paść na sali rozpraw Trybunału Sprawiedliwości. Ale w europejskiej debacie publicznej paść muszą.

A patrząc z drugiej strony – pojawiła się opinia, że decyzję o skierowaniu sprawy do Trybunału ułatwiły Komisji uprzednie ustępstwa strony polskiej wobec instytucji europejskich, jeśli chodzi o reformy sądownictwa, a także niezwiązane z Unią wycofanie się z nowelizacji ustawy o IPN. Miałoby to przekonać Komisję, że należy przyciągać grillowanie Polski, bo rząd i tak w końcu ustąpi.

Decyzja w Komisji zapadła realnie przed zmianą ustawy o IPN. Skarga w sprawie sądów powszechnych była złożona jeszcze w tamtym roku. Tego rodzaju opinie są oderwane od realiów UE. Jeśli Bruksela nas o coś podejrzewa, to raczej odwrotnie – o zbytnią nieustępliwość. Zachód ceni dziś elastyczność, a nawet wręcz nieujawnianie politycznej natury konfliktów.

Jak oni nas w ogóle postrzegają? To zależy, kogo mamy na myśli. To cała mozaika postaw. O tych, którzy chcieliby utrzymać wobec nas logikę akcesji, mówiłem na początku, bo to martwi mnie najbardziej. Ale to przecież nie jest cały obraz. Polska jest dziś również biegunem stabilizacji politycznej, wysokiego poparcia dla integracji i sprawiedliwego wzrostu. To też jest dostrzegane. Szczególnie że różnie z tym bywa w UE. Wizja Europy podzielonej nie jest dziś dominująca. Znaczna część państw, w tym Niemcy, nie widzi sensu nowych podziałów.

Jaką rolę w tym konflikcie odgrywa polska opozycja? Prawo i Sprawiedliwość jest częścią tej proeuropejskiej większości w Polsce wbrew zakłębionym opozycji, która byłaby szczęśliwa, gdyby można było nas wepchnąć w buty



Fot. Andrzej Wiktor (1/2)

przeciwników UE. Ale to niejedyny przykład gry interesem państwa w imię interesu partyjnego. Niedawno słyszeliśmy sugestię, że Warszawa będzie otrzymywała więcej pieniędzy, gdy Polacy zagłosują na PO. Przypomina mi to komentarz jednego komisarza, który po wyborach we Włoszech powiedział, że to rynki finansowe nauczą Włochów, jak głosować. Reakcją w Rzymie była furia. Na tym tle Polacy mają do podobnych wyskoków opozycji sporo cierpliwości. Ale najgorsze jest to, że opozycja, walcząc o życie, chce piełęgnować w Polakach niedojrzałe i petenckie nastawienie wobec UE. Nasza zbiorowa dojrzałość jest jednak silniejsza.

SZANUJEMY ORZECZENIA TRYBUNAŁU

Czy uważa pan za możliwe wydanie przez Trybunał Sprawiedliwości decyzji o zastosowaniu tzw. środka tymczasowego, jak w sprawie wyrębu drzew w Białowieży, czyli zobowiązania państwa, przeciw któremu toczy się postępowanie, do niedokonywania zmian przed jego zakończeniem?

Uważam, że to realne. Ale możliwe jest to tylko wobec zmian, które nie nastąpiły przed wydaniem takiego postanowienia.

I co wtedy?

Polska szanuje orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości. Jest dziś ponad 50 toczących się spraw o niewykonanie wyroku TSUE. Wśród nich nie ma ani jednej sprawy z Polski.

Jak by to praktycznie wyglądało?

Wiele zależy tu od momentu, w którym zapadłaby decyzja o zastosowaniu środka.

A jeśli Polska ostatecznie przegra sprawę?

Nie należy uprzedzać decyzji Trybunału, który nie jest przecież notariuszem Komisji. Choć oczywiście sprawa będzie bezprecedensowa. To postępowanie z wielu względów nie ma analogii. Sędziowie Trybunału będą orzekać w sprawie innych sędziów. To wyjątkowa okoliczność, wymagająca od nich wyjątkowej ostrożności.

To przypomina Komisję Wenecką, która składa się z byłych pracowników sądownictwa konstytucyjnego. Dlatego było jasne, że w sprawie polskiego Trybunału Konstytucyjnego orzeknie na jego korzyść. Czy możemy

mieć nadzieję, że sędziów Trybunału Sprawiedliwości będzie stać na tę postulowaną przez pana wyjątkową bezstronność?

Nie mogę mieć innego stanowiska w tej kwestii.

Jeśli jednak Polska przegra, to...?

Mogę tylko powtórzyć, że Polska szanuje wszystkie orzeczenia Trybunału.

To oznaczałoby powrót do Sądu Najwyższego sędziów, którzy teraz, na mocy ustawy, odchodzą ze względu na wiek, a którzy nie złożyli do prezydenta wniosków o umożliwienie dalszego orzekania?

Nie chcę się wdawać w spekulacje dotyczące możliwego orzeczenia Trybunału. Wiele zależy od biegu spraw w Polsce. Będzie ono miało istotne znaczenie ustrojowe dla UE i dlatego będzie bacznie śledzone przez wszystkie państwa członkowskie. Polska przedstawi swoje racje w tej sprawie.

A jakie byłyby konsekwencje ewentualnej przegranej dla polskiej polityki? Viktor Orbán przegrywał sprawy przed sądami europejskimi, uznawał i wykonywał te wyroki, ale żaden z nich nie zmuszał go do przywracania na stanowiska zwolnionych, żadna z tych spraw nawet w przybliżeniu nie wywoływała na Węgrzech podobnych emocji ani nie była tak kluczowa dla agendy politycznej, jak sprawa reform sądownictwa w Polsce...

To, jak przeżywamy politykę europejską, to temat na osobną dyskusję. Wolałbym, abyśmy pod każdym względem patrzyli na nią chłodniej i spokojniej. Dotychczasowe spory węgierskie były mniej liczne niż nasze. Dotyczyły też węższego zakresu spraw. Warto pamiętać, byśmy nie dawali się prowokować do nieproporcjonalnych reakcji. Tego na pewno możemy się od Węgrów uczyć.

Patrząc szerzej – jaki wpływ miałby taki obrót sytuacji na relacje Polski i Unii?

Poczucie pełnego uczestnictwa w Unii można mieć wtedy, kiedy ma się na nią wpływ i poczucie współwłasności. Jeśli nie ma się takiego poczucia, to Unia staje się obojętna. I obecnie to właśnie zaczyna grozić Unii ze strony całej grupy państw. Polski w tej grupie oczywiście nie ma. Chcemy, by Polska nigdy do tej grupy państw nie dołączyła. Byśmy się w UE czuli wygodnie, u siebie. Także o to jest ta walka. ▶



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Podczas czwartkowej sesji Parlamentu Europejskiego posłowie podjęli decyzję o wstrzymaniu dalszych prac nad dyrektywą o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym, określaną potocznie jako ACTA 2. Nie oznacza to jednak, że projekt dyrektywy zostanie wyrzucony do kosza. Prace będą się toczyć nadal, ale jej ostateczny kształt i moment wejścia w życie będzie przedmiotem dalszych negocjacji.

W przeddzień tego głosowania została zablokowana polska edycja Wikipedii. Użytkownicy tej popularnej encyklopedii internetowej nie mogli korzystać z jej zasobów przez 24 godziny. Był to protest, który miał uświadomić internautom możliwe konsekwencje planowanych zmian: gdyby bowiem konsekwentnie wprowadzić je w życie, mogłoby się okazać, że Wikipedia musiałaby zniknąć z sieci.

PROMUJEMY SWOICH

Nie chodzi zresztą tylko o Wikipedię. Zmiany byłyby znacznie szersze i poważniejsze. Najwięcej obaw budziły (i nadal budzą) dwa artykuły proponowanej dyrektywy: 11 i 13. Artykuł 11 wprowadza tzw. podatek od linków. To określenie mylące, ponieważ w rzeczywistości chodzi o opłaty za umieszczenie odnośnika do cudzej strony internetowej. Bez tej opłaty zamieszczanie linków byłoby nielegalne.

Co to oznacza w praktyce? Przede wszystkim usunięcie z wyszukiwarek oraz mediów społecznościowych odsyłaczy do innych stron (wyobraźmy sobie Google, Facebooka czy Wikipedię po takiej zmianie). Chodzi o to, aby wytwórcy treści (przede wszystkim wydawnictwa i agencje prasowe) mogli zarabiać nawet na udostępnianiu bardzo krótkich fragmentów tekstów, takich jak nagłówki czy tytuły. Pomysło-



Prawo autorskie jest coraz częściej używane jako poręczne narzędzie do cenzurowania internetu. Europejskie koncerny medialne w pogoni za zyskiem gotowe są zgodzić się na ograniczenie swobodnego dostępu do informacji. Na razie poniosły porażkę, ale kolejna bitwa czeka nas po wakacjach

Jak założyć knebel na internet?

dawcy tłumaczą, że chodzi o walkę z piractwem internetowym, że dzięki temu rozwiązaniu wytwórcy nie będą tracić pieniędzy na podkradaniu ich materiałów przez inne serwisy i użytkowników.

To rzeczywiście jest problem, ale proponowane rozwiązanie niepokoi jeszcze bardziej. Zakłada ono bowiem, że za każdy odsyłacz wraz z fragmentem treści linkowanego materiału trzeba

będzie wnieść opłatę na rzecz organizacji zajmującej się ochroną praw autorskich w internecie (coś w rodzaju polskiego ZAiKS, który pobiera opłaty za emitowanie utworów muzycznych w radiostacjach), a ta organizacja będzie następnie przekazywać pobrane pieniądze właścicielom praw autorskich. Brzmi niegroźnie? Tak, ale tylko do chwili, gdy pomyślimy o konsekwen-



Fot. Paweł F. Matyja/Polska Press

cjach takiego pomysłu. Przecież jeśli to rozwiązanie wejdzie w życie, popularne serwisy natychmiast ograniczą liczbę udostępnianych linków, kierując się przy ich doborze arbitralnymi decyzjami. Jak można się spodziewać, premiiowane będą tutaj treści od największych dostawców.

Zresztą sami pomysłodawcy nie kryją takich nadziei, tłumacząc, że przy tej okazji ograniczy się skalę fałszywych informacji w sieci. Fałszywych, czyli – mówiąc wprost – nieautoryzowanych przez liberalny mainstream. Takie założenie prowadzi już wprost do nałożenia politycznego kagańca na internet. Oznacza ono bowiem, że wszelkie treści uznane za niepoprawne znikną w czeluściach sieci.

Ideologia idzie tu w parze z pazernością koncernów medialnych. Mamy bowiem do czynienia z ofertą monopolu informacyjnego, złożoną przez zachodnioeuropejskie (głównie niemieckie) koncerny prasowe największym amerykańskim serwisom internetowym: promujecie nasze treści, dzielimy się

zyskami, a w zamian możecie bez przeszkód działać na unijnym rynku.

FILTRY TREŚCI

Kolejnym budzącym obawy przepisem jest artykuł 13, który nakazuje użytkownikowi przewencyjną kontrolę zamieszczanych materiałów. Do tej pory użytkownik musiał usuwać materiały dopiero wtedy, gdy dowiedział się, że naruszają one prawa autorskie. Teraz – zanim cokolwiek umieści na stronie – musi sprawdzić, czy jest to legalne. W przypadku indywidualnego użytkownika oznacza to m.in. zakaz umieszczania czegokolwiek, co nie jest jego autorstwa. Dotyczy to również niezwykle popularnych w internecie memów, jeżeli wykorzystują one cudze zdjęcie. Najbardziej radykalni zwolennicy nowego prawa domagali się nawet zakazu umieszczania fotografii budynków i dzieł sztuki (bo naruszają prawa autorskie twórców).

Duże serwisy, takie jak YouTube, mogą zastosować w tym celu specjalne filtry, tzw. censorship machines (maszyny cenzurujące), które skanują każdy materiał przed umieszczeniem go w sieci. Wystarczy jakakolwiek podejrzana zawartość (np. muzyka w tle), aby materiał został zablokowany. Mniejsze, które nie mają takich możliwości technicznych ani finansowych, muszą po prostu zniknąć.

Artykuł 13 wprost nawiązuje do pomysłów sprzed kilku lat, gdy próbowano wdrożyć międzynarodową umowę handlową dotyczącą zwalczania obrotu towarami podrobionymi, znaną powszechnie jako ACTA. Na jej podstawie państwo delegowało na prywatne podmioty swoje kompetencje w zakresie ochrony praw autorskich. W ten sposób posiadacze tych praw mogli arbitralnie decydować o tym, co można publikować w internecie, a czego nie można. Inaczej mówiąc, oddawano prywatnym koncernom kontrolę nad przepływem informacji.

NIEMIECKA PRESJA

O których koncernach mowa? Nie jest tajemnicą, że najsilniejszą presję na zastrzeżenie praw autorskich wywierają

Niemcy – w szczególności Axel Springer SE (będący w Polsce współwydawcą takich tytułów jak „Fakt” i „Newsweek” oraz współwłaścicielem portalu Onet). Jak informuje zajmujące się tematyką unijną pismo „New Europe”, Axel Springer wykorzystuje swoje wpływy wewnątrz niemieckiej CDU do przepychania na forum unijnym korzystnych dla siebie projektów. Do grona przyjaciół koncernu należą m.in. Günther Oettinger – pełniący do 2016 r. funkcję komisarza ds. gospodarki cyfrowej, Manfred Weber – obecnie przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej w PE, oraz – co chyba przestaje dziwić – sprawozdawca projektu dyrektywy o prawach autorskich Axel Voss.

Przedstawiciele Axel Springer są bardzo aktywni w Brukseli. Ich najczęstszym rozmówcą jest Oettinger. Co ciekawe, do spotkań z nim dochodziło nawet wówczas, gdy utracił stanowisko komisarza ds. polityki cyfrowej i oficjalnie nie zajmował się już tematyką praw autorskich. Szef koncernu Mathias Döpfner prowadzi zresztą znacznie bardziej zakrojone negocjacje. Być może to przypadek sprawił, że rząd Viktora Orbána zmienił swoje dotąd sceptyczne stanowisko wobec projektu zaostrezenia prawa autorskiego zaraz po spotkaniu z Döpfnerem, do którego doszło – kolejny zbieg okoliczności – tuż przed niedawnymi wyborami parlamentarnymi na Węgrzech.

Nie powinno zatem nikogo zaskakiwać, że rozwiązania promowane przez niemiecki koncern i zaprzyjaźnionych z nim polityków CDU nabierają dziś kształtu oficjalnego prawa unijnego. Tym bardziej że niemiecka chadecja – choćby dzięki Manfredowi Weberowi – ma ogromny wpływ na najliczniejszą w Parlamencie Europejskim grupę EPP, do której ze strony polskiej należy Platforma Obywatelska. Zajmujący się ze strony PO tą tematyką europoseł Tadeusz Zwiefka broni jak lew rozwiązań podsuwanych przez niemieckie koncerny. „Rosnące zjawisko naruszeń praw własności intelektualnej w internecie, czyli – ujmując krótko – »piractwo«, wymaga skutecznej reakcji, która pozwoli na uczciwe wynagradzanie twórców za ich dzieła” – mówił w czerwcu, zaraz po tym jak Komisja

Prawna Parlamentu Europejskiego przyjęła zaproponowany przez Axela Vossa projekt dyrektywy.

Problem w tym, że akurat rzeczywiści twórcy tych dzieł, a więc dziennikarze, publicyści, fotoreporterzy, raczej nie zyskają na nowej dyrektywie dodatkowych pieniędzy. Jeśli ktoś zyska, to głównie posiadacze praw autorskich, wydawcy i koncerny medialne, które zajmują się dystrybucją treści.

SPRZECZNE INTERESY

Wydawcy wraz z przeniesieniem informacji do internetu rzeczywiście utracili sporą część zysków. Dzieje się tak również w Polsce, gdzie wszystkie tytuły prasowe – bez względu na opcję światopoglądową – z roku na rok tracą czytelników. Stąd zaciekle walcą o stworzenie nowego modelu biznesowego w internecie. Trudno jednak przenieść wzorce z rynku prasowego do sieci. Użytkownicy niechętnie korzystają z płatnych platform, wolą krótkie informacje na darmowych portalach i nie zastanawiają się nad tym, że napisanie artykułu i jego wydanie sporo kosztuje, więc jeśli coś jest za darmo, to albo wydawnictwo ledwie ciągnie, aby utrzymać reklamy i czytelników, albo treść jest po prostu ściągnięta z innych źródeł (czyli ukradzioną).

Mimo tych problemów obecne rozwiązania prawne wydają się na razie – z punktu widzenia tzw. odbiorcy końcowego, czyli użytkownika internetu – najlepszym rozwiązaniem. Dają mu bowiem szeroki wybór treści, dzięki czemu ma on – jeśli tylko jest dociekliwy i choć trochę wykształcony – szansę na wyrobienie sobie samodzielnego poglądu na interesujący go temat. Jeśli udało by się połączyć potrzeby wydawców z potrzebami użytkowników, nie ograniczając przy tym dostępu do informacji, mielibyśmy sytuację idealną.

Jednak niemiecki pomysł, aby wprowadzić opłaty za linkowanie cudzych treści, nie tylko nie przybliża nas do ideału, lecz wręcz od niego oddala. Za pomocą instrumentów prawnych zawęży bowiem użytkownikowi in-

ternetu dostęp do informacji i skłania go do szukania alternatywnych źródeł (póki jeszcze takie są). Niemcy przekonali się o tym na własnej skórze, gdy kilka lat temu wprowadzili u siebie obowiązek odprowadzania opłat licencyjnych za wykorzystanie fragmentów tekstów dłuższych niż pojedyncze słowa lub krótkie fragmenty. Serwisy takie jak Google (w które wymierzone było nowe prawo) po prostu usunęły z wyszukiwarek linki i niemieckie koncerny zanotowały ogromny spadek ruchu – a co za tym idzie – zysków. Jeżeli bowiem nie ma linków, nie ma też czytelników, a zatem reklam i dochodów

Gdyby proponowane regulacje prawa autorskiego obowiązywały wcześniej, trudno byłoby sobie wyobrazić nie tylko zwycięstwo PiS w 2015 r., lecz również triumf Donalda Trumpa w Ameryce

z tych reklam. Skończyło się więc na udzieleniu wyszukiwarkom darmowych licencji i wszystko wróciło do normy. Podobna sytuacja miała miejsce w Hiszpanii, gdzie wprowadzenie opłat doprowadziło do zamknięcia hiszpańskiej edycji Google News i – w efekcie – do spadku dochodów tamtejszych wydawców.

Te porażki nie odwróciły jednak koncernów od forsowania opłat. Przeciwnie, ich nieskuteczność tłumaczono tym, że wprowadzono je tylko w pojedynczych państwach. Stąd wziął się pomysł, aby zaostrenie prawa wprowadzić na terenie całej Unii Europejskiej. To mogłoby zmusić największe serwisy internetowe do uległości, co jednak oznaczałoby – jak napisałem powyżej – premiowanie treści największych koncernów medialnych w Europie kosztem dotychczasowej wolności przepływu informacji w internecie.

POWRÓT DO PRL

Utrudnienie dostępu do niepoprawnych politycznie treści (bo usunięcie linków jest ogromnym utrudnieniem) oraz nakaz autocenzury publikowanych materiałów (pod kątem bardzo szeroko rozumianych praw autorskich) mogłyby więc doprowadzić nie tylko do pogorszenia kondycji finansowej mniejszych wydawnictw i portali oraz faktycznego wyeliminowania z obiegu informacyjnego wielu indywidualnych użytkowników, lecz także – w dalszej perspektywie – do stworzenia monopolu ekonomicznego i informacyjnego

największych graczy na rynku. Konsekwencją tego monopolu mogłaby być ideologiczna kontrola internetu, który – przynajmniej w Unii Europejskiej – przestałby być przestrzenią wolnej wymiany myśli i informacji.

W takim kierunku w praktyce zmierzają projekty zaostrenia prawa autorskiego forsowane dziś w Unii Europejskiej. Jeśli się na to zgodzimy, to za kilka lat możemy się obudzić w świecie, który starsi czytelnicy pamiętają z epoki PRL. Jedna opcja, we wszystkich mediach to samo oraz powszechny zakaz fotografowania i publikowania nieocenzurowanych treści.

Dlatego dobrze się stało, że zarówno rząd, jak i europosłowie PiS zdystansowali się ostatnio od proponowanych rozwiązań. Wspieranie dyrektywy w kształcie zaproponowanym przez Axela Vossa byłoby samobójczym głosem. Gdyby bowiem dyrektywa ta obowiązywała wcześniej, trudno byłoby sobie wyobrazić nie tylko zwycięstwo PiS w 2015 r., lecz również triumf Donalda Trumpa w Ameryce czy masowy sprzeciw wobec przymusowej imigracji w Europie.

Wielu z nas znalazłoby się w szczelnej bańce, która izolowałaby nas od informacji. Jediną alternatywą stałyby się wówczas serwisy spoza Unii, ale to oznaczałoby świat pozbawiony jakiegokolwiek prawdy. Bo czyż nie byłoby miarą upadku Zachodu poszukiwanie przez jego bardziej dociekliwych mieszkańców „wiedzy” w rosyjskim lub chińskim internecie?



29 października 2010 r. wicepremierzy Waldemar Pawlak i Igor Sieczin, prawa ręka Władimira Putina, podpisują w Warszawie nową, skrajnie niekorzystną dla Polski umowę gazową

NIK nokautuje Pawlaka

Były wicepremier i minister gospodarki w rządzie Donalda Tuska ma się czego obawiać. Odtajniony właśnie raport NIK dotyczący negocjacji gazowych z Gazpromem z lat 2009–2010 potwierdza wszystko to, co ujawniliśmy w ubiegłym roku na łamach naszego tygodnika. Waldemar Pawlak i podlegli mu negocjatorzy zmieniali instrukcje negocjacyjne na korzyść Rosjan, oddali im więcej, niż oni sami żądali, by w końcu podpisać skrajnie niekorzystny kontrakt, który wciąż obowiązuje



MAREK PYZA MARCIN WIKOŁ

Raport Najwyższej Izby Kontroli powstał w marcu 2013 r. Aż roi się w nim od stwierdzeń (choć i tak zlagodzonych urzędniczą nowo-

mową), które kładą na łopatki przede wszystkim człowieka numer 2 w rządzie Donalda Tuska. Waldemar Pawlak, bo o nim mowa, został przez nas nazwany w tygodniku „Sieci” „człowiekiem Moskwy w Warszawie”. Po lekturze „Informacji o wynikach kontroli zawierania umów gazowych oraz realizacji inwestycji – terminal LNG w Świnoujściu” nie wycofujemy się z tego, wręcz przeciwnie. Po raz kolejny zaznaczamy także, że w tym przypadku można mówić o „negocjacjach”, tylko biorąc to określenie w cudzysłów.

WBREW INSTRUKCJOM

50-stronicowy dokument był przygotowywany przez prawie dwa lata. Inspektorzy badali, jak pracowały w latach 2006–2011 urzędy i spółki odpowiedzialne wówczas za energetyczne bezpieczeństwo Polski: Ministerstwo Gospodarki, Ministerstwo Skarbu Państwa, kancelaria premiera oraz PGNiG SA, Gaz-System SA i Polskie LNG SA.

Pozytywnie kontrolerzy ocenili właściwie tylko jedną rzecz – to, że organy państwowe i PGNiG zabezpieczyły

ciągłość dostaw gazu „w sposób minimalizujący ryzyko niezaspokojenia potrzeb odbiorców”. Natomiast dalsza część raportu mówiąca o tym, w jaki sposób do tego – dosyć oczywistego – zabezpieczenia doszło, to już poważny akt oskarżenia. Uwzględniając ograniczenia negocjacyjne spowodowane monopolistyczną pozycją Gazpromu, „[...] NIK zauważa jednak, iż działania Ministra Gospodarki dotyczące negocjowania w latach 2009–2010 umów z Federacją Rosyjską dotyczących dostaw gazu w ramach kontraktu jamalskiego były prowadzone w znacznej części bez wymaganego umocowania w postaci instrukcji negocjacyjnej, a po zatwierdzeniu takich instrukcji część uzgodnień była niezgodna z wytycznymi o charakterze wiążącym”.

To bardzo ciężki zarzut. Treść wspomnianych w raporcie instrukcji negocjacyjnych opisaliśmy w „Sieci” pierwsi. Ta pierwsza instrukcja, która w resorcie gospodarki powstała 3 lutego 2009 r., a zatwierdzona została przez premiera Tuska 6 marca, mówi wprost o konieczności zakupu tylko brakującej wówczas ilości gazu, o niedopuszczeniu do przedłużenia kontraktu jamalskiego i utrzymaniu kontroli nad EuRoPol Gaz SA (spółką kontrolującą przesył surowca przez terytorium Polski). Jest w niej także mowa o tym, że priorytetem jest planowany rurociąg Baltic Pipe z Norwegii oraz otwarcie terminala LNG w Świnoujściu, co miało pozwolić na zdyspersyfikowanie dostaw gazu.

I to właściwie tyle, jeśli chodzi o obronę polskiej racji stanu. 7 maja 2009 r. Waldemar Pawlak jedzie na konsultacje do Moskwy, 26 czerwca Rosjanie pojawiają się z rewizytą w Warszawie. To wystarcza, by z drugiej instrukcji, zatwierdzonej przez Donalda Tuska 17 lipca, zniknęły właściwie wszystkie najważniejsze postulaty gwarantujące nasze bezpieczeństwo energetyczne. Nie ma już mowy o gazoporcie ani o kierunku norweskim, rząd dopuszcza zwiększenie dostaw ponad polskie zapotrzebowanie, a „w interesie strony polskiej” okazuje się podpisanie umowy do roku 2035! Oddajemy również kontrolę nad prze-

sylem gazu do Europy Zachodniej, pozwalamy na ograniczenie zysku spółki EuRoPol Gaz SA do 21 mln zł rocznie, co oznacza rezygnację z setek milionów zarobku. A już całkowitą aberracją wydaje się odstąpienie od wyegzekwowania długu od Gazpromu (po długotrwałym sporze trybunał arbitrażowy w Moskwie przyznał nam rację), który płacił w latach 2006–2009 zaniżone ceny za przesył surowca przez Polskę. Mówiąc wprost, sprezentowaliśmy Rosjanom prawie 276 mln dol. (w złotych wychodzi okragły miliard).

TAJNOŚĆ NA ZAWSZE

Wróćmy teraz do raportu NIK. Dokument w czerwcu 2013 r. trafia do prezydenta Bronisława Komorowskiego, premiera Donalda Tuska, marszałek Sejmu Ewy Kopacz, marszałka Senatu Bogdana Borusewicz oraz szefów sejmowych komisji zajmujących się badanymi zagadnieniami.

Waldemar Pawlak jedzie do Moskwy, potem Rosjanie pojawiają się z rewizytą. To wystarcza, by zniknęły niemal wszystkie postulaty gwarantujące Polsce bezpieczeństwo energetyczne

Komu z tego grona mogło zależeć na ujawnieniu nokautującego dokumentu? Niech odpowiedzią będzie zestaw urzędników, którzy zdecydowali o tym, by nie zdejmować z niego klauzuli niejawności: następca Pawłaka na stanowisku wicepremiera i ministra gospodarki Janusz Piechociński, minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski i szef KPRM Jacek Cichocki. Szczegóły tych „negocjacji” miały na zawsze pozostać w zaciśniętych kancelaryjnych archiwach i wydawało się, że to się uda. Nawet obecnej ekipie (a zwłaszcza

ministrowi Piotrowi Naimskiemu) doprowadzenie do odtajnienia wszystkich dokumentów, na podstawie których powstał raport, zajęło niemal dwa lata, dlatego dopiero teraz możemy poznać całe sprawozdanie NIK.

Jego lektura nie pozostawia złudzeń – ekipa PO-PSL nie ma się czym pochwalić. Opisując w tygodniku „Sieci” wspomniane dokumenty – jeszcze wówczas gdy były one niejawne – nie znaleźliśmy treści raportu. Okazuje się, że kontrolerzy doszli do takich samych wniosków, skupiając się przede wszystkim na niejednoznacznej roli wicepremiera i ministra gospodarki Waldemara Pawłaka oraz władz PGNiG. „[...] zarówno Minister Gospodarki, jak i PGNiG SA nie wykorzystali w pełni swoich możliwości negocjacyjnych, nie podejmując próby uzyskania w zamian za zgodę na postanowienia korzystne dla strony rosyjskiej równoważnych korzyści dla Polski” – czytamy w raporcie.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że prezesi spółek gazowych (Mirosław Dobrut, Michał Szubski i Radosław Dudziński) zostali odznaczeni przez prezydenta Komorowskiego złotymi i srebrnym krzyżami „za zasługi w działalności na rzecz górnictwa naftowego i gazownictwa w Polsce”. Co w tym temacie pisze NIK? „[...] efekty gospodarcze były gorsze w stosunku do zakładanych celów ze względu na wieloletnie zaniechania w zakresie rozwoju połączeń przesyłowych z zagranicą”.

To nie koniec zastrzeżeń Izby. W rozdziale dotyczącym spółki Polskie LNG SA budującej gazoport czytamy: „[...] działania zaangażowanych w projekt spółek były prawidłowe, mimo stwierdzonych uchybień, natomiast negatywnie należy ocenić zaniechanie przez Ministra Gospodarki działań legislacyjnych w 2008 r., przez co uległo opóźnieniu przygotowanie prawnych ram usprawniających realizację inwestycji”. Znów kamyczek do ogródka Pawłaka, którego działalność na każdym etapie oceniano negatywnie. „Negocjacje rządu polskiego [...] były podjęte bez przygotowania merytorycznego. Działania niezgodne z przepisami na etapie wstępnym oraz w trakcie nego-



CZAS PROKURATORY

Dziś Pawlak udaje, że raportu NIK nie ma. Nie wypowiada się na jego temat publicznie. W mediach społecznościowych odwraca jedynie kota ogonem, powtarzając, że w sprawie gazu wbrew polskiemu interesowi działali... jego poprzednicy z PiS w latach 2006–2007. Wtórzy mu Janusz Piechociński, według którego publikacja raportu to... element kampanii wyborczej (przypominajmy: Piechociński miał największy wkład w to, że raport został utajniony). Takie zachowania trudno oceniać inaczej niż jako grę na czas.

Po naszych publikacjach 19 września Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła bowiem śledztwo „w sprawie przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków w 2010 r., w celu osiągnięcia korzyści majątkowej przez ówczesnego wicepremiera i ministra gospodarki oraz innych funkcjonariuszy publicznych w związku z negocjowaniem i podpisaniem niekorzystnej dla Polski oraz sprzecznej z prawem Unii Europejskiej umowy międzynarodowej o dostawach rosyjskiego gazu do Polski i działania w ten sposób na szkodę interesu publicznego”.

Kilka tygodni później postępowanie zostało przeniesione do Prokuratury Okręgowej w Piotrkowie Trybunalskim. Tam zgromadzono dotychczas kilkadziesiąt tomów akt (to najbardziej żmudna faza postępowania – materia jest skomplikowana, a dokumenty są obszerne, w dodatku rozsiane po wielu instytucjach) i przesłuchano kilkunastu świadków. Pozostałe czynności procesowe powinny się zakończyć w ciągu najbliższych miesięcy.

Jeśli prokuratorzy postawią w tym śledztwie zarzuty, będzie to precedensowy przypadek w III RP, by wysoki rangą urzędnik musiał ponieść konsekwencje karne wyjątkowo szkodliwych dla interesu państwa decyzji w sprawie tak dużej wagi. Jest więc szansa, że odpowiedzialność urzędnicza przestanie być wreszcie w Polsce fikcją. Dokumenty, które opisałyśmy w zeszłym roku, i relacje świadków tamtych wydarzeń, z którymi rozmawialiśmy, nie pozostawiają wątpliwości, z jaką wielką aferą mamy do czynienia. Raport NIK jedynie to potwierdza. 

cjacji, brak właściwej współpracy podmiotów uczestniczących w negocjacjach oraz niewykorzystywanie w negocjacjach posiadanych argumentów obniżyły – i tak ograniczone [...] możliwości skutecznego negocjowania warunków tych dostaw”.

Dokument pełen jest tego typu sformułowań: „działania niezgodne z przepisami na etapie wstępnym oraz w trakcie negocjacji”, „brak właściwej współpracy podmiotów [Ministerstwa Gospodarki z PGNiG – przyp. red.] uczestniczących w negocjacjach”, „niewykorzystywanie w negocjacjach posiadanych argumentów”.

I jeszcze dwa słowa na temat Ministerstwa Skarbu w rządzie Donalda Tuska, które nawet w tak ważnej – by nie rzec: kluczowej – sprawie wypełniało tylko definicję państwa teoretycznego. O nadzorze ze strony resortu: „Zaopiniowanie pięciu umów w ciągu jednego lub dwóch dni, a w dwóch przypadkach już po zawarciu umowy, wskazuje na jedynie formalne wykonanie zadania wyrażania tych zgód”.

Nie może więc dziwić, że „[...] nie udało się poprawić warunków importu gazu mimo przyznania znacznych korzyści stronie rosyjskiej”.

WALDEK STAWIA ELEKTROWNIĘ

NIK zajmowała się wyłącznie negocjacjami dotyczącymi kontraktów gazowych. Tymczasem równolegle prowadzony był drugi, być może dużo bardziej szkodliwy dla bezpieczeństwa państwa projekt. Tę aferę opisaliśmy w kolejnym artykule „Człowiek Moskwy w Warszawie”. W skrócie: rząd w Warszawie chciał się zaangażować w rosyjski projekt budowy elektrowni atomowej w obwodzie kaliningradzkim. Było to skrajnie nieko-

rzystne dla Polski i państw bałtyckich. Waldemar Pawlak w rozmowie z nami zaprzeczał, by był zainteresowany tą inwestycją, ale ujawnione przez nas rządowe dokumenty mówiły co innego. Cała ta historia ma przebieg niczym z filmu polityczno-szpiegowskiego. Na szczęście jej finał nie był tak katastrofalny, jak dążyli do tego główni bohaterowie. Przywołajmy fragment naszego tekstu z listopada ub.r.: „28 października 2010 r. z zasobów WikiLeaks dowiadujemy się, że następnego dnia w stolicy Polski może się pojawić Władimir Putin. Waldemar Pawlak jest jeszcze w Moskwie, na ostatnich rozmowach przed podpisaniem przedłużenia kontraktu jamalskiego. Ma się to stać nazajutrz w Warszawie. Do polskiego wicepremiera podchodzi jego rosyjski odpowiednik Igor Sieczin i bierze go na bok. – Gaz dogadany, a jak z połączeniem elektroenergetycznym? Robimy? – pyta. – OK, robimy – odpowiada Pawlak. Rusza urzędnicza machina, do polskiego Ministerstwa Gospodarki natychmiast dociera... faks z gotową treścią porozumienia wysłany z rosyjskiej ambasady. Wicepremier wsiada już do samolotu”.

Za kilkanaście godzin wicepremierzy Polski i Rosji będą podpisywać umowy międzyrządowe. Do ostatniej chwili grupa znających temat pracowników kilku ministerstw rwała włosy z głowy, zastanawiając się, czy wejdziemy w budowę elektrowni atomowej z Rosjanami. Nie doszło do tego wyłącznie dlatego, że czujność zachowali urzędnicy średniego szczebla i nadali dokumentom taki bieg, by uniemożliwić podpisanie memorandum. Ostatecznie zablokował je Donald Tusk, który o sprawie dowiedział się rano 29 października, wezwał Pawlaka i w konsekwencji odebrał mu pilotowanie spraw energetycznych.



Miejskie wakacje

„Wakacje, znowu są wakacje, na pewno mam rację” – śpiewał kiedyś kabaret OTTO. I potrwają aż 10 tygodni, a to nie lada wyzwanie dla każdego rodzica, bo mało kogo stać na to, żeby zapewnić dzieciom tyle czasu w rozjazdach. Jak więc sobie z tą kanikulą poradzić?



DOROTA ŁOSIEWICZ

Niektórzy spędzą więc część wakacji lub całe w domu. To jednak nie koniec świata, a jeśli człowiek dobrze się postara, to można też znaleźć parę pozytywów. Na przykład gdy rodzina zdecyduje się na odpoczynek w domu, odpada wykańczający stres z pakowaniem i z praniem ton ubrań po powrocie. Urlop znalazł

się na 42. miejscu sporządzonej przez Thomasa Holmesa listy najbardziej stresujących wydarzeń w życiu człowieka. Niektórzy cały rok czekają na takie „wczasy u siebie”.

– Najchętniej całe wakacje spędziłabym z rodziną w domu. Popołudniami wreszcie jest czas na rodzinne wyjścia. Lody, kino. To taki cudowny czas, kiedy wszyscy są w domu, rodzice pracują, a jednak jest inaczej niż w roku szkolnym, bo nie ma pytań o odrobione lekcje, korepetycje, porzucony strój na WF. Odpadają poranne przepychanki w łazience i walka o wieczorne gaszenie światła. Zwłaszcza że wtedy jest jeszcze jasno. Cokolwiek by robić, już jest radośniej! – cieszy się na wczasy „u siebie”



Fot. Shutterstock

Barbara Konarska, prezes fundacji Vir-tutti Artis.

POZNAJ OKOLICĘ

Na udane wczasy „u siebie” – czy też zwane na świecie „staycation” – mam dla państwa kilka rad. Przede wszystkim, jeśli spędzacie urlop z dziećmi w domu, koniecznie zróbcie coś innego niż zwykle. Zamiast siedzieć i oglądać telewizję, zabijając nudę, ruszcie się i poznajcie własne miasto. Spójrzcie na swoją okolicę jak turysta i odkryjcie ją na nowo.

W tym celu można skorzystać np. z usług przewodnika. Wystarczy tylko wybrać temat. W stolicy do wyboru, do koloru: można zwiedzać miasto śladami Szopena, zabytkowych budowli, warszawskiego getta czy odbyć podróż kulinarną z tradycyjną polską kuchnią. „Włóczykijski spacerownik warszawski” proponuje miejsca, które warto odwiedzić z dziećmi, w tym np. manufakturę cukierków.

Ciekawy pomysł na wakacje w mieście proponuje portal Razdwatrzy-warszawiak.pl. „Odkryj z nami historię Warszawy” – zachęca serwis. „Nie masz planów na wakacje? Lubisz zagadki i niespodzianki? Zabij nudę i na nowo odkryj warszawskie muzea! Nie siedź w domu, wyjdź na miasto i przeżyj przygodę” – namawiają twórcy między-muzealnej gry rodzinnej „Nasza Niepodległa”, którzy już po raz ósmy zapraszają

rodziny z dziećmi na wspólne zmagania „Raz, dwa, trzy, warszawiakiem jesteś Ty”. Tegoroczna edycja poświęcona jest 100. rocznicy odzyskania niepodległości i cudzoziemcom, którzy razem z warszawiakami tworzyli historię stolicy. Wystarczy odwiedzić przynajmniej osiem miejsc, aby zdobyć nagrody.

Stulecie niepodległości hucznie obchodzić będzie także Park Dzieje w oddalonej niespełna 23 km od Poznania Murowanej Goślinie. Wraz ze startem wakacji ruszyły widowiska plenerowe o tematyce historycznej. „W tym roku w scenariuszu przenosimy akcenty na odzyskanie niepodległości. Pojawia się nowa, duża scena z hymnem narodowym i wielką flagą białą-czerwoną. Wykorzystujemy też zupełnie nowe środki wyrazu, jak umiejętności akrobatyczne. Więc nawet jeśli ktoś już widział widowisko w poprzednich latach, wciąż może liczyć na coś nowego” – mówił „Głosowi Wielkopolskiemu” Tomasz Łęcki, prezes Stowarzyszenia Dzieje i pomysłodawca widowisk historycznych w Murowanej Goślinie.

Malkontenci zaraz powiedzą, że mieszkańcy dużych ośrodków mają łatwiej, jednak ciekawe wycieczki po okolicy można sobie i dziecku zorganizować w dowolnym miejscu. Jeśli nie chcemy płacić za wynajętego przewodnika, można kupić przewodnik książkowy. A pomysłowy rodzic przewodnik może sobie zrobić sam i sam może zostać przewodnikiem dla dziecka, jeśli się do tego

REKLAMA


POLSKA
SPÓŁKA GAZOWNICTWA
Sponsor Główny



Polska
smakuje

Krajowy Ośrodek
Wyparcia Rolnictwa

Wsparcie finansowe



Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania Niepodległości



IV ŚWIĘTO STRZELCA KONNEGO MEMORIAŁ 2 PUŁKU STRZELCÓW KONNYCH HRUBIESZÓW 13-15 LIPCA 2018



Szwadron Ziemi Hrubieszowskiej im. 2 Pułku Strzelców Konnych
2 Pułk Rozpoznawczy im. mjr. Henryka Dobrzańskiego „HUBALA”
Miasto Hrubieszów • Fundacja Niepodległości



facebook.com/szwadron2psk/8aebc713ad

fundacja-niepodleglosci.pl

9-15 lipca 2018

W S T U P W O J N Y

SIECI

w SIECI HISTORII

W POLSCE PL

w Polityce.pl

TVP HISTORIA

polskaZbrojna

TVP 3 LUBLIN



Patroni medialni

Jeśli spędzacie urlop z dziećmi w domu, koniecznie zróbcie coś innego niż zwykle. Zamiast siedzieć i oglądać telewizję, ruszcie w miasto. Spójrzcie na swoją okolicę jak turyści i odkryjcie ją na nowo



Fot. Shutterstock

wcześniej odrobinę przygotuje i mu się chce. Żaby było ciekawiej, można wybrać klucz wypadów: historyczny, kulturalny czy związany z naturą.

Nawet ze zwykłą łąką może się wiązać ciekawa historia. Do dziś bawi mnie, w jakich emocjach opowiadano mi 20 lat temu, gdy odwiedzałam brytyjską wioskę Admington, że to na tej łące powstawały słynne „Teletubbies”. Oczywiście nie miałam wówczas pojęcia, czym są owe „Teletubbies”, bo „Teletubisie”, o których mowa, pojawiły się znacznie później, a pokazywana mi w zachwycie łąka wydawała mi się najzwyklejszą łąką pod słońcem. Jednak czy znacie historię najstarszego bloku, bunkra lub drzewa w okolicy? Na pewno jest co poznawać.

SZLAKIEM LOKALNYCH IMPREZ

– Ja się nigdy z dziećmi w domu nie nudziłam. Kiedy były młodsze, zwiedzaliśmy wszystkie okoliczne warsztaty zajęciowe, festyny i atrakcje – wspomina Jolanta Kowalak, twórczyni strony SzczecinDlaDzieci.pl. – Trzeba tylko chcieć je znaleźć. A żeby to robić, trzeba przeglądać strony gmin, dzielnic, rad osiedla, stowarzyszeń – dodaje.

Pani Jolanta, która zbiera informacje o wydarzeniach w Szczecinie, nie ma wątpliwości, że w każdym mieście pełno jest bezpłatnych, atrakcyjnych imprez. – Zawsze gdzieś odbywa się jakiś jarmark, pchli targ, piknik sponsorowany przez jakąś firmę, są święta ulic, patronów, warsztaty kulturalne i plastyczne organizowane przez domy kultury, dużo dzieje się w kameralnych kinach. Najważniejsze to po prostu znaleźć sobie odpowiednią imprezę – podsumowuje pani Jola.

Zajrzyjmy więc na kilka portali, które informują o lokalnych wydarzeniach. Na przykład na wspomnianą już stronę SzczecinDlaDzieci.pl mamy zatrzęsienie pomysłów. Podróż „tramwajem zwany czytaniem”, warsztaty dla małych projektantów, rzeźbiarzy i miłośników baśni, teatr bajek, czytanie legend

– wszystko już od pierwszych dni lipca na Zamku Książąt Pomorskich. Poza tym zabawy w kawiarniach, pracowniach ceramicznych, jarmarki i faktycznie nawet „Street day” na Rayskiego. Podobnie przebogata jest oferta w Krakowie i okolicach opisana na Czasdzieci.pl/krakow. I tak, można się dowiedzieć o możliwości skorzystania z wakacyjnego studia pionsenki, lata z plastyką, przeczytać o akcji „Baranki w pieluchach” i wielu, wielu innych. Na stronie Czasdzieci.pl można znaleźć bogatą informację o imprezach w Warszawie, we Wrocławiu, w Łodzi, Poznaniu, Lublinie, Bydgoszczy, Trójmieście czy Rzeszowie. A pomysłów na to, jak spędzać czas z dziećmi, jest tak dużo, że najlepsze imprezy są honorowane specjalną nagrodą Słoneczniki 2018. To rodzice, wypełniając formularz, wybierają najciekawsze inicjatywy dla dzieci w poszczególnych miastach.

– Często widzę, że znajomi na Facebooku przeżywają, iż galerie handlowe są w niedziele zamknięte i oni nie mają gdzie iść z dziećmi. A przecież atrakcji w mieście jest mnóstwo. Po prostu rodzice nie wiedzą, gdzie szukać i czego szukać. Może też im się po prostu nie chce spędzać kreatywnie czasu z dziećmi – mówi Grzegorz Kozaczuk, stały bywalec imprez historycznych i kulturalnych.

Może więc – zamiast narzekać i się nudzić – warto sobie zrobić mapę imprez i szaleć.

CO JESZCZE? WSZYSTKO!

A kto lubi wypoczynek bardziej kameralny, zawsze może wpakować dziecko na rower i wybrać się na piknik. Dzieci przecież kochają pikniki. Koc z drugim śniadaniem można rozłożyć dosłownie wszędzie – w lesie, nad rzeką, przy miejskiej fontannie, nawet na placu zabaw. A tym dzieciom, które szczególnie lubią huśtawki i zjeżdżalnie, można zorganizować wycieczki szlakiem dużych placów zabaw. Każdy dzień na innej

huśtawce. Można się też zabawić w geocaching, czyli poszukiwanie skarbów za pomocą odbiornika GPS. Ukryte paczuski można znaleźć w większości miast w Polsce. Trzeba się zalogować na stronie <https://www.geocaching.pl>, wybrać miejsce i rozpocząć poszukiwania. Można również samemu zorganizować artystyczne warsztaty w domu, np. ozdabiając jedną ze ścian pięknym malowidłem (wskazane zwłaszcza w przypadku planowanego remontu). Niczego sobie będą domowe warsztaty kulinarne. Zafascynowane kulinarnymi talent show dzieci chętnie będą eksperymentowały z rodzicami w kuchni.

Natomiast za pomocą telefonu komórkowego i prostej, darmowej aplikacji do montażu można sobie urządzić prawdziwe warsztaty filmowe. Wystarczy wybrać jeden teledysk i nakręcić wspólnie jego przeróbkę. Zabawa testowana na dzieciach. Albo raczej dzieci testowały ją na mnie.

Naprawdę, drodzy rodzice, ograniczajcie was tylko wyobraźnią. I może jeszcze liczba dni, które macie na wspólne wakacyjne szaleństwa z dziećmi. Byle tylko nie siedzieć w domu przed telewizorem – bo to nuda. Takich wakacji dzieci raczej nie będą miło wspominać.

Rodzice, którzy pracują, muszą szukać ratunku w półkoloniach. Jeśli chodzi o placówki publiczne, w tym roku nerwów nie brakowało, o miejsca trzeba było się niemal bić, a niektórzy rodzice musieli posiadać dar bilokacji, by bić się o miejsca w kilku miejscach naraz. Dla odmiany oferta tzw. półkolonii prywatnych przytłacza, bo można w niej znaleźć wszystko: konie, tenis, gokarty, żagle, zajęcia rycerskie, rolkarskie, wspinaczkowe, indiańskie, czytelnicze, aktorskie, malarskie i co komu tylko do głowy przyjdzie. Niestety ceny niektórych prywatnych półkolonii nie ustępują cenom zorganizowanego wypoczynku poza miejscem zamieszkania. To więc dobre głównie dla tych dzieci, które nie lubią dłuższej rozłąki z rodzicami. 

K

U RY

*Twardziel? Amant?
Symbol Hollywood?
Ikona kina?*

*Wszystkiego po trochu.
Jego trwająca już ponad
60 lat kariera jest
pełna zdumiewających
zwrótów akcji. Ale*

*88-letni Clint Eastwood
to artysta niemożliwy
do zaszufładowania.*

*Bo odtwórca Brudnego
Harry'ego nie da się
zamknąć w ramach
jakiegokolwiek*

*stereotypu. To czyni go
prawdziwie wolnym.*

*Jego ostatni film
pokazuje, jak bliskie są
mu takie wartości jak
odwaga i patriotyzm*

Wolny jak Clint Eastwood



ŁUKASZ ADAMSKI

Czy ktoś się spodziewał, że przystojny, tryskający zdrowiem i opalenizną Kalifornijczyk, który debiutował w 1955 r. w tak „wiekopomnych” dziełach kina klasy B jak „Zemsta potwora”, „Frank marynarz”, „Lady Godiva z Coventry” i „Tarantula” stanie się ikoną zaangażowanego kina z czterema Oscarami w rękę oraz statusem człowieka, który w Hollywood może absolutnie wszystko? Wszedł przecież do Hollywood tylnymi drzwiami. Choć objawił się Amerykanom w sztabowej, ale zgodnie z tradycyjnym duchem telewizyjnej produkcji o Dzikim Zachodzie „Rawhide” (1959–1965), to dopiero kręcone we Włoszech i w Hiszpanii „spaghetti westerny” Sergia Leone przyniosły mu uznanie w ojczyźnie. Nie zapominajmy, że były one wizerunek Dzikiego Zachodu, a więc całą mitologię narodzin USA. Nihilizm, brud, wszechobecne zło, brak szeryfa w białym kapeluszu – prawda o Dzikim Zachodzie powracała na spalonej sycylijskiej ziemi, a nie w hollywoodzkich studiach filmowych.

Gary Cooper? Nie! Bezczelny Włoch stworzył westernowych antyherosów i rzucił nimi w twarz Amerykanom. Wszystko w rytm nieśmiertelnych utworów nieznanego wówczas nikomu Ennia Morricone. Clint Eastwood jako „człowiek bez imienia” był postacią tak niejednoznaczną moralnie, że trudno było się z nim utożsamiać masowemu widzowi. Uznany obecnie za arcydzieło „Dobry, zły, brzydki” (1966) został wówczas zmasakrowany przez krytyków. Dziś Quentin Tarantino „cytuje” ten film w każdym swoim dziele. Amerykańscy krytycy pokochali Leone dopiero za jego „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie” z ikonami ich kina, Charlesem Bronsonem i Henrym Fondą.

Eastwood nie zdjął kapelusza i wszedł z przytutem do mainstreamowego westernu. Unikał jednak kopiowania wizerunku Coopera. W „Powieście go wysoko” (1968) był bezlitosnym szeryfem. W produkcjach „Blef Coogana”, „Wyjęty spod prawa Josey Wales” (1976) i w kilku innych westernach miał w sobie więcej z bezimiennego od Leone niż z klasycznego mitycznego kowboja. Cynizm, zmęczenie światem, pogarda dla wrogów i minimalistyczna mimika – taki Eastwood wszedł do popkultury.

Złamał ten wizerunek w „Bez przebaczenia” (1992), za który dostał swojego pierwszego Oscara za reżyserię. Bezwzględny rewolwerowiec okazał się smutnym, zapijaczonym starcem, nieumiejącym odkupić win przeszłości.

Eastwood zawsze lubił przelamywać wcześniej wykreowany wizerunek.

(1970). Skoro był ikonograficznym stróżem prawa, no to zagrał u boku... goryla w „Jak tylko potrafisz” (1980).

Eastwood to również antysystemowiec (więcej o jego politycznych poglądach w dalszej części tekstu), który przemycił swoje poglądy do kolejnych filmów. Jego surowy, pokraczny reżysersko, ale mający nawet dziś niezwykłą siłę przyciągania reżyserski debiut „Zagraj dla mnie Misty” (1971) pojawił się w tym samym roku, co „Bрудny Harry” Dona Siegela. Jawnie prawicowy film był odpowiedzią na porażkę liberalnego wymiaru sprawiedliwości i obnażył twarz Eastwooda – libertarianina, dla którego bezpieczeństwo musi iść w parze z wolnością, a nie kajdanami państwowymi. Jako Harry Callahan pojawił się w pięciu filmach (1971–1988) i miał liczne mutacje zakończone postacią schorowanego gliniarza w „Krwawej profesji” (2002).

Eastwood nigdy nie chciał zostać amantem. Jest najbardziej godnie starzejącym się filmowcem. Siedmioro dzieci i wiele kobiet (dwie żony), z którymi był związany, wpisują go w wizerunek niegrzecznego playboya. Na ekranie nie boi się jednak ukazywać bohaterów chorych, starzejących się i przegranych. Mający zadyszkę ochroniarz prezydenta („Na linii ognia”), umierający frustrat („Gran Torino”), pragnący sławy dziadek kosmonauta („Kosmiczni kowboje”) i moralnie przegrany trener (oscarowy „Za wszelką cenę”) – nie każdy z jego pozycją miałby odwagę zagrać takie role.

Zawsze potrafił zaskoczyć. Śpiewał country w przejmującym „Honkytonk man” (1982), był romantycznym kochankiem kradnącym serce samej Meryl Streep w „Co się wydarzyło w Madison County” (1995). Jako reżyser lustrował takie historyczne postaci jak J. Edgar Hoover, Nelson Mandela („Niepokonany”), Charlie Parker („Bird”) czy zespół Four Seasons w błyskotliwym „Jersey Boys” (2014). Clint Eastwood kocha muzyczne kino. Jest pianistą i kompozytorem (napisał muzykę do kilku swoich filmów) i ma własną wytwórnię Malpaso Records.

Kim stał się Eastwood w ósmej dekadzie swojego życia? Moralistą. W Polsce pojawił się jego kolejny film.



Sława, którą Clint Eastwood zyskał, grając w hollywoodzkich produkcjach, doprowadziła go... nawet na znaczki pocztowe w Republice Nigru

Skoro zagrał bezwzględnego kmandosa w poważnym wojennym filmie „Tylko dla orłów” (1968), to szybko przyjął rolę małomównego żołnierza w lekkim „Złocie dla zuchwałych”



Cnota męstwa

15 sierpnia 2015 r. Ajub El Khazzani w imię Allaha rozpoczął krwawą masakrę we francuskim pociągu. Natknął się jednak na amerykańskich żołnierzy w cywilu. Twórca „Snajpera” nakręcił niezwykle rekonstrukcję tych wydarzeń



ŁUKASZ ADAMSKI

Clint Eastwood nie zwalnia tempa jako artysta. Ale nie tylko. Zdumiewająco energiczna żywa legenda kina, niezniszczalny „Brudny Harry”, który pracuje w filmie prawie 70 lat, stał się również sumieniem Ameryki. To moralista, ale zupełnie inny niż Steven Spielberg, będący w ostatnich latach na przemian wielkim dzieckiem („Player One”) i „rabinem” przemawiającym w imieniu odchodzącego do świata dinozaurów lewicowego liberalizmu („Czwarta władza”).

PROROK

Clint Eastwood stał się prorokiem dla Ameryki patriotycznej. Jego ostatnie reżyserskie osiągnięcia – „Snajper” (2015), „Sully” (2016) – to filmy o cnotie męstwa. Jasne, że Eastwood całą karierę celował w wizerunek szlachetnego twardziela (seria o inspektorze Harrym Callahanie) i antysystemowego mściciela (człowiek bez imienia w „dolarowej trylogii” Sergia Leone oraz kolejne jego mutacje w westernach), jednak dopiero w dojrzałym wieku postanowił nadać swoim poszukiwaniom głębszy wymiar.

Zawsze krążył wokół prawej strony sceny politycznej, choć podkreślał, że jest zbyt indywidualistą, by wchodzić do jakiegokolwiek politycznej szufladki. Ronald Reagan widział w nim swojego wiceprezydenta. On potrafił wspierać finansowo zarówno demokratów, jak i republikanów. W 1986 r. został burmistrzem kalifornijskiego miasteczka Carmel. Poparł, choć niebezpośrednio, w ostatnich wyborach Donalda Trumpa, mówiąc, że ma dosyć politycznej poprawności. Wcześniej stał u boku Mitta Romneya i ostro uderzał w idola Hollywood Baracka Obamę.

A jednak Eastwood zawsze idzie swoją drogą. To zdeklarowany libertarianin opowiadający się za legalizacją małżeństw homoseksualnych i legalną aborcją. Przeciwnik amerykańskich wojen w Wietnamie, Afganistanie i Iraku (libertarianie walczą z wizerunkiem USA jako światowego policjanta), rozszarpywany przez lewicę za laurkę dla amerykańskiego snajpera Chrisa Kyle’a, który chwalił się zastrzeleniem w Iraku 255 osób. Jego film nazwano wręcz „faszystowskim”. Eastwood tymi atakami się nie przejmując i robi swoje.

SUPLEMENT DO „SNAJPERA”

21 sierpnia 2015 r. mógł się zapisać jako jedna z kolejnych mrocznych dat w europejskiej wojnie z terroryzmem. W pociągu jadącym na linii Amsterdam – Paryż Marokańczyk Ajub El Khazzani postanowił pokazać karabinami siłę

gniewu Allaha. Zdążył postrzelić jednego Francuza. Natknął się na trzech Amerykanów, którzy zwiedzali Europę. Dwóch z nich było amerykańskimi żołnierzami. Spencer Stone, Alek Skarlatos i Anthony Sadler oraz Brytyjczyk Chris Norman powalili dżihadystę na ziemię (jeden został ranny), dzięki czemu uratowali życie setek pasażerów. Zostali później za to odznaczeni Legią Honorową przez prezydenta François Hollande’a.

Spencer, Alek i Anthony nie byli przypadkowymi pasażerami. Znają się od dzieciństwa. Byli uczniami chrześcijańskiej szkoły Freedom Christian School w kalifornijskim Fair Oaks. Tam rozrabiali. Tam ładowali razem na dywaniku u dyrektora. Tam zbudowali najmocniejszy fundament swojej przyjaźni. Anthony w przeciwieństwie do przyjaciół żołnierzy budował karierę w college’u. Nie uciekł jednak od przemocy. Nie uciekł od widma śmierci i krwi. Los pchnął go do heroicznego czynu u boku przyjaciół z armii Stanów Zjednoczonych. W pociągu wyruszającym o 15.17 do Paryża.

„15.17 do Paryża” jest suplementem do „Snajpera”. Oparty na książce „The 15:17 to Paris: The True Story of a Terrorist, a Train, and Three American Heroes” dramat nie jest obrazem tak spełnionym jak „Snajper”, najbardziej dochodowy (ponad 0,5 mld dol. wpływów) film w karierze czterokrotnego zdobywcy Oscara. Amerykańscy krytycy byli dla niego bezlitośni, co spowodowało, że w Polsce nie wszedł nawet do kin.



Co nas czeka

Od 2014 r. Eastwood nie pojawiał się już na ekranie. Jednak w wieku 90 lat wróci na drugą stronę kamery. Reżyserowany przez niego „The Mule” jest oparty na artykule „New York Timesa” z 2014 r., który opowiadał o weteranie II wojny światowej, Leo Sharpie. Mężczyzna w wieku 90 lat został... kurierem meksykańskiego kartelu narkotykowego Sinaloa, a następnie aresztowany przez DEA z wartą 3 mln dol. kokainą. Odśledził tylko trzy lata, bo przekonał ławę przysięgłych do własnej demencji. Znów więc niepokorny Kalifornijczyk podejmie kontrowersyjną tematykę. Sprawiedliwy gliniarz skończy aktorską karierę nie ikonograficzną rolą Walka Kowalskiego z „Gran Torino” (2008) ani łowcy talentów z „Dopóki piłka w grze” (2014), ale wcielając się w dealera narkotyków? Tylko Eastwood potrafi zrobić taką przewrotkę.

To najbardziej „dokumentalny” film Eastwooda. Pozbawiony typowego dla jego wojennego dyptyku „Sztandar chwały”/„Listy z Iwo Jimy” patosu i dramatyzmu. Tu liczy się solidna rekonstrukcja wydarzeń, które służą Eastwoodowi do kolejnego podkreślenia ważnych dla niego wartości. To ciekawe, że postać Kyle’a ze „Snajpera” ze Spencerem Stonem z tego filmu łączy fatum. Uwielbiany przez miliony Amerykanów Kyle, który stał się po wydaniu autobiografii celebrytą, zginął w Tekasie od kul cierpiącego na syndrom stresu pourazowego żołnierza. Stone kilka miesięcy po heroicznej walce z islamskim terrorystą we Francji omal nie zginął od ciosów nożem w banalnej ulicznej burdzie w Sacramento.

TWARZĄ W TWARZ ZE ŚMIERCIĄ

Eastwood postanowił w każdym wymiarze oddać hold trzem heroicznym Amerykanom. Obsadził ich w głównych rolach. Również na drugim planie zrezygnował ze znanych aktorskich twarzy. Alek, Spencer i Anthony wywiązali się z zadania zaskakująco dobrze. Jasne, że nie tworzą żadnych wielkich kreacji aktorskich.

No ale przecież nawet dla profesjonalnego aktora zagranie samego siebie jest szalenie trudnym zadaniem. Oni musieli oddać na ekranie własne przeżycia i emocje, zarówno gdy beztrosko imprezowali w holenderskim klubie czy odkrywali uroki Wenecji i Rzymu, jak i wtedy, gdy stanęli twarzą w twarz ze śmiercią.

To film o zwykłych ludziach, którzy robią niezwykle rzeczy. Wiele takich powstało, ale dopiero weteran Eastwood zdecydował się na tak bliską realizmu formę. Reżyser przekonuje, że przyglądał się wielu młodym aktorom, których widział w rolach bohaterów Amerykanów. Obserwując Alka, Spencera i Anthony’ego, uznał jednak, że sami powinni zagrać. Byli sceptyczni. No ale czy można kwestionować zamiysł filmowy samego Clint Eastwooda? W jednym z wywiadów reżyser zapewniał, że na planie okazało się, iż mają naturalny talent aktorski. Ponowne przeżycie wydarzeń z 2015 r. miało dla nich oczyszczający efekt.

„Ten film to hold złożony zwykłymu człowiekowi. Opowieść o młodych mężczyznach na wycieczce, którzy, kiedy w pociągu pojawia się terrorysta, wkraczają do akcji, ratując setki ludz-

kich istnień” – mówi Eastwood. „15.17 do Paryża” jest przede wszystkim rekonstrukcją wydarzeń z tamtych dni. Rekonstrukcją nie tak spektakularną jak odtworzenie innych znanych masakr czy terrorystycznych ataków („Słoń” Van Santa, „Lot 93” Greengrassa).

Dlaczego nie jest spektakularna? Bo dzięki postawie trzech przyjaciół do masakry nie doszło. Jeden postrzelony Francuz i raniony nożem Spencer to cena za uratowanie kilkuset pasażerów zaatakowanego pociągu. Eastwood nie przez przypadek naświetla kilka konkretnych wydarzeń z życia bohaterów. Poczucie silnej przyjaźni z dzieciństwem, której nie zniszczyła rozłąka. Pokonanie słabości własnego ciała po beznadziejnej z pozoru decyzji o wstąpieniu do wojska. Wszystko to prowadziło do tej jednej chwili z 21 sierpnia 2015 r., gdy bezbronni chłopcy z Kalifornii rzucili się gołymi pięściami na uzbrojonego po zęby islamskiego fanatyka.

Abstrahując już od tego, że znów to nie lubiani nad Sekwaną Amerykanie ratują francuskie życia, Eastwood mówi nam dobitnie: jeżeli sami nie weźmiemy sprawy w swoje ręce, to zginiemy. Do tego potrzebne są: pielęgnowanie cnoty męstwa i odwaga. Właśnie tego brakuje naszej bezzębnej cywilizacji. **///**

Święto teatru w Sopocie

Gala na koniec bogatego w zdarzenia Festiwalu Dwa Teatry w Sopocie. Przemawia Anna Seniuk, wybitna aktorka, nagrodzona za rolę w radiowym słuchowisku. Cytuje list Zbigniewa Herberta do studentów Akademii Teatralnej w Warszawie. Pełen poczucia inteligentkiej misji, fragment kończy się słowami: „Nie bądźcie nowocześni, bądźcie rzetelni”.

Każdy, kto obserwuje świat kultury z niepokojem jak ja, to zrozumie. A zarazem tej rzetelności wciąż jest sporo. W teatrze radiowym i telewizyjnym zaś, dla których zjechaliliśmy się do Sopotu, najwięcej. Trudno mi było wejść w świat słuchowisk, choć jest fascynujący, najbardziej stawiający na wyobraźnię ożywianą niemal wyłącznie głosami aktorów. Pozostałem przy Teatrze Telewizji. Niedawno w zapaści, przez ostatni rok pokazał 25 nowych przedstawień.

Miałem okazję powiedzieć publicznie Janowi Englertowi, że za każdym razem, kiedy oglądam jego „Spiskowców” według Josepha Conrada, traktacik o rewolucji i o ludzkiej naturze, odkrywam tam nowe znaczenia. Englert dostał nagrodę za reżyserię. Główną wygraną festiwalu stała się jednak „Inspekcja” Grzegorza Królikiewicza, wyreżyserowana przez jego syna Jacka Raginisa-Królikiewicza, o wydarzeniach poprzedzających masakrę w Katyniu, ze świetnym Mariuszem Ostrowskim jako kuszącym polskich oficerów diabłem, mjr. Zarubinem.

Nie spieram się z werdyktem – to wielki spektakl. Choć brakło mi docenienia muzycznego widowiska „Okno na tamtą stronę” Artura Hofmana według tekstów zabitego w warszawskim getcie kabareciarza i poety Władysława Szlengla. Choć nie wspomniano w finale o pięknym „Bracie naszego Boga”, adaptacji sztuki Karola Wojtyły o bracie Albercie, autorstwa Pawła Woldana, ze wspaniałym Borysem Szycem. Choć...

Tyle że mamy do czynienia z klęską urodzaju. Jedno wielkie przeżycie goniło inne. Sztuka „Marszałek” przestrzegała Polaków przed wiarą, że historia się skończyła, tekstem Wojciecha Tomczyka, a Mariusz Bonaszewski wbijał w fotele jako Piłsudski, za co czekała go główna aktorska nagroda. Dla mnie obja-

wieniem był uhonorowany wyróżnieniem Wojciech Solarz – Szlengel z „Okna na tamtą stronę”. Aktor musi mieć w sobie coś więcej niż rzemiosło, żeby tak nami wstrząsnąć.

Englert twierdził, że treść znów staje się ważniejsza od formy. Nie mam wrażenia, żeby tak było w teatrach w całej Polsce, ale tak jest w Teatrze Telewizji. Wiele z tych przedstawień traktowało o historii. Żadne nie robiło tego w ilustracyjno-krzepiającym tonie przypisywanym polskiej prawicy. A były jeszcze perfekcyjne „Pan Jowialski” Fredry w reżyserii Artura Żmijewskiego albo „Żabusia” Gabrieli Zapolskiej, którą to komedię Anna Wieczur-Bluszcz zinterpretowała trochę na modłę Ibsena. Mamy pokaz żywotności kultury wyższej. W całej jej różnorodności, skoro były i „Biesiada u hrabiny Kotlubaj” Gombrowicza, i przeniesienie na ekran z Teatru Śląskiego przedstawienia „Wujek 81. Czarna ballada” Roberta Talarczyka, które jest kwintesencją śląskości.

Dzisiejsza TVP ma wiele wad, ale to ona postawiła na talent szefowej tego Teatru – Ewy Millies-Lacroix wspieranej przez doradcę zarządu Jana Tomaszewskiego, skutecznego w obro-



nie ambitnego repertuaru. I jeszcze iza się w oczach zakręciła, kiedy Barbara Krafftówna i Franciszek Pieczka dostawali nagrodę za całą twórczość. Podszedłem do Krafftówny, 90-letniej aktorki, która niedawno zagrała, wspaniale, w „Biesiadzie u hrabiny Kotlubaj”. Powiedziałem, że 40 lat temu, jako licealista, brałem od niej przed Współczesnym autograf, że jej role wprowadziły mnie w teatr i w życie. Jestem festiwalowi wdzięczny, także za jej wzruszenie.

Piotr Zaremba



Wojciech Stanisławski

Powiększenie

Pasje, poglądy i przesady fotografa wpływają na ostateczny kształt zdjęcia nie mniej niż zestaw filtrów

Miałem kłopot z przekonaniem się do szkiców Wojciecha Nowickiego, zgrzytnęły już ich pierwsze chłodne zdania, wyznania dziecięcia wieku ustawiającego się w pozycji cynicznego i bezradnego wychowanka PRL-owskiej szkoły, któremu narzucają bohaterów i wizję przeszłości. Znudzony i zmuszony do stania na apelach autor słuchał o partyzantach ludowych i zwycięstwie nad Niemcami: sowieccy żołnierze wjeżdżali do Afganistanu, potem zaś, jak pisze, „ich powrót w niesławie mniej już nas obchodził”.

To jest zgrabna proza, Nowickiemu udaje się w niej przemycić antyklerykalną szpilę, niechęć do zmieniającej się współcześnie polityki historycznej i arystokratyczne ennui wobec wszelkich emocji zbiorowych. Nie budziłoby to mojego zdumienia ani sprzeciwu, gdyby nie sięgał przy tym po pierwszą osobę liczby mnogiej, nie czynił ze swoich odczuć deklaracji składanej w imieniu pokolenia. Zbyt bliski mi jest rocznik urodzenia autora, żebym nie zachnął się na opis udręk nastolatków „recytujących ody do generałów” i „przejmujących się tylko przejściowo” jakimiś tam starciami pod wieżą telewizyjną w Wilnie. Owszem, bezradność wobec PRL-owskiego upupiania była doświadczeniem roczników opisanych w „Madame” Antoniego Libery – skoro jednak Nowicki zaczyna od wyznania: „W roku moich urodzin nasze wojsko wjechało do Czechosłowacji”, można mu oczywiście współczuć, że nie zapał się na pyskowanie w najlepsze partyzantom ludowym i jeżdżenie z NZS pod

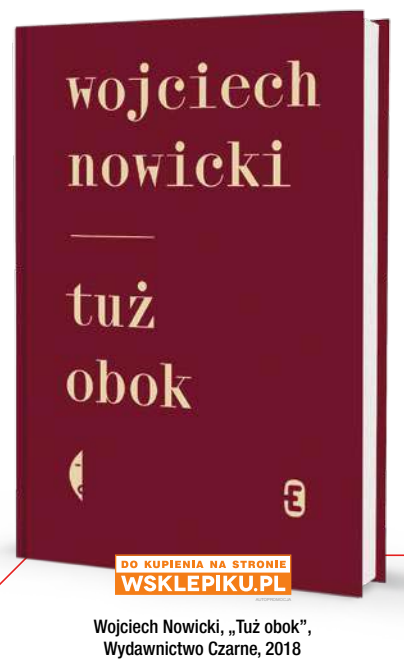
wieżę telewizyjną w Wilnie, nie warto natomiast kupować za dobrą monetę jego lamentu nad własną bezradnością jako zapisu doświadczeń generacji.

Kilka stron później autor zaczyna na szczęście mówić własnym głosem. Zachowuje dezynwolturę wobec wszelkich emocji zbiorowych, ostentacyjną, nieledwie obraźliwą, patrząc na zdjęcia z dystansem, jaki dzieli rok 2016 od 1916 i kafejkę w Maroku od izby pod Gorlicami. „To nieważne – pisze Nowicki o mundurze wojskowego – jakieś odznaczenie, ale nie mam ochoty go badać, to bez znaczenia”. Bada za to splot sukna i splot skóry na twarzach: „Owałowi podbródka [wojskowego] daleko do doskonałości, coś ściąga go na prawą stronę [...], jego twarz jest wyraźnie ciemniejsza i jakby czymś zryta. Dopiero ze szkłem powiększającym w rękę zrozumiałem, że na fotografii przedstawiono jednego z tych poparzonych, poranionych żołnierzy pierwszej wojny światowej [...], których pokryły chmury trującego, palącego gazu w transejach”.

I kiedy autor na dobre rozpocznie swoją opowieść, pozostaje nam słuchać, jak można widzieć i opisywać fotografie. Mniejsza nawet o budzącą zazdrość precyzję prozaika, o dostrzeganie tego, co „na pozór oczywiste”, a chowa się w tle: ułożenia ręki, nienaturalnej pozycji ciała, pochylenia głowy, tego pół ciała, który decyduje o bliskości lub dystansie dwóch portretowanych osób. Mniejsza również o docieklivość szczegółów, choć ta również jest najwyższej próby: niechętny orderom i piórom na kapełuszu Nowicki natychmiast dostrzega

mosiądz uchwytu, szorstkość welnianej zapaski, obrys przedwojennych ulic w zbombardowanym mieście. Gdyby prowadził warsztaty źródłoznawcze, zdołałby – ze swoim szkłem powiększającym, skanerem i doświadczeniem kuratora wystaw fotograficznych – opowiedzieć nam na nowo dzieje każdej fotografowanej wojny; ale nie to jest głównym przedmiotem jego wywodów.

Autora „Tuż obok” interesuje przede wszystkim to, co dzieje się w oku i umyśle fotografującego: za wyjątkiem może pierwszego szkicu, w którym opowiada wprost o zdeformowanych twarzach ofiar I wojny i o narodzinach chirurgii pla-



Wojciech Nowicki, „Tuż obok”,
Wydawnictwo Czarne, 2018

stycznej, jego książka traktuje o uludzie fotografii dokumentalnej, o jej niedotrzymanej obietnicy „przezroczystości”. Raz jeszcze warto podkreślić: nie idzie o proste fałszerstwa, znane nam z klisz, z których wymazywano niepożądanych towarzyszy walki lub domalowywano tłumy. Rdzeniem opowieści jest sam sposób patrzenia, niewypowiedziana intencja fotografa, którą zdradzają (szczególnie w seriach zdjęć, w wielkich przedsięwzięciach dokumentacyjnych) ramki kadru, to, co znalazło się poza nimi lub na obrzeżach obrazu, ba, sposób, w jaki zdjęcie zostało opisane.

Ta docieklivość zaprowadziła autora daleko: opisując zbiór fotografii znany jeszcze kilka lat temu, nieścisłe i przypadkowo, jako „teka Schultza”, odtwarza on dzieje „Komisji Krajoznawczej przy Cesarско-Niemieckim Generalnym Gubernatorstwie Warszawskim”, czyli placówki zajmującej się badaniem geografii fizycznej i gospodarczej zajętych w 1915 r. przez Niemców ziem Kongresówki. Zdjęcia przechowy-

wane w krakowskim Muzeum Etnograficznym to część dorobku komisji, zastanawiającego przez to, jak badacze ziem polskich pomijali skalę zniszczeń wojennych, jak skupiali się na „typach ludzkich”, fotografowanych z chłodem raczej policjanta niż antropologa. Te odkrycia zaś skłaniają Nowickiego do opisu postawy konkwistadorskiej, do opowiedzenia o mariażu nauki, pasji badawczej i polityki. Również o tym, jak akademickie pasje antropologów niepostrzeżenie ewoluowały w fascynację „rasami ludzkimi”, ich hierarchizowaniem i eugeniką, jak niewiele kroków dzieliło marzenia o „ulepszeniu rodzaju ludzkiego” od gotowości unicestwiania jego wybrakowanych (zdaniem oceniającego) przypadków.

Mógłbym zapytać, trochę złośliwie: czy po tych odkryciach autor nadal uważa, że tak błahe są wszystkie te odznaczenia i mundury sprzed stu lat? Czy rzeczywiście nie należy im się ani szczypta sympatii za próby obrony tego czy innego ludu przed

inwazją czołgów i kraniometrów? Ale może lepiej oszczędzić sobie daremnej pewnie perswazji i zamiast tego posłuchać jeszcze przez chwilę opowieści o migawce z targu w Częstochowie w latach I wojny: „Leżący, krótki prostokąt jest pełen po brzegi, kipi od życia, które wylewa się poza kadr. Dołem kosze z towarami, w dwóch z pewnością jakieś drobne jagody [...], to wszystko jednak nieważne, bo oprócz ogólnego rozgardiaszu i pełni, które w osobliwy sposób tkają to zdjęcie, widzę tylko tę dziewczynkę u dołu po prawej, trzecią handlarke, wiejskie dziecko: świeci na ciemnym tle chustką, twarzą, koszulą, kostkami, wszystko papierowo białe. Na ciemnym tle ubrań dorosłych jest tylko ona i jej dziecięce, po dziecinnemu okazywane zmęczenie, gest wsparcia ręki o koszyk, a na tej ręce opiera się całe ciało, nawet głowę przechyla, jakby miała za chwilę upaść”. Kiedy czytam podobne akapity, myślę, że do „ożywienia fotografii” nie trzeba było braci Lumière: wystarczyłby Nowicki. 

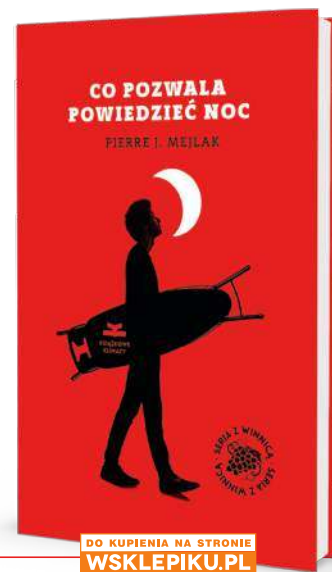
Popołudnie Erazmusa

O powiadania Pierre’a Mejlaka są zgrabne, zwężle, musujące. Zwykle zapalnikami bywa dla nich niecodziennosc bliska nadrealistom, czasem sytuacja na pozór banalna prowadzi nas do migawkowego błysku pointy. Z reguły pisane są na jednym oddechu: to nie partie szachów, prędzej warcaby lub kółko i krzyżyk, gdzie też przecież można osiągnąć mistrzostwo. Wyznanie o dawnej kochance, mała katastrofa budowlana, kolczyk znaleziony pod łóżkiem stają się niczym ostatni z wielu zwrotów kostki Rubika, ze smacznym kliknięciem przywracający ład całego sześcianu.

Po drugiej lekturze zbiorku zaczyna nas frapować również kształt świata przedstawionego, jego miękkość, a zarazem niedookreślenie konturów. Pozostajemy w ciepłej, owianej wiatrem od morza Europie południowo-zachodniej: z nazwy poznamy Alicante,

z kontekstu domyślamy się tuzina miast, od Valletty po Paryż i Londyn. Do tego wypad do zranionego wojną, otwierającego się dopiero na turystów państwka -- to może być Bośnia albo Czarnogóra.

W miastach tych dożywają swoich dni emeryci i wdowy, pomieszkują w nich bez pretensji do zakorzenienia pary, które poznały się podczas trekkingu, młodzi profesjonaliści, których idylla przypomina trochę plakat reklamujący Erazmusa: różne karnacje, perlisty śmiech. Jest również karykaturalny, marzący o zaszczytach biskup i syn związany pępowiną z matką 30 lat od narodzin: wszyscy podobni w swym przywiązaniu do komfortu raczej niż do marzeń czy „wielkich narracji”, oświeceni zachodzącym słońcem. Myślę z uznaniem, ale i z rozbawieniem o tym, jaką inspiracją okazało się dla autora rodem z Malty sześć lat pracy tłumacza



Pierre J. Mejlak, „Co pozwala powiedzieć noc”,
tłum. Krzysztof Szczurek,
Wydawnictwo Książkowe Klimaty, 2018

w brukselskich biurach, jak wymowne było wyróżnienie opowiadań Mejlaka Nagrodą Literacką Unii Europejskiej w jednej z pierwszych jej edycji. 



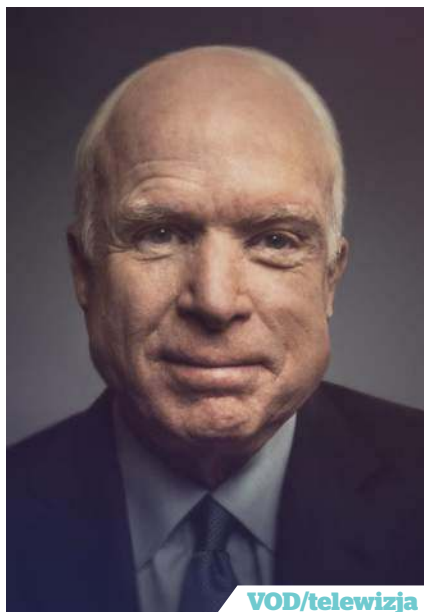
Spowiedź umierającej ikony



John McCain. Wieczny indywidualista niedający się zaszufladkować żadnej sile politycznej. Republikanin z krwi i kości przyjaźniący się z takimi wyrazistymi demokratami jak Joe Biden czy Joe Liberman. Ten film jest testamentem cierpiącego na glejaka wielopostaciowego (ten sam nowotwór zabił senatora Teda Kennedy'ego) amerykańskiego bohatera.

John S. McCain III (trzecie pokolenie służącej krajowi rodziny) to symbol amerykańskiego patriotyzmu. Jego dziadek i ojciec służyli w marynarce wojennej. On po studiach wstąpił do lotnictwa marynarki wojennej. W 1967 r. jako porucznik marynarki zgłosił się na ochotnika do służby w Wietnamie. 26 października jego samolot został zestrzelony nad Hanoi. McCaina wyłowiono z jeziora i przekazano w ręce komunistycznego Wietkongu. Trafił do cieszącego się mroczną sławą „Hanoi Hilton”, gdzie był torturowany. Gdy Wietnamczycy dowiedzieli się, że McCain jest synem wysoko postawionego admirała, zaproponowali mu zwolnienie. Amerykanin odmówił wyjścia na wolność przed innymi „gorzej urodzonymi” więzionymi oficerami. Spędził w komunistycznym więzieniu prawie sześć lat. Obóz na zawsze zrujnował mu zdrowie. A jednak dziś mówi, że wstydzi się złożenia nic nieznaczącego podpisu pod papierami podsunietymi mu przez oprawców. Co na to tajni współpracownicy SB, niemające wiele wspólnego z krwiożerczością siepaczy Ho Chi Minha?

Po latach McCain wrócił do „Hanoi Hilton” jako senator USA, który dążył do znormalizowania stosunków z Wietna-



VOD/telewizja

mem. Udało się to osiągnąć (a jakże!) za administracji jego przeciwnika politycznego Billa Clintona. Dziś McCain jest uważany przez twardą prawicę z Tea Party czy zwolenników Trumpa za lewe skrzydło Partii Republikańskiej. Jednak wyrósł politycznie przy takich ikonach konserwatywnej kontrrewolucji jak Barry Goldwater i Ronald Reagan. Tego drugiego nazywa swoim mentorem. Pozostał wierny jego wolnościowym ideom i twardemu antykomunizmowi. Przede wszystkim ten „Maverick” (nieobliczalny indywidualista) pozostał wierny sobie i Stanom Zjednoczonym, które ma zawsze w sercu.

Wyreżyserowany przez sześciokrotnego zdobywcę Emmy Petera Kunhardta dokument „John McCain: Komu bije dzwon” to chwytająca za serce spowiedź umierającego człowieka. Żarliwego patrioty, twardego krocącego własną drogą, który nie boi się skonfrontować na ekranie z kontrowersyjnymi momentami kariery, rozwodem i boleśnie przegranymi starciami w wyborach prezydenckich. Tytuł filmu jest zaczerpnięty z ulubionej książki McCaina „Komu bije dzwon”. Senator przyznaje, że postać z powieści Hemingwaya Robert Jordan jest dla niego najważniejszym bohaterem, bo „oddał życie za swoje wartości”. Cóż, wspaniałą powieść napisał sowiecki agent, który wspierałby zapewne Wietkong jak Jane Fonda i wielu innych pożytecznych idiotów Kremla. No, ale to się wpisuje w nietuzinkowość samego McCaina.

„JOHN MCCAIN: KOMU BIJE DZWON” DOSTĘPNY NA HBO GO I HBO

DVD

Wybitne kino



Nie pojmuję, dlaczego Martin McDonagh nie dostał Oscara za scenariusz tego znakomitego dzieła. Historia opłakującej zamordowaną córkę Mildred Haynes (Oscar dla Francis McDormand), która rzuca rękawicę całej miścinie Ebbing, to kawał wielowarstwowego kina. Doskonała mieszanka dramatu i czarnej komedii!

Walka zdeterminowanej kobiety z systemem reprezentowanym przez dwóch gliniarzy – dobrodusznego szeryfa Billa (Woody Harrelson) i rasistowskiego prostaczka Dixona (nagrodzony Oscarem Sam Rockwell) – jest



tylko pretekstem do głębszej przypowieści, ze wspaniale napisanymi, pełnymi sprzeczności postaciami. McDonagh opowiada o ludziach wrzuconych do pełnej rozczarowań, niesprawiedliwości i egzystencjalnego bólu groteskowej rzeczywistości. Przyziemność miesza się z grecką tragedią, dialogi tną ucho ostrością, a wyciszony, kontemplacyjny finał nokautuje, dowodząc, że Irlandczyk nakręcił po prostu ponadczasowy, wybitny film.

„TRZY BILLBOARDY ZA EBBING, MISSOURI”

REŻ. MARTIN MCDONAGH,
DYSTR. IMPERIAL CINEPIX



Uwierz w siebie? Ależ banał!



Kino

Akcja wygląda z grubsza tak. Pulchniutka i zakompleksiona Renee (Amy Schumer) uderza się w głowę na siłowni. Uderzenie jest tak silne, że po odzyskaniu przytomności dziewczyna myśli, iż jest superlaską, mającą świat pod zgrabnymi i podziwianymi przez wszystkich samców nogami. No i zaczyna się cukierkowy moralitet wprost z hollywoodzkiej fabryki plastiku.

Uwierz w siebie, zaakceptuj swój wygląd! Spójrz w głąb swojego serca i uwierz, że jesteś piękna! Nie ciało, ale wnętrze, świadczy o człowieku! To nie slogan reklamowy ubrań o rozmiarze XXL, ale przesłanie „Jestem taka piękna!”. Renee nagle zaczyna wierzyć, że również ona może osiągnąć swoje nowojorskie marzenie. Jednocześnie, jak stereotypowa piękność, zaczyna z wyższością patrzeć na otoczenie.

Jest jakaś mądrość w tej komedyjce. Ja również uważam, że dzisiejszy religijny kult ciała z dietetyczną dogmatyką, surowymi postami i w końcu bożkami spoglądającymi na nas z każdego billboardu oraz telewizyjnej reklamy to nowa forma pogaństwa. Niestety produkcja Schumer to nie inteligentna satyra z konsumpcyjnego społeczeństwa, ale błaha i banalna opowiadka, z irytującym w gruncie rzeczy przesłaniem.

Lubię dawny ostry i radykalnie niepoprawny, uroczo wulgarny stand-up

Schumer. Od jakiegoś czasu jest on niestety powtarzalny i nudny. Amy bez błysku i dawnej autoironii opowiada żenujące żarty, osuwając się w totalnie niesmaczny ekszibicjonizm. Nie potrafi też wyważyć swojego ostrego dowcipu z ugrzecznoną komedią skrojoną pod masowego widza. O ile jeszcze „Wykolejona” (2015) momentami bawiła i miała zaskakująco prorodzinną wymowę, o tyle już „Babskie wakacje” (2017) z próbującą się odrodzić Goldie Hawn wyłącznie żenowały.

Mam problem z wymową nowego filmu Schumer z bardzo osobistego powodu – ja również jestem grubasem i walczę w pocie czoła z tłuszczem na siłowni. Uważam, że należy (z rozsądkiem) promować zdrowy tryb życia i walczyć z fatalnymi nawykami żywieniowymi. Szczególnie w USA, gdzie śmieciowe jedzenie od kołyski aż po grób truje Amerykanów. Czy naprawdę przesłanie: „Bądź gruby i uznaj się za piękność” jest mądre? Schumer nieraz podkreśla, że mimo swojej tuszy nie ma problemów ze znalezieniem kolejnych chłopaków. Cóż, dobrze, gdyby zapytała przy tym, na ile na jej atrakcyjność wpływają status celebrytki i milionowe gaże na koncie. To ją różni od większości zmagających się z otyłością kobiet.

**„JESTEM TAKA PIĘKNA” REŻ. ABBY KOHN
MARC SILVERSTEIN, DYSTR. KINO ŚWIAT**

Ale nuda!



DVD



Obsadźmy starzejącą się ikonę kina, dodajmy ładne palmy i kilka sucharów z życia wesołych staruszków oraz polejmy bezpiecznym morałem. Znany schemat i czasami się udaje go zastosować („Last Vegas”). W tym wypadku dostajemy irytującą powtórkę z rozrywki. Duke Diver (Morgan Freeman) prowadzi luksusowy kurort w Palm Beach. Przeszłość ma tajemniczą, ale ducha imprezowego godnego studentów w czasie spring break. Do kurortu przybywa były wojskowy Leo (grający na wszystkich możliwych schematach ze swoich policyjnych ról Tommy Lee Jones). Zabawowi dziadkowie natychmiast zaczynają dowodzić,

kto jest samcem alfa. Szczególnie, że na horyzoncie pojawia się Suzie o twarzy Rene Russo, która po romansowaniu z dziadkiem De Niro w uroczym „Praktykancie” zabiera się do kolejnych dojrzałych panów. A oni dzięki nadchodzącemu duchowi przeszłości zaczynają współpracować. Wszystko ku znużeniu i momentami zażenowaniu widza. Niewiarogodnie głupawy scenariusz, widoczna męczarnia aktorów inkasujących za swoje wyglądy tłuste czeki i w końcu brak świeżych dowcipów – naprawdę szkoda czasu na tak wielki i wtórny niewypał.

**„TO DOPIERO POCZĄTEK” REŻ. RON SHELTON,
DYSTR. IMPERIAL CINEPIX**



KRZYSZTOF LOGAN
TOMASZEWSKI

Przychodziła ranniem. Gdy cały dom jeszcze spał, a on, drepzcząc w kapciach, zastanawiał się, co go dobrego spotka w nadchodzącym tygodniu. A później, gdy miał już na grzbiecie miękki szlafrok frotté i szykował się do golenia. Kiedy za szybą, po drugiej stronie ogrodu, czaił się kot sąsiada, próbując upolować na śniadanie wróbla. Gdy w kieszeni miał nie więcej niż dziesięć złotych. Za to kilka marzeń w głowie, z których jedno właśnie się spełniało.

Wchodziła z chlebem, kostką masła, gazetą. Delikatna, blondwłosa antypiękność. Niebywale zgrabna, smukła jak samotna brzoza. Bo czym jest piękno? Miała w sobie to, co najbardziej kochał w kobiecie. Podniesioną dumnie głowę. Smukłość nóg i krągłości. Młode piersi, wąskie biodra, jędrne pośladki. Tylko tyle i aż tyle!

Poeci i malarze mówią o takich kobietach, że przypominają anioły. Lecz poeci zamiast śniadania często głodują. Żywią się uniesieniami, które zamieniają w wiersze, piosenki i poematy. On miał na śniadanie jajecznicę z trzech jaj ze szczypiorkiem, kakao i powabną dziewczynę. Był szczęściarzem. Pomyślał tego ranka, że interesujących, pięknych i seksownych kobiet jest w jego mieście niemało, lecz nie takich jak ona. Ta miała coś wyjątkowego – zajęczą wargę. Nosila ją, jakby to jej wcale nie przeszkadzało, jakby jej nigdy nie obserwowała w lustrze i w ogóle nie miała na tym punkcie kompleksu. To było w niej wspaniałe. Ten jej stoicki spokój i pewność, że zajęcza wargę nie stanowi w jej urodzie skazy. Może właśnie dlatego ją zapamiętał.

Było jednak jeszcze coś. Jak pisał węgierski pisarz Sándor Márai w swej powieści „Żar”: „Jedynie poprzez szczegół możemy zrozumieć sedno rzeczy, sam tego doświadczyłem, tak jest w książ-

„Zajęcza wargę”

*Jej słowa i smutek,
który nie zdążył się zamienić
w rozpacz, chodzą za nim
od czterech dekad*



Fot. Shutterstock

kach, tak jest w życiu. Trzeba poznać każdy szczegół, ponieważ nie sposób wiedzieć, który jest ważny, jakie słowo odpowiada rzeczy. We wszystkim należy utrzymywać porządek”.

Tak, tylko że to nie był szczegół! Bynajmniej. Był powód, a raczej źródło. I to, co uczynił tej dziewczynie, było niepojęte, sztubackie, głupie, po prostu chamskie. Swój czyn chciałby wymazać z pamięci. Dziś, po ponad 35 latach, dotarło do niego, że było to niemożliwe!

Wówczas, na Mokotowie, odwiedzało go wiele kobiet. Przychodziły uczennice, panny, mężatki i rozwódki. Stewardesy, urzędniczki z banku, aktorki.

Kobiety, które chciały szybko nauczyć się podstaw języka angielskiego. Uczyl je według wymyślonej przeze siebie metody. Polegała na zadawaniu z lekcji na lekcje kolejnej porcji materiału, które nagrywał na taśmę. Jego uczennice musiały przepisywać ów materiał na sztywne kartoniki, różnokolorowymi flamastrami, a następnie rozstawiać je w różnych miejscach w mieszkaniu. Obcowanie z gotowymi zdaniem, słówkami podzielonymi na grupy tematyczne gwarantowało szybkie przyswojenie materiału.

Gdy patrzył na siebie, kiedy starał się wygrzebać z niewiernej pamięci

jakiś szczegół, choćby żdźbło, czuł, że wszystko uleciało bezpowrotnie. Twarze i sylwetki tych kobiet. Gesty, niewinne rozmowy, przywitania i pożegnania. Otwierał drzwi, zamykał drzwi. Zaparzał herbatę. Dwie filiżanki, dwa spodeczki, dwie łyżeczki i cukiernica malowana w różę. Karteczki z idiomami. Czterotomowy słownik Stanisławskiego i drugi – mały, podręczny. Kilkanaście kolorowych flamastrów.

„Szczegóły. Nie przecedzisz swego życia” – myślał. „Nie odnajdziesz w nim celu ani głębszego sensu. Życie bywa abstrakcją. Młodość musi się wyszumieć. Na rozsądek przychodzi czas wraz z przekroczeniem pięćdziesiątki”. A on nie dobił wówczas nawet do czterdziestki.

Nie pamiętał, jak miała na imię ani jak się nazywała, ale zapamiętał dokładnie, że pracowała w sklepie spożywczym na Starym Mieście w Warszawie. Zajrzał tam raz, może dwa. A potem spotykali się przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego w wynajmowanym przez niego dwupokojowym mieszkaniu z widokiem na ogród. Który to był rok? 1980? Tak, przypomniał sobie. To wydarzyło się podczas lata, niedługo przed wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego.

Zdejmowała jasny płaszcz, myła dłonie i od razu robiła śniadanie. Obserwował ją spod brwi. Były z niej niesamowity spokój i łagodność. Pociągala go w niej jej potulność, gdy kroila swą małą dłonią razowy chleb, a następnie smarowała kromki masłem, układała na każdej plasterzy żółtego sera, pomidorów i szypułki czosnku. Rozmawiali tak, jak rozmawiają kochankowie, nie snując planów na przyszłość. Było tak, jak trzeba. Jak bywa między kobietą a mężczyzną, którzy nie filozofują, biorąc z życia to, co najlepsze.

I stało się! Kilka dni potem zrobił coś, co chodzi za nim od 35 lat, czego się wstydzi, na co nie ma żadnego usprawiedliwienia. To, czego musi się pozbyć jak niebezpiecznej bakterii, co przypomina nieuleczalną chorobę. Było to jak rak mózgu! Czuł, że jest kanalia, i wstydił się tego. Dziś, po tylu latach, ciągle się zastanawia, dlaczego człowiek potrafi być szlachetny i podły, wspania-

lomyślny i krótkowzroczny, prawdziwy, spontaniczny, czasami fałszywy.

Któregoś ranka obudził się jako zdrajca. Wstał, przygotował tym razem sam śniadanie, wycierał kurze na biurku, szykował czyste kartoniki i flamastry do kolejnej lekcji angielskiego. Krzątał się, a w duszę nadciągnął niepokój. Dusza ma to do siebie, że gdy tonie, odczuwamy bezbrzeżną pustkę. I znikąd ratunku. Poczuł ją, gdyż zrozumiał, że zawiódł siebie. Splugawił czyste uczucie, zdradził „Zajęczą wargę” bezrozumnie, bezdennie głupio. Z zarozumiałstwa i próżności. Z bezdennej pychy.

Któregoś ranka obudził się jako zdrajca. Wstał, przygotował tym razem sam śniadanie. Krzątał się, a w duszę nadciągnął niepokój

Trzy dni potem odwiedziła go, a on oskarżył ją, że go zaraziła. Miał 99 proc. pewności, że wpadł dzięki przygodnie poznanej stewardesie, a jednak oskarżył „Zajęczą wargę”. Pamiętał ich ostatnią rozmowę. Wymyślał jej, a „Zajęcza wargę” stała przed nim jak rażona piorunem. Tak mógł postąpić tylko szubrawiec, człowiek bez zasad. Facet bez czci i honoru.

Pamiętał wyraz jej twarzy. Tę drobną, cudowną, przybyłą do niego z odległej o miliony lat świetlnych galaktyki sylwetkę, gdy patrzyła osłupiała przekonująco:

– Co ty mówisz?! To nie byłem ja! Chyba sam w to nie wierzysz?

– Ty, tylko ty! – belkotał.

– Wiesz, wy, faceci, jesteście jednakowi!

Przeszukiwał swoją pamięć. Nadal próbował odcedzić przeszłość, znaleźć właściwy motyw, poznać prawdę o sobie. Jakże trudno i jak wiele trzeba mieć odwagi, aby spojrzeć prawdzie w oczy, przyznać się do pomyłki. Czy to potrafił? Próbował. Niechaj te kartki papieru

pomogą tym, którzy popełnili coś podobnego. Pomogą rozwikłać niejedną tajemnicę naszego pogmatwanego życia, zagadkę, która tkwi w każdym człowieku.

Jej słowa i smutek, który nie zdążył się zamienić w rozpacz, chodzą za nim prawie od czterech dekad. „Zajęcza wargę” nigdy potem już się nie pokazała. Rozpłynęła się. Jego życie potoczyło się dalej, jakby był najszczęśliwszym dzieckiem wszechświata, prawie Bogiem, lecz było to tylko złudzenie. Złudzenie człowieka zadufanego w sobie. Któremu się zdaje, że wszystko mu wolno, że

można przekroczyć każdą granicę, a świat należy do niego. I znów ta jedna, prześladowająca go myśl, jak rana: dlaczego stchórzył? Czemu zranił tę kobietę? A może nie była mu przeznaczona? – tłumaczył sobie na wszystkie sposoby. Czyżby?

Powracał do „Żaru” Sándora Máraia, który ustami swego bohatera pyta: „Gdzie jest granica między człowiekiem i człowiekiem? Granica zdrady? To warto by wiedzieć. Człowiek ma wpływ na to, co się z nim dzieje. Przyczynia się, przywołuje do siebie, nie wypuszcza z rąk tego, co musi się wydarzyć. Taki jest człowiek. Postępuje tak i wtedy, gdy natychmiast, od pierwszej chwili, czuje i wie, że to, co robi, jest fatalne”.

Minęło tyle lat. Już nie nalewał dla nikogo herbaty. Nie miał od lat dwóch filiżanek i dwóch spodeczków. Ani tamtej cukiernicy malowanej w różę, w swej biedniutkiej kuchni na Mokołowie. Miał za to okulary na nosie, 72 lata i zamiast kolejnej antypiękności przy boku – psa. Tylko on mu pozostał. Gdy został naprawdę sam, ze swoją starością i z wierną, najbardziej osobną samotnością, która każdego wieczoru zagadywała go, uwodząc i licząc na odrobinę czułości. „Czułość. Każdy jej potrzebuje” – myślał po latach. „Potrzebuje jej nawet pies”. Więc targał go delikatnie to za prawym, to za lewym uchem, obejmował jego pysk, wtulał swoją głowę w jego łeb i niespiesznie deklamował swoje słowa, które dyktowała mu jego narastająca rozpacz.

– Jesteś mój. Kocham cię, uwielbiam cię. Mam tylko ciebie, a ty masz mnie. Cóż mi innego pozostało?

Małżeństwo to skarb

Małżeństwo nie tylko może być, lecz jest piękną drogą do zbawienia. Wierni świeccy mają bowiem swoje odrębne i oryginalne powołanie do świętości

**Z ks. bp. Wiesławem Śmigłem,
nowym przewodniczącym
Rady Episkopatu ds. Rodziny,
rozmawia Dorota Łosiewicz**

Mówi się w Kościele o „budzeniu śpiącego niedźwiedzia”, chodzi o świeckich. Jak obudzić tego niedźwiedzia, jak wykorzystać potencjał świeckich, a w szczególności rodzin, w ewangelizacyjnej działalności Kościoła?

Wiesław Śmigiel: Rodzina, jeśli jest zbudowana na fundamencie wiary i sakramentu małżeństwa, to jest pierwszą i najważniejszą wspólnotą ewangelizowaną oraz ewangelizującą. Najpierw rodzina ewangelizuje siebie, tzn. dziadkowie i rodzice dzieci, a dzieci rodziców itd., następnie ewangelizuje najbliższych (dalszych krewnych, przyjaciół, sąsiadów i znajomych). Wreszcie jest zaangażowanie w ewangelizację szerszego kręgu, np. świadectwo miłości małżeńskiej i wiary w przestrzeni publicznej, obrona życia od poczęcia do naturalnej śmierci itp. Rodzina ewangelizuje nie tylko przez słowo, lecz również przez przykład dobrego życia, np. przez codzienną uczciwość, zaangażowanie w życie parafii, solidność oraz gotowość do pomocy bliźnim. Małżeństwa i rodziny otwarte na Słowo Boże, wsparte sakramentami i tworzące tzw. Kościół domowy, to skarb.

A działania Kościoła na rzecz rodzin są wystarczające?

Działań Kościoła na rzecz rodziny jest sporo, ale zapewne nie są wystarczające, ponieważ każde dzieło, za którym stoją ludzie, może być udoskonalone. Potrzeba jeszcze sprawniejszych struktur duszpasterstwa rodzin i więcej oddanych oraz kompetentnych doradców, aby młodych ludzi dobrze przygotować do życia w małżeństwie i rodzinie, a rodzinom

dać szansę wzrostu i pomoc w trudnych momentach. Mamy już katolickie poradnie życia małżeńskiego, które zatrudniają psychologów, terapeutów i doradców, ale wciąż jest ich zbyt mało. Modelowym rozwiązaniem jest to, aby w ramach duszpasterstwa rodzin w każdej parafii działało małżeństwo prowadzące przygotowanie do przyjęcia tego sakramentu, a także pomagające wraz z duszpasterzem rozwiązywać trudności życia rodzinnego.

Co jest pilnym zadaniem w duszpasterstwie rodzin?

Ważne jest przygotowanie doradców. Najlepiej, żeby były to małżeństwa, które będą zaangażowane w duszpasterstwo rodzin. Oczywiście potrzeba również formacji seminaryjnej i kapłańskiej, aby duszpasterze byli dobrze przygotowani oraz zdolni do przyjmowania, towarzyszenia, rozeznawania i integrowania rodzin wewnętrznie, a także ze wspólnotą wierzących. Zadanie integracji z Kościołem dotyczy również posługi pastoralnej wobec osób żyjących w związkach niesakramentalnych i to także wymaga solidnego przygotowania.

Z jakimi najczęstszymi problemami, zdaniem księdza biskupa, borykają się polskie rodziny?

Tych problemów jest wiele, a poszczególne przypadki najlepiej traktować indywidualnie. Są jednak trudności i problemy, które się powtarzają. Myślę, że najważniejszym z nich jest brak dojrzałości i – co za tym idzie – odpowiedzialności. Nie zawsze małżonkowie zdają sobie sprawę, że wspólne

życie jest piękne, ale wiąże się z obowiązkami i wymaga nieustannej pracy. Dialog, pokonywanie egoizmu, wzajemna pomoc oraz cierpliwość i wytrwałość są niezbędne w budowaniu rodziny. Oczywiście są też inne problemy, takie jak wyjazdy zarobkowe, pogoń za pieniędzmi, pijaństwo i alkoholizm, brak troski o wierność małżeńską itd.

Duszpasterze rozumieją te problemy?

Papież Franciszek w adhortacji „*Evangelii gaudium*” przypomniał, że dobry duszpasterz czasem kroczy z przodu i jest przewodnikiem, ale niekiedy idzie pośrodku, by poznać problemy i troski owczarni. Innym razem podąża z tyłu owczarni, aby pomagać tym, którym sił brakuje i którzy tracą wiarę oraz nadzieję (por. EG 31). Duszpasterz, który w ten sposób realizuje swoje powołanie, rozumie również problemy współczesnych rodzin i takich pasterzy nam potrzeba. Zza biurka lub z perspektywy katedry uniwersyteckiej wiele spraw wygląda inaczej, diagnoza jest jasna i recepty mogą się zdawać oczywiste. Jednak im bliżej codzienności i konkretnych ludzi żyjących w małżeństwach, związkach nieregularnych oraz tworzących rodziny, tym sprawy są bardziej skomplikowane. Dlatego wymaga to roztropnego spojrzenia na konkretnego człowieka oraz cierpliwego towarzyszenia i rozeznawania.

Czy nauczanie Kościoła nie jest zbyt surowe, trudne dla małżonków? Chodzi np. o etykę życia małżeńskiego.

Nauczanie Kościoła jest wymagające, ponieważ takie są Ewangelia oraz Boże przykazania. Jednak Kościół prócz wymagań otwiera człowieka również na Boże Miłosierdzie. Jasne i ambitne wymagania są potrzebne do rozwoju, prowadzą do dojrzałości i przygotowują do pokonywania trudności. Bez wymagań człowiek jest skazany na marność, mało odporny na kryzysy oraz narażony na porażkę życiową. To dotyczy również małżeństwa i rodziny. Wymagania stawiane przez Kościół nie są wrogiem małżeństwa, ale są pomocą w zachowaniu wierności, jedności, otwarciu na życie, a jednocześnie wzywają do miłości, pomocy i szacunku dla współmałżonka. Wierność przykazaniom jest także gwarantem trwałości małżeństw. Natomiast Kościół jest też świadomy ludzkiej kondycji i grzechu, dlatego m.in. jest sakrament pokuty oraz pojednania, kult Miłosierdzia Bożego i całe duszpasterstwo jest sprawowane w optyce miłosierdzia. Do takiego stylu posługi pastoralnej zachęca nas papież Franciszek w adhortacji „*Amoris laetitia*”.

Jak rozpad małżeństwa wpływa na otoczenie?

Rozpad małżeństwa to również rozpad rodziny. Przecież to nie tylko małżonkowie się rozchodzą, dzieci także przeżywają traumę, tym większą, im są młodsze. Cierpią dziadkowie, którzy niestety czasem zostają włączeni w konflikt małżeński i stają się stroną. Myślę, że rozpad małżeństwa zawsze negatywnie wpływa na otoczenie. Bardzo często łączy się z ogromnym stresem, negatywnymi emocjami i jest powodem wielu łez. Trzeba jednak pamiętać, że rozpad małżeństwa to skutek, a rozwiązanie problemu leży w przeciwdziałaniu przyczynom. Małżeńskie problemy odkładane

na później, lekceważone oraz nieprzepracowane nałęczycie z czasem narastają i wreszcie prowadzą do tragedii rozwodu. Potrzeba zatem, aby w ramach duszpasterstwa rodzin uczyć małżonków dialogu i rozwiązywania konfliktów.

Może warto pokazywać małżeństwo jako możliwą drogę do zbawienia?

Małżeństwo nie tylko może być, lecz jest piękną drogą do zbawienia. Wierni świeccy mają bowiem swoje odrębne i oryginalne powołanie do świętości. Papież Franciszek w niedawno wydanej adhortacji „*Gaudete et exsultate*” napisał o „świętości z sąsiedztwa”, gdy rodzice z wielką miłością pomagają dorastać swoim dzieciom, a kobiety i mężczyźni pracują, by zarobić na chleb (por. GE 7). Małżonków w ich powołaniu nikt nie może zastąpić – ani duchowni, ani osoby konsekrowane. Świeccy przez to, że są zanurzeni w świat, a jednocześnie należą do Boga, doświadczają czasem dylematów i napięć. Stają przed koniecznością wyboru miłości świata lub umiłowania Boga, jednak jest to wybór pozorny. Dla świeckich pokochać świat znaczy tyle, ile pokochać jego Stwórcę i Pana. Świecki żyjący w małżeństwie, jeśli jest świadomy swojego religijnego powołania i chce się „przypodobać” swojemu małżonkowi, to w gruncie rzeczy znaczy tyle, że chce się „przypodobać” Bogu. Zatem małżeństwo pełne miłości, wierne, przepelnione szacunkiem dla życia i otwarte na łaskę Bożą to prosta droga do zbawienia.

Brzmi pięknie, jednak dziś małżonkowie coraz mniejszą wagę przywiązują najpierw do czystości, następnie do wierności. Z czego to wynika?

Ciśnienie współczesnego świata, opartego na moralności liberalnej i promowanego przez niektóre ośrodki opinio-twórcze, raczej pcha człowieka w kierunku przyjemności oraz ulegania wszystkim pragnieniom. Niestety dziś takie słowa jak „dyscyplina”, „odpowiedzialność”, „praca nad sobą” czy „wymagania” nie budzą entuzjazmu. Natomiast bez nich trudno o czystość i wierność. Nie pomagają również kultura tymczasowości, która ucieka od ważnych decyzji, szczególnie takich, którym trzeba być wiernym przez całe życie. Jestem jednak optymistą, ponieważ ze Stanów Zjednoczonych dotarła do nas już moda na czystość, np. Ruch Czystych Serc. Młodzi ludzie w Ameryce zmęczeni i rozczarowani rewolucją seksualną oraz jej skutkami postanowili iść pod prąd i stworzyli ruch, który promuje czystość i wierność. Wśród młodych widzę coraz więcej dobrych intencji i prób odpowiedzialnego formowania swoich sumień oraz postaw.

Został ksiądz biskup przewodniczącym Rady Episkopatu ds. Rodziny. Misja księdza biskupa powiedzie się, gdy...

Najpierw chciałbym podkreślić, że to misja Konferencji Episkopatu Polski, a moja rola ma służebny charakter, ponieważ doradczy. Jednak księża biskupi wyznaczyli mi pewne zadania, z których chciałbym się dobrze wywiązać. W tym zakresie moja misja powiedzie się, jeśli duszpasterstwo rodzin w Polsce będzie się rozwijało w takim kierunku, aby osoby w małżeństwach i rodzinach prowadzić do Boga oraz integrować ich z konkretnymi wspólnotami

kościelnymi, najlepiej z parafiami. Moim zdaniem to jest również lekarstwo na rozpad małżeństw i pokonywanie konfliktów.

Czy wspomniana już adhortacja papieża Franciszka „Amoris laetitia” otwiera w jakiś szczególny sposób nowy rozdział w duszpasterstwie osób żyjących w związkach niesakramentalnych?

Adhortacja papieża Franciszka daje nowe impulsy pastoralne i podkreśla optykę miłosierdzia, jednak to ewolucyjna kontynuacja nauczania Kościoła. W stosunku do osób żyjących w związkach niesakramentalnych i nastawionych rozszereżeniu wobec Kościoła nie zmienia ona zbyt wiele. Tym bardziej że ich kontakt z duszpasterstwem jest raczej okazjonalny, wymuszony sytuacjami życiowymi i przepełniony pretensjami. Możliwe, że czasem uzasadnionymi. Jednak w stosunku do osób żyjących w związkach niesakramentalnych, niemogących uporządkować swojej sytuacji, ale spragnionych Boga, adhortacja zmienia sporo. Tym bardziej że takie osoby uczestniczą w życiu parafii, mają wiarę i poczucie grzechu, ale chcą jeszcze większej integracji ze wspólnotą wiary. „Amoris laetitia” zachęca, aby te osoby wprowadzić na drogę rozeznawania swojej sytuacji, a pomocą w tym będzie towarzyszenie dobrze przygotowanego duszpasterza. Taka droga rozeznawania to proces, który prowadzi do pogłębienia wiary opartej na osobowej relacji z Bogiem; łączy się też z w miarę obiektywną oceną własnej sytuacji.

REKLAMA

SPÓŁDZIELCZY



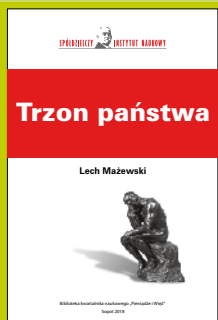
INSTYTUT NAUKOWY

poleca



Książka o Franciszku Stefczyku, twórcy wiejskich kas oszczędności i pożyczek okresu zaborów i II RP. Autor prezentuje sylwetkę i poglądy jednego z najwybitniejszych działaczy społecznych i gospodarczych, wielkiego Polaka i patriotę, żarliwego katolika, „apostola biednych”; w przyszłości – być może – kandydata na ołtarze.

Wybory i odwoływanie organów wykonawczych samorządu terytorialnego, powoływanie i odwoływanie Rady Ministrów, wybór Prezydenta RP oraz powoływanie i odwoływanie wojewody jako przedstawiciela Rady Ministrów w województwie pod rządami Konstytucji RP z 2 kwietnia 1997 r.


www.p-i-w.edu.pl
www.sin.edu.pl


Fot. Aleks. Paweł Rodman

Niestety w ostatnim czasie narracja medialna spłyciła problem integracji do odpowiedzi na pytanie o komunie świętą dla osób żyjących w związkach niesakramentalnych. Tymczasem sedno problemu dotyczy wiary i dojrzałości, a integracja to długi proces, który wymyka się rozwiązaniom wyłącznie prawnym, ale odwołuje się do towarzyszenia i indywidualnego rozeznania. Zasada ogólna wynikająca z nauczania Kościoła i tradycji jest niezmienna, lecz optyka miłosierdzia zachęca do spojrzenia w serce i życie konkretnego człowieka.

Co zrobić, by uchronić Polskę przed laicyzacją? Czy to w ogóle możliwe?

Twierdzenie, że laicyzacji nie można zatrzymać, już byłoby porażką i prawdopodobnie mogłoby się stać tzw. samospełniającym się proroctwem. Papież Franciszek w adhortacji „Evangelii gaudium” zauważył, że u niektórych rozwija się psychologia grobu, która stopniowo odbiera chrześcijanom zapal ewangelizacyjny (por. EG 83). Tymczasem Polskę już dotyczą procesy laicyzacyjne, ponieważ nie jesteśmy samotną wyspą i docierają do nas te same prądy, które są w Europie. Uważam jednak, że jesteśmy w stanie nie tylko zatrzymać laicyzację, lecz nawet sprawić, by wiara znów stała się podstawą i zasadą życia wielu ludzi. Wymaga to radosnego i odważnego zaangażowania ewangelizacyjnego, świętych i dynamicznych duszpasterzy, oddanych siostr zakonnych i wielu świeckich apostołów. Zakłada to uzupełnienia duszpasterstwa przez nową ewangelizację i działania misyjne.

Czy Polska jest skazana na ścieżkę Irlandii, która odeszła od swoich chrześcijańskich korzeni?

Nie jesteśmy skazani, ponieważ każdy Kościół ma swoją ścieżkę rozwoju i jest ona wypadkową wielu czynników. Trudno mi porównywać sytuację Kościoła w Irlandii oraz w Polsce. Ale tak jak w życiu poszczególnych ludzi, tak i w życiu wspólnot niewiele jest determinizmów, a raczej są okoliczności i możliwości, które można bardzo różnie zagospodarować.

Z Polski może więc wyjść impuls do odnowy Europy?

Żeby nie popaść w pychę, trzeba powiedzieć, że do Polski również docierają ważne impulsy z Europy, które pozwalają lepiej rozwijać nową ewangelizację. Natomiast z Polski nieustannie wychodzi impuls odnowy chrześcijaństwa, ponieważ do wielu krajów posyłamy duchownych, siostry zakonne oraz świeckich misjonarzy i wolontariuszy. Ponadto to z Polski wyszła „iskra miłosierdzia”, która dziś rozpala cały Kościół i wyznacza nowe zadania pastoralne. Tylko od nas – świeckich, duchownych i osób zakonnych – zależy, czy z Polski wyjdzie pozytywny impuls do odnowy Europy! 

Minister Beck miał rację

Wrzesień 1939 r. i klęska polskiej armii, która nie mogła sprostać sile agresorów, olbrzymie straty, jakie w tej wojnie ponieśliśmy, wreszcie zdrada sojuszników – skala tych nieszczęść ciąży na świadomości Polaków do dziś. To powoduje, że co pewien czas pojawiają się rozważania, czy Polacy mogli tych nieszczęść uniknąć; czy wszystko, co się wydarzyło na polskich ziemiach po 1 września 1939 r., było rzeczywiście nieuchronne. Czy tak być musiało?



ROMUALD SZEREMIETIEW

Po zakończeniu kampanii polskiej 1939 r. Niemcy okleili mury okupowanych polskich miast plakatami, na których ranny polski żołnierz wskazywał na trupy i gruz, wołał do premiera Chamberlaina: „Anglio, to twoje dzieło!”. Przesłanie tego plakatu było oczywiste – Anglia pchnęła Polskę do walki z Niemcami i to ona odpowiada za jej katastrofę. Ten przekaz

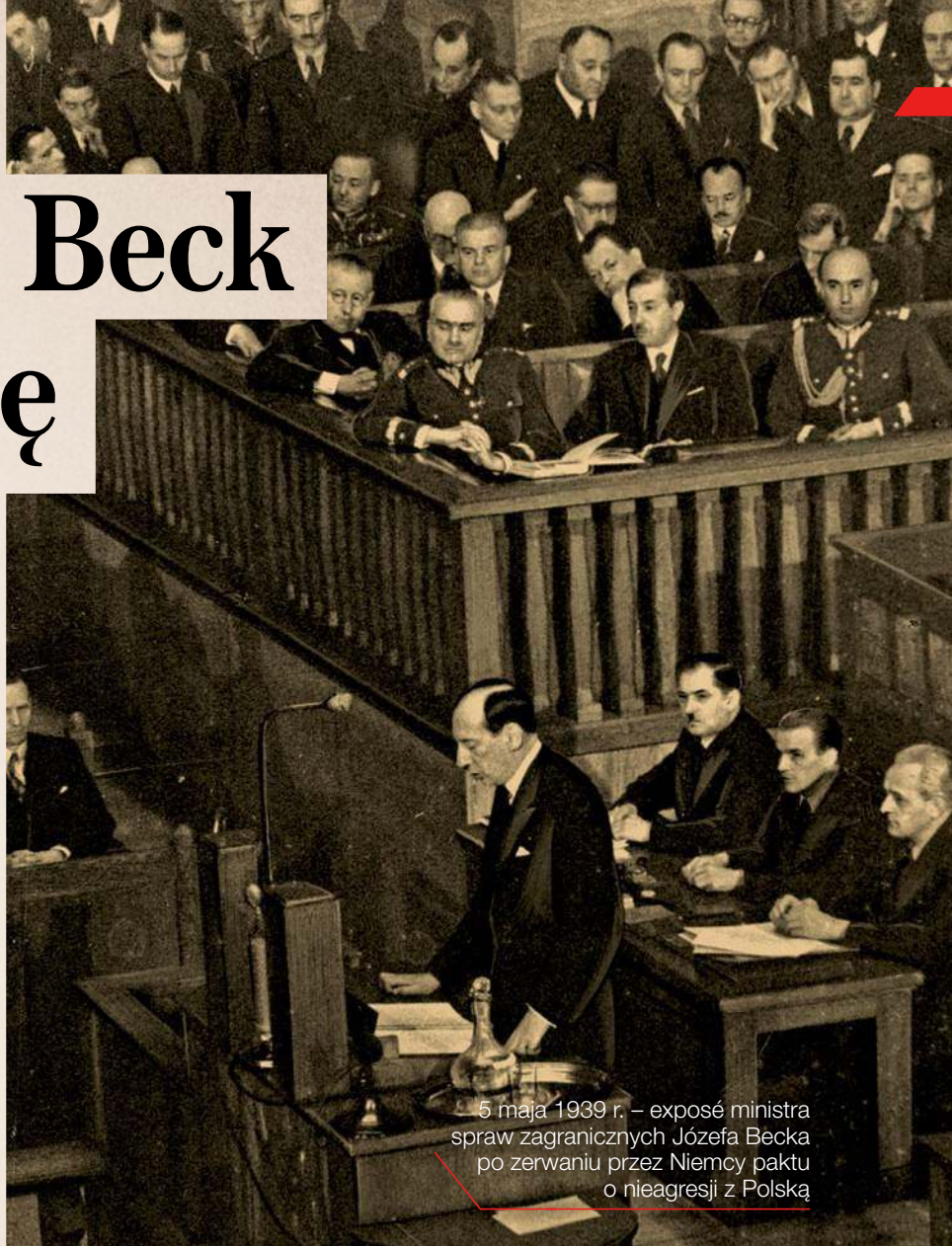
hitlerowskiej propagandy jako prawdziwy został przyjęty przez niektórych polskich autorów – o fatalnych dla Polski skutkach sojuszu z Anglią wielokrotnie pisał popularny do dziś, chwalony przez niektórych, Stanisław Cat-Mackiewicz.

W okresie PRL obowiązywało twierdzenie, że rządząca Polską sanacja popełniła ciężki, ba, zbrodniczy błąd, odrzucając sojusz ze Stalinem, co miałoby Polskę obronić przed Niemcami, i że władze II RP wiążąc się z Zachodem, sprokurowały Polakom wrześniową katastrofę. Po rozpadzie ZSRR i odzyskaniu przez Polskę suwerenności ta oczywiście fałszywa opinia zniknęła.

Inaczej się jednak stało z poglądem przeciwnym – możliwością sojuszniczych związków II RP z III Rzeszą.

Nieśmiałe i nieliczne początkowo głosy historyków (Paweł Wieczorkiewicz) zyskały naraz silny rezonans w publicystyce historycznej. Pojawiły się bowiem różne opracowania dowodzące, że Polska uniknęłaby katastrofy w 1939 r., gdyby jej przywódcy (zwłaszcza minister Józef Beck) podjęli współpracę z III Rzeszą, godząc się na różne ustępstwa i podejmując wspólnie z Hitlerem agresję na Związek Sowiecki.

Wypowiadają się autorzy określający się jako pravicowi, snujący wizję polskich zwycięstw u boku Niemców na Wschodzie, zapewniający, że w efekcie sojuszu z Hitlerem Polska kończyłaby wojnę światową jako mocarstwo. Aby tak się stało – twierdzą ci publicyści – potrzebny był tylko drobiazg: unicestwienie



5 maja 1939 r. – exposé ministra spraw zagranicznych Józefa Becka po zerwaniu przez Niemcy paktu o nieagresji z Polską

ZSRR, co można było osiągnąć wspólnie z Niemcami. Możemy przeczytać, że niemądra sanacja zamiast sprzymierzyć się z hitlerowcami, wolała związek z podstepnym Albionem. Na głowy prezydenta Ignacego Mościckiego, marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego i zwłaszcza ministra Józefa Becka wylane są ciągle kubły oskarżeń o głupotę, naiwność, tromtadrację.

ZAMIAR HITLERA

Piotr Gursztyn opublikował w Wydawnictwie Dolnośląskim książkę pod tytułem „Ribbentrop–Beck. Czy pakt Polska–Niemcy był możliwy?”. Autor zebrzał fakty, powiązał je z sobą, starając się wykazać, ile realizmu zawiera odgrzewany dziś pomysł zawarcia sojuszu przez Polskę z III Rzeszą.

Hitler swoje zamiary polityczne wyłożył na kartach „Mein Kampf”. Określił tam jako cel swych działań uzyskanie dla Niemców „przestrzeni życiowej” (Lebensraum), według niego niezbędnej z racji na przeludnienie ziem rdzennej niemieckich i tym samym braku możliwości dalszego rozwoju Niemiec. Hitler uważał, że Lebensraum będzie można znaleźć jedynie na terenie Europy Wschodniej, dlatego też swoje zdobywcze plany lokował na terenach znajdujących się na wschód od Niemiec. Kończył je na paśmie gór Uralu, uznając, iż tam znajduje się naturalna granica między Europą a Azją. Na podporządkowanych Niemcom terenach Europy Środkowej i Wschodniej powstałyby wielkie tereny kolonizacyjne. Dzięki nim Niemcy miały się stać mocarstwem dominującym na kontynencie europejskim, a następnie supermocarstwem decydującym o losach świata.

W 1932 r. Hitler sformułował polityczny projekt budowania „nowych Wielkich Niemiec”. W jego ramach Niemcy miały włączyć do swego terytorium Austrię, Czechy, Morawy oraz zachodnią Polskę, aby w ten sposób powstał niemiecki „niezniszczalny stumilionowy blok, bez rysy obcych narodów”. Pozostałe państwa regionu środkowoeuropejskiego miały się stać satelitami Niemiec, pozbawionymi suwerenności, bez własnej polityki zagranicznej i gospodarczej.

Od marca 1938 r., gdy zostały przyłączone do Niemiec tereny austriackie, zaczęto w Berlinie używać nazwy Rzesza Wielkoniemiecka (Großdeutsches Reich) bądź – zamiennie – Wielkie Niemcy.

W strategicznym zamiarze Hitlera nie było miejsca dla suwerennego państwa polskiego. Twierdzenie, że Polska mogłaby się stać sojusznikiem i partnerem Niemiec, do tego obdarowaną przez Hitlera Ukrainą, zyskującą dzięki temu rangę mocarstwa, jest, najłagodniej mówiąc, bałamutne. Hermann Rauschning, prezydent Senatu Wolnego Miasta Gdańska, gdy referował Hitlerowi treść rozmów prowadzonych z Piłsudskim w czasie swej wizyty w Warszawie (styczeń 1934 r.), usłyszał, że Führer zamierza „swoją politykę na Wschodzie” prowadzić z Polską, ale nie dopuści, aby tam powstało jakieś „nowe mocarstwo polskie”.

W ładzie światowym, jaki chciał ustanowić Hitler, Polacy, tak jak i inni Słowianie, mieli być poddanymi niemieckiej „rasy panów”. Miał rację min. Beck, gdy mówił ministrowi spraw zagranicznych Rumunii Grigoremu Gafencu, że ustępstwa na rzecz Hitlera sprowadzą Polskę na pozycję wasala Berlina, a po wygranej Niemiec „pasalibyśmy krowy Hitlera na uralskich pastwiskach”.

Zwolennicy sojuszu z III Rzeszą nie dostrzegają jej strategicznych celów. Twierdzą, że dopiero polski opór w 1939 r. rozjuszył Hitlera i dlatego zaczął on klasyfikować naród polski jako kandydata na niewolnika. Przytaczają różne propolskie wypowiedzi Hitlera z okresu, gdy relacje polsko-niemieckie były stosunkowo dobre (lata 1934–1938). Piotr Gursztyn opisując w swojej książce politykę niemiecką i wspominając różne wypowiedzi Hitlera i jego współpracowników (Göring) kuszących Polskę mirażami zdobyczy na Wschodzie, wykazuje, że były to puste deklaracje i obietnice bez pokrycia. Wynikały one z taktyki Hitlera, nie miały zakotwiczenia w jego planach strategicznych. Polska, lykając pochlebstwa i obietnice, miała się po prostu stać powolnym narzędziem niemieckiej polityki, a nie równoprawnym partnerem Niemiec.

NIEMIECKIE OSZUSTWA

Śledząc poczynania Berlina wobec Austrii, a zwłaszcza Czech, dostrzeżemy – jak podkreśla Piotr Gursztyn – że metodą polityki Hitlera było używanie oszustw. Składane przez niego zapewnienia, że jakieś żądanie jest ostateczne i że po jego spełnieniu Niemcy nie będą chciały niczego więcej, nigdy nie były dotrzymywane. Hitlerowi chodziło przecież nie o to, aby rozwiązać jakiś problem w relacji z sąsiadem, ale by – mając możliwości porozumienia – osłabić wolę oporu upatrzonych ofiary, doprowadzić ją do izolacji i stosując coraz silniejszy nacisk, w tym szantaż użycia siły zbrojnej, zmusić do całkowitej kapitulacji.

Autor książki „Ribbentrop–Beck”, odwołując się do austriackich i czeskich przykładów, uważa, że relacje polsko-niemieckie potoczyłyby się podobnie, gdyby Polska w 1939 r. przyjęła żądania niemieckie. Nie skończyłoby się na Gdańsku i budowie niemieckiej autostrady do Prus Wschodnich przez polskie Pomorze. Szybko pojawiłyby się kolejne żądania. A Polska ustępując Niemcom i wraz z tym rezygnując z sojuszu z Zachodem, znalazłaby się całkowicie na łasce i niełasce Hitlera. Nie mogłaby się bronić, gdyby Hitler zażądał Pomorza, Wielkopolski, Górnego Śląska.

Hitler uważał, że wrogiem Rzeszy w realizowaniu wielkomocarstwowego programu będzie Francja zezująca stale w kierunku Rosji, która mimo panującego w niej bolszewizmu wydawała się Paryżowi coraz bardziej cennym i pożądanym sojusznikiem. Hitler sądził, że o ile Anglia, lokująca swoje aspiracje w koloniach, operująca na morzach, może ostatecznie zaaprobować europejskie aspiracje Hitlera, o tyle Francja, największa potęga na kontynencie europejskim, będzie się starała nie dopuścić do odbudowy mocarstwowej pozycji Niemiec. Dlatego wcześniejsza neutralizacja Francji była niezbędna do realizacji strategicznych celów na Wschodzie. Francja dysponowała jednak potężną armią lądową, dlatego Hitler przygotowując się do starcia, powiększał zarówno militarny potencjał Niemiec, jak i budował przewagę

polityczną, stopniowo opanowując te kraje, które definiowały się jako sojusznicy Paryża – Czechosłowację, Rumunię, Polskę.

W przypadku Czech cenny dla Hitlera był potencjał przemysłu zbrojeniowego tego kraju Rumunia miała potrzebną Niemcom ropę naftową, natomiast Polska, dysponująca silną armią, mogła wojskowo utrudnić niemieckie działania przeciwko Francji. Było oczywiste, że planując wojnę z Francją, Hitler musiał wcześniej uzyskać pełną kontrolę nad Polakami – nie mógł sobie pozwolić na pozostawienie na wschodzie suwerennego państwa polskiego, sojusznika Francji.

Dzisiejsi zwolennicy ustępowania Hitlerowi, opowiadający, że dzięki temu Polska zyskałaby na czasie i nie stałaby się obiektem agresji niemieckiej we wrześniu 1939 r., nie rozumieją powyższych uwarunkowań. Hitler dążyłby przecież do całkowitego podporządkowania sobie Polaków, tak aby Warszawa nie mogła prowadzić żadnej samodzielnej polityki w Europie. Kolejne żądania niemieckie wobec Polski byłyby metodą sprawdzenia, na ile jest ona powolnym narzędziem w rękach Hitlera bez szans na samodzielne działanie. Taka perspektywa w relacjach polsko-niemieckich powinna być dla każdego oczywista.

Realna stawała się przy tym jeszcze inna groźba – czy Hitler całkowicie kontrolując Polskę, nie zechciałby mimo to zapewnić sobie neutralności Sowietów w trakcie wojny z Francją, np. płacąc Stalinowi kawalkiem Polski. Skoro po włączeniu Polski do swej strefy Niemcy de facto graniczyliby z Sowietami, to w razie wojny z Francją Stalin mógłby uderzyć od wschodu – jak to zakładał podpisany 2 maja 1935 r. pakt obronny, na mocy którego Francja i ZSRR miały pomagać sobie nawzajem w razie, gdyby jedno z nich zostało zaatakowane przez trzecie mocarstwo. Nietrudno więc wyobrazić sobie, że Hitler mógłby próbować kupić Stalina, oferując mu po prostu jakąś część polskiego terytorium. Wspomnijmy, że Rumunia, która zdecydowała się na sojusz z Niemcami, ulegając naciskom Berlina, w 1940 r. musiała odstąpić ZSRR Besarabię (1/5 terytorium Rumunii – 44,4 tys. km kw.).

W tym kontekście należy przypomnieć bieg wypadków, jaki nastąpił w tym czasie w Jugosławii. Niemcy zamierzały wesprzeć Włochy w wojnie z Grecją. Do tego potrzebowały zgody Jugosławii na przemarsz swych wojsk. Rząd Jugosławii, przy niejasnym stanowisku Wielkiej Brytanii, uległ Hitlerowi i 25 marca 1940 r. zawarł sojusz z Niemcami. Było to posunięcie bardzo niepopularne, zwłaszcza wśród wyższej kadry dowodczej armii jugosłowiańskiej. Dwa dni później doszło w Belgradzie do bezkrwawego zamachu stanu inspirowanego przez brytyjskie służby specjalne. Powstał nowy rząd, który zerwał pakt z Niemcami i dla równowagi 1 kwietnia zawarł układ o przyjaźni z sojusznikiem Hitlera Stalinem. Nic to nie dało – Hitler 6 kwietnia uderzył na Jugosławię, a 12 kwietnia Belgrad, stolica Jugosławii, skapitulował. ZSRR nie pomógł Jugosławii.

Mamy więc przykład Rumunii, która uległa naciskowi Niemiec i podporządkowała się w pełni woli Hitlera, i przypadek Jugosławii, która uległa naciskowi Niemiec, ale usiłowała się wyplatać z tej zależności. Powstaje pytanie, jaki wariant postępowania mielibyśmy w przypadku Polski, gdyby władze RP rzeczywiście ustąpiły w 1939 r. Niemcom – wariant rumuński czy jugosłowiański?

REALIA POLITYKI NIEMIECKIEJ

Piotr Gursztyn wskazuje na inną jeszcze ważną zależność decydującą o braku realności pomysłu sojuszniczej współpracy Polski z Niemcami. Jak wiadomo, Polska została poddana wyjątkowo okrutnej okupacji ze strony Niemiec, co jakoby miało być następstwem tego, że sanacja odrzuciła ofertę niemiecką. Powstaje jednak pytanie, dlaczego okupacja niemiecka nie przybrała tak drastycznych form w państwach zachodnioeuropejskich, które też stawily zbrojny opór Niemcom? W okupowanej Francji nie było prześladowań i normalnie działały francuskie szkoły. Belgowie i Francuzi zachowali radia, chociaż mieli zakaz słuchania alianckich radiostacji. W Polsce zamknięto szkoły, a posiadanie radia groziło śmiercią.

Dania stała się protektorem III Rzeszy, ale urzędował król, działał parlament, odbywały się wybory, w których

uczestniczyły partie duńskie, w tym np. socjaldemokracja. W okupowanej Danii Niemcy nie wprowadzili przepisów antyżydowskich, władze niemieckie nigdy nie wymagały noszenia żółtej gwiazdy Dawida. Społeczność żydowska, licząca kilka tysięcy ludzi, została ewakuowana do Szwecji, czego Niemcy jakby nie zauważyli. Może dlatego, że ponad 12 tys. Duńczyków zgłosiło się ochotniczo do Waffen-SS.

W okupowanej Holandii też życie przeciętnego mieszkańca toczyło się normalnie, funkcjonowały zakłady pracy, banki, szkoły. Około 25 tys. Holendrów dobrowolnie wstąpiło w szeregi Waffen-SS, łącznie w tej formacji znalazło się ich 50 tys. Najbardziej znana była Dywizja Grenadierów Pancernych SS „Nederland”. Różnica między Holandią a Polską była np. taka, że Polak za jakąkolwiek pomoc okazaną Żydowi był wraz z rodziną karany przez Niemców śmiercią, a Holender dostawał za to mandat policyjny. Francuscy policjanci wyłapując Żydów i oddając ich w ręce Niemców, robili to dobrowolnie. Byli polscy policjanci musieli podjąć służbę w tzw. policji granatowej pod groźbą rozstrzelania lub wysłania do obozu koncentracyjnego w razie odmowy.

Powinno też co najmniej zastanawiać, że Niemcy na terenie wschodniej Europy nie zaakceptowały żadnych rozwiązań skutkujących formowaniem struktur państwowych. Nie powróciły na mapę polityczną Europy zlikwidowane przez Stalina republiki nadbałtyckie. Na terenie Litwy, Łotwy, Estonii Niemcy tworzyli kolaborujące z nimi formacje policyjne i wojskowe (powstało kilka dywizji Waffen-SS), natomiast nie zgodziły się na odtworzenie organizacji państwowych. Terenami państw nadbałtyckich i Białorusi zarządzał niemiecki Komisariat Rzeszy Wschód podzielony na cztery komisariaty generalne – Estonii (Estland), Litwy (Litauen), Łotwy (Lettland) i Białorusi (Weißruthenien). Na Białorusi istniejące tam siły polityczne zabiegające o współpracę z Niemcami też nie uzyskały żadnych możliwości zorganizowania własnego państwa. Fiaskiem zakończyły się zabiegi o polityczną podmiotowość ośrodków rosyjskich gen. Andrieja Własowa.

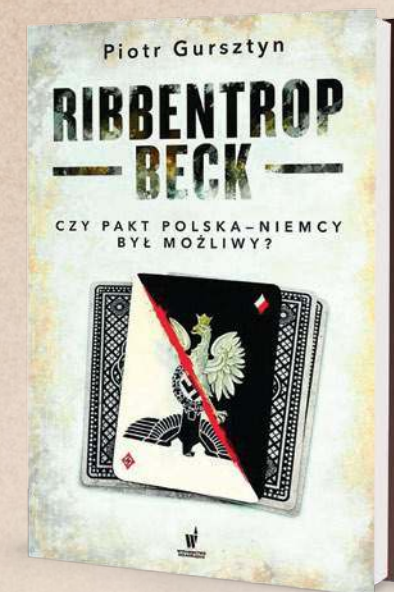
Bliską bardzo współpracę z Niemcami utrzymywali ukraińscy nacjonaliści. Po ataku Niemiec na ZSRR i opuszczeniu Lwowa przez armię sowiecką 30 czerwca 1941 r. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery ogłosiła deklarację niepodległości Ukrainy (Akt odnowienia Państwa Ukraińskiego), z tymczasową stolicą we Lwowie, i powołała rząd ukraiński z premierem Jarosławem Stecką. Hasłem nowego państwa było wezwanie: „Niech żyją Adolf Hitler i Stepan Bandera – śmierć Żydom i komunistom”. Mimo tego aktu wiernopoddąństwa „państwo” Bandery przetrwało tylko 12 dni. Cały skład rządu został aresztowany przez Niemców i z Bandera odesłany do Berlina. Następnie Hitler utworzył oddzielny Komisarjat Rzeszy Ukraina, likwidując tym samym nadzieje OUN na zbudowanie państwa ukraińskiego.

Fakty dowodzą, że Hitler na terenach przeznaczonych pod niemiecką kolonizację nie zmierzał tolerować żadnych struktur państwowych, nawet zależnych od Niemców. Twierdzenie zwolenników polsko-niemieckich sojuszy, jakoby na terenie planowanego przez Hitlera Lebensraum Polska mogła, przy akceptacji Niemiec, zbudować swoje mocarstwo, które w pewnym momencie skutecznie zaatakowałoby III Rzeszę i przyczyniło się do klęski Hitlera, jest nieprawdopodobnym głupstwem.

OPLAKANE EFEKTY

Piotr Gursztyn polemizując z tzw. rewizjonistami, którzy ciągle oskarżają ministra Becka i przywódców II RP o nieudolność, pyta, dlaczego w krajach zhańbionych kolaboracją z Hitlerem dziś sławi się najmniejsze nawet przejawy oporu i przemilcza liczne i widoczne działania kolaborantów? Pokazuje też, jak swoją działalność kończyli politycy europejscy, którzy podjęli współpracę z Niemcami.

Emil Hácha, prezydent Czecho-Słowacji, a następnie utworzonego przez Hitlera Protektoratu Czech i Moraw, po wojnie został aresztowany pod zarzutem kolaboracji i zmarł w więzieniu; Rudolf Beran, premier Protektoratu Czech i Moraw, w 1947 r. skazany na 20 lat pozbawienia wolności, też zmarł w wię-



zieniu; Jaroslav Krejčí, kolejny premier Protektoratu, aresztowany i skazany na karę 25 lat więzienia zakończył życie w więzieniu. Jeszcze gorzej kończyli politycy słowaccy – Jozef Tiso, prezydent Słowacji w latach 1939–1945, po zakończeniu II wojny światowej został skazany na karę śmierci i powieszony; Vojtech (Béla) Tuka, premier i minister spraw zagranicznych Państwa Słowackiego, aresztowany i skazany na karę śmierci, którą wykonano 20 sierpnia 1946 r. w bratysławskim więzieniu. Podobnie skończył Ion Antonescu, dyktator Rumunii w latach 1940–1944. Sądzony w Bukareszcie został skazany na karę śmierci i rozstrzelany. Wyrok wykonano 1 czerwca 1946 r. Kolejni premierzy Grecji – Georjos Tsolakoglu, skazany na śmierć, wyrok zamieniono na dożywotnie więzienie, zmarł w więzieniu w 1948 r., Ioannis Rallis, skazany na dożywocie za zdradę, zmarł w więzieniu w 1946 r.

Na północy Europy Risto Ryti, premier (1939–1940), następnie prezydent Finlandii (1940–44), w 1946 r. został skazany na 10 lat więzienia z zarzutu przystąpienia Finlandii do wojny z ZSRR w 1941 r., a marszałek Carl Mannerheim, prezydent Finlandii w latach 1944–1946, który 9 maja 1946 r. ustąpił z urzędu, wyemigrował do Szwajcarii i tam przebywał do końca życia. Admirał Miklós Horthy, regent Królestwa Węgier w latach 1920–1944, internowany przez Niemców, następnie był w niewoli u Amerykanów, zakończył życie na wygnaniu w Portugalii. Ferenc Szálasi, premier państwa węgierskiego,

ujęty na terenie Niemiec przez Amerykanów, został wydany Węgom i skazany na śmierć. Wyrok został wykonany 12 marca 1946 r. w Budapeszcie. Na Vidkuna Quislinga, dwukrotnego premiera Norwegii, wydano wyrok śmierci, który wykonano przez rozstrzelanie. Wreszcie Francja: Henri Philippe Pétain, marszałek Francji, szef państwa Vichy, został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie, generał de Gaulle zamienił mu karę na dożywotnie więzienie, w którym zmarł; Pierre Laval, premier rządu Vichy, skazany na karę śmierci próbował się otruć – odratowany został rozstrzelany; Joseph Darnand, szef policji oraz sekretarz spraw wewnętrznych państwa Vichy, za zdradę stanu został skazany na karę śmierci, którą wykonano przez rozstrzelanie.

W tym gronie ściganych i skazanych sojuszników Hitlera bez wątpienia znalazłby się też minister Józef Beck, gdyby w 1939 r. podpisał jakiś „pakt Beck-Ribbentrop”.

Zwolennicy współpracy z Hitlerem podnoszą jednak, że naród polski uniknąłby milionowych strat, gdyby sanacja niemądre nie upierała się przy jakimś „honorze” (jak mówił o tym minister Beck w swoim sejmowym przemówieniu, gdy w maju 1939 r. zakomunikował, że Polska żądania niemieckie odrzuca). Czy to może być prawda?

Na początku maja 1933 r. (był to okres, gdy marszałek Piłsudski badał możliwości wywołania wojny prewencyjnej w celu odsunięcia Hitlera od władzy i wymuszenia na Niemcach rezygnacji z remilitaryzacji) odbyły się w Moskwie rozmowy czołowego polityka sanacji Bogusława Miedzińskiego (reprezentującego Piłsudskiego) z Karolem Radkiem (doradcą Stalina ds. polityki międzynarodowej). Ze wspomnień Miedzińskiego poznajemy przebieg rozmowy, w której zapewniał on Radka, że Polska nie sprzymierzy się nigdy z Niemcami przeciwko ZSSR. Uzasadniając polskie stanowisko, Miedziński wyjaśniał: „[...] co leży u podstaw takiego stanowiska zajętego przez Polskę: nie to naturalnie, żebyśmy was nagle i płomiennie pokochali, lecz nasz własny interes. Gdybyśmy się przyłączyli do niemieckiego ataku na Rosję – to jakież są perspektywy? W wypadku

niepowodzenia – katastrofa dla nas oczywista. A w razie powodzenia niechże pan patrzy na tę mapę i wyobrazi sobie, w jakiej sytuacji znalazłaby się Polska, otoczona nowymi podbojami niebywałego dotąd imperium, na jego całkowitej łasce i niełasce. Czy myśli pan, że tego nie dostrzegamy?”

O tym, jaka miała być przyszłość narodu polskiego pod niemieckim panowaniem, możemy się dowiedzieć, sprawdzając, co zawierał Generalplan Ost (Generalny Plan Wschodni) opracowany na polecenie Himmlera w 1941 r., uściślany kilkakrotnie, a będący rozwinięciem opublikowanej w 1915 r. koncepcji MittelEuropy – planu niemieckiej dominacji we wschodniej części kontynentu europejskiego. Hitler recypował to rozwiązanie na potrzeby III Rzeszy. W planie Ost zakładano opróżnienie ziem Lebensraum pod germańskie osadnictwo. Zamieszkujące te ziemie narody miały być wytępione lub wypędzone w głąb azjatyckiej części Rosji.

Według Planu Ost Niemcy zamierzali „usunąć” (wymordować) 50 proc. Czechów, Łotyszy, Estończyków, Rosjan 60 proc. (15 proc. Rosjan zamierzali wysłać na zachodnią Syberię), Ukraińców 65 proc., Białorusinów 75 proc. Planowali pozostawić jedynie 3–5 mln Polaków jako niewolniczą siłę roboczą, a pozostałe 85 proc. zlikwidować. Jak widzimy, nie miało znaczenia, czy dany naród stawiał opór Niemcom, czy nie – Litwini np. też byli przeznaczeni do unicestwienia w 85 proc., w takim samym odsetku jak Polacy. Wspomnijmy, że jeszcze wiosną 1939 r., w obliczu planowanej z Polską wojny, wywiad niemiecki zaktualizował przygotowane imienne listy proskrypcyjne obejmujące wskazanych do likwidacji. Dotyczyły ponad 60 tys. polskich uczonych, duchownych, urzędników i działaczy politycznych, przemysłowców, ziemian. W ramach podjętej Intelligenzaktion Niemcy mordując elitę przywódczą, chcieli naród polski obezwładnić.

W każdym razie gdyby Niemcom udało się rozbić ZSRR, to następnie realizując swój plan Ost zasiedlenia ziem na Wschodzie, zamierzali wymordować od 17 do 28 mln polskich obywateli, znacznie więcej, niż straciliśmy w czasie wojny. To zaś wskazuje, jaką cenę mo-

gła zapłacić Polska, przyczyniając się do zwycięstwa III Rzeszy. Byłoby znacznie gorzej, niż sądzą współcześni naiwni obrońcy polskiej substancji narodowej.

ANTYPOLITYKA HISTORYCZNA

Historyk powinien ustalić, co zdarzyło się w przeszłości, a zgromadzone fakty powiązać z sobą, przedstawiając cały przebieg procesu. Skoro historia ma być nauczycielką życia, to rzetelne przedstawienie faktów ma zasadnicze znaczenie przy wyciąganiu wniosków z przeszłości. Nie można bowiem wyciągnąć prawidłowych wniosków, jeśli będziemy się posługiwać półprawdami albo niekompletną wiedzą. Rygory, jakim powinien się poddać historyk, czasem zdają się nie obowiązywać publicystów używających historii w prezentowaniu własnych poglądów i opinii.

Ostatnio modnym i popularnym terminem spotykanym w przestrzeni medialnej jest uprawiana przez państwa tzw. polityka historyczna. W tym przypadku często się zdarza, że ludzie realizujący tę politykę nie przyjmują zasady, aby kierować się prawdą historyczną, ale starają się tak dobrać fakty z przeszłości i opatrzyć je takimi interpretacjami, aby pokazać przeszłość własnego państwa w możliwie najkorzystniejszym świetle. W przypadku państw, które mają w historii paskudne zdarzenia, dostrzegamy, jak używa się nieprawdy i przekłamań, chcąc się wybielić. Często też podejmowane są starania, aby swoje grzechy przypisać innym. Takie działania podejmują władze na Kremlu udające, że ZSRR nie dopuścił się żadnych zbrodni ani niegodziwości, natomiast wyzwolił Europę od faszyzmu, lub Niemcy, które przekonują, że w czasie II wojny światowej były pod okupacją nazistów, którzy zresztą coraz częściej okazują się innej narodowości niż niemiecka. O tym, jak daleko zaszło przypisywanie innym własnych win, przekonaliśmy się przy okazji zamieszania wywołanego nowelizacją ustawy o IPN. Okazało się, że są wpływowe ośrodki w świecie przekonane, że Polacy uczestniczyli w mordowaniu Żydów i byli sprawcami tych zbrodni, a nie ofiarami niemieckiej opresji.

Teoretycznie realizacja polskiej polityki historycznej, przedstawianie historii

Polski powinno być stosunkowo łatwe, wystarczy bowiem podać fakty i mówić prawdę. Niestety z tym zadaniem Polacy nie zawsze dają sobie radę, a są też tacy, którzy wręcz Polsce szkoda, smarując jej dzieje czarnymi barwami.

A co zrobił Piotr Gursztyn? Rzetelnie zgromadził materiał i powiązał fakty, przekonywająco uzasadniając główną tezę, że sojusz Polski z Niemcami w 1939 r. był niemożliwy. Z podstawowego powodu – nikt, dokładnie nikt w Polsce związków z Hitlerem nie chciał. Jednak zagłębiając się w książkę, dostrzeżemy coś jeszcze – sojusz z III Rzeszą, nawet gdyby był możliwy, bardzo by Polsce zaszkodził. Dlatego autor książki „Ribbentrop–Beck” krytykuje poglądy i opinie tzw. rewizjonistów polskich dziejów najnowszych nierozumiejących sensu polityki ministra Becka.

Ale praca Gursztyna ma znaczenie nie tylko jako polemika ze współczesnymi „sojusznikami” Hitlera. Bo jak pisze wybitny historyk Andrzej Nowak, publicystyka „rewizjonistów” jest szkodliwa także dlatego, że: „Realizuje ona dokładnie zamówienie propagandystów rosyjskich i tych z innych narodów wrogich Polsce, którzy chcą pokazać, że Polska z całej swojej duszy chciała iść z Hitlerem i wymordować Żydów. I tylko z własnej głupoty tego nie zrobiła. A więc Polska jest (w tej wizji) połączeniem podłości z głupotą”. Stąd wniosek, że polski autor oskarżający nieprawdziwie Polaków uprawia rodzaj bardzo szkodliwej antypolityki historycznej. Książka Piotra Gursztyna jest dobrą odtrutką na tę przypadłość.

Wspominał Józef Beck: „Przygotowując to przemówienie, myślałem o Komendancie, który nieraz powtarzał: gdy człowiek ma przed sobą kilka dróg, gdy męczy się i waha, i nie wie, którą wybrać – niech wybiera drogę honoru, ta zawsze będzie właściwsza”.

Minister Beck postąpił tak, jak trzeba. Miał rację!

Romuald Szeremietiew dr hab. nauk wojskowych prof. Społecznej Akademii Nauk. Działacz niepodległościowy i więzień polityczny w PRL, wiceminister i p.o. ministra obrony narodowej, poseł na sejm III kadencji, odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski

Zapomniany prorok

Ukraiński biskup nadaremnie przestrzegał przed flirtem duchowieństwa greckokatolickiego z nacjonalizmem, który nazywał pogaństwem z elementami satanizmu



GRZEGORZ GÓRNY

Zadna książka nie wzbudziła ostatnio tak wielkich emocji na Ukrainie jak „Dwa królestwa”. Ocalały cudem z sowieckiej pożogi rękopis odnalazł się nagle po dziesięcioleciach i został opublikowany w 2016 r. Nie podzielił jednak losu wielu historycznych zabytków piśmiennictwa chrześcijańskiego, wzbudzających zainteresowanie tylko hagiografów i teologów, lecz stał się przedmiotem zażartego sporu religijnego i politycznego. Został bowiem odebrany jako polemiczny głos w toczącej się obecnie debacie na Ukrainie – i to głos niezwykle aktualny.

RĘKOPISY NIE PŁONĄ

Autorem odnalezionego dzieła jest biskup Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego Grzegorz Chomyszyn (1867–1945). Przez ponad 40 lat – od roku 1904 aż do swej śmierci – stał na czele diecezji stanisławowskiej, najpierw znajdującej się w monarchii austro-węgierskiej, później w II Rzeczypospolitej, a w końcu pod dwoma okupacjami: niemiecką i sowiecką. Ten chłopski syn z podolskiej wsi okazał się przenikliwym teologiem i myślicielem religijnym. Dał się poznać jednak przede wszystkim jako gorliwy duszpasterz oddany całkowicie ewangelizacji. Prowadził misje, otwierał sierocińce, zakładał pisma, organizował czytelnice. Dzięki swej nieustraszonej

działalności stał się niekwestionowanym autorytetem dla miejscowej ludności ukraińskiej. W 1945 r. został aresztowany przez NKWD w ramach rozprawy z Kościołem greckokatolickim. Zmarł zamęczony w kijowskim więzieniu. W 2001 r. Jan Paweł II beatyfikował go we Lwowie wraz z 27 męczennikami – ofiarami komunistycznego reżimu.

Gdy na podwórzu stanisławowskiej rezydencji biskupa enkawudziści palili w 1945 r. jego archiwum, znalazła się tam s. Bonifacja Rozalia Horbiańska. Zakonnica wyciągnęła z ogniska nadpalony rękopis „Dwóch królestw” i przechowała go w ukryciu przez ponad 40 lat. W końcu trafił on do rąk ks. Ihora Pelechatego – postulatora procesu beatyfikacyjnego bp. Chomyszyna, który wydał manuskrypt drukiem.

Wydawać by się mogło, że odnalezione dzieło tak zasłużonej osoby o nieposzlakowanej opinii (błogosławiony, biskup, męczennik) spotka się z ciepłym przyjęciem w łonie Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego. Stało się jednak inaczej. Wielu przedstawicieli UKG, łącznie z dużą częścią elit duchownych, nie kryło swego oburzenia publikacją 500-stronicowego rękopisu. Ks. Pelechatego spotkały z tego powodu szykany, a pierwsze wydanie książki w języku ukraińskim mogło się ukazać w Polsce (staraniem Centrum Ucrainicum KUL w Lublinie).

Co było powodem tak chłodnej reakcji? Nie ma wątpliwości, że w centrum kontrowersji znalazła się postać metropolity lwowskiego Andrzeja Szeptyckiego, uważanego dziś za bohatera narodowego Ukrainy. „Dwa królestwa” są bowiem jednym wielkim aktem oskarżenia prowadzonej przez niego polityki. Bł. Grzegorz Chomyszyn nie ukry-

wał, że postępowanie władzy uważa za zgubne zarówno dla Kościoła, jak i dla Ukraińców.

WYBÓR TOŻSAMOŚCI

Szeptyccy należeli do jednego z najbardziej znanych rodów bojarskich, składających się na wieloetniczną mozaikę dawnej Rzeczypospolitej. Przez wieki ich samoświadomość dobrze oddawała dewiza Stanisława Orzechowskiego: „gente Ruthenus, natione Polonus” („z pochodzenia Rusin, z narodowości Polak”). Ta formuła zaczęła się jednak wyczerpywać wraz z rozwojem nowoczesnych narodów.

Przyszły metropolita lwowski był wnukiem Aleksandra Fredry. Miał czterech braci (nie licząc dwóch zmarłych w dzieciństwie). Pod koniec XIX w. między rodzeństwem doszło do podziału: trzech wybrało tożsamość polską, a dwóch ukraińską (np. Stanisław Szeptycki zostanie zaufanym człowiekiem Piłsudskiego, komendantem Legionów i generałem w II RP, a jego brat Klemens – mnichem greckokatolickim, zamordowanym przez NKWD w 1951 r. i beatyfikowanym przez Jana Pawła II).

Jeden z braci, Roman, postanowił zostać kapłanem katolickim obrządku wschodniego. Wstąpił do zakonu bazylianów i przyjął imię Andrzej. Wybór religijny okazał się dla niego wyborem narodowościowym. Kościół greckokatolicki coraz mocniej utożsamiał się bowiem z żywiołem ukraińskim, a proces ten nabrał przyspieszenia w latach 1900–1944, gdy jego najważniejszym zwierzchnikiem był właśnie metropolita lwowski Andrzej Szeptycki. Jeszcze u zarania II Rzeczypospolitej Polacy stanowili ok. 10 proc. wiernych

greckokatolickich. W ciągu dwóch dekad grupa ta jednak zanikła albo ukrainizując się, albo przechodząc do Kościoła rzymskokatolickiego.

MIĘDZY MOSKWĄ A RZYMEM

Początki Kościoła greckokatolickiego na naszych ziemiach sięgają końca XVI stulecia. W 1589 r. metropolita Moskwy ogłosił się patriarchą i zaczął rościć sobie prawo do zwierzchności nad prawosławnymi zamieszkującymi ziemie Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Rosja wykorzystała w ten sposób pustkę, jaka powstała w Kościele wschodnim po upadku Konstantynopola. Dla prawosławnych obywateli Rzeczypospolitej perspektywa uznania zależności od moskiewskiego patriarchy (a zarazem od rosyjskiego cara, który podporządkował sobie tamtejszy Kościół) była nie do przyjęcia. Dlatego większość biskupów postanowiła się pojednać z Rzymem. Taka była geneza unii brzeskiej w 1596 r. Kościół prawosławny w Rzeczypospolitej uznał wówczas jurysdykcję papieża, przyjął dogmaty rzymskokatolickie, ale zachował wschodni obrządek. Tak powstał Kościół greckokatolicki, zwany niekiedy unickim. Ponieważ nie wszyscy prawosławni zaakceptowali tę decyzję, w państwie istniały równoległe dwa wyznania wschodnie.

Sytuacja zmieniła się po rozbiorach Rzeczypospolitej. Na zajętych przez siebie terenach Rosja zaciekle zwalczała unitów, a ich parafie wcielała do Kościoła prawosławnego. Grekokatolicy przetrwali więc jedynie w zaborze austriackim, a ich stolicą stał się Lwów. W II RP mieli oni trzy diecezje: przemyską (na czele z bp. Jozafatem Kocyłowskim), stanisławowską (z Grzegorzem Chomyszynem) oraz lwowską (z abp. Andrzejem Szeptyckim). Dwaj pierwsi hierarchowie spierali się mocno z tym ostatnim o przyszły kształt Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego.

Metropolita Szeptycki przejęty był bowiem misją nawrócenia Rosji. To powodowało, że w życiu kościelnym prezentował opcję rusofilską, dążąc do upodobnienia obrzędowości greckokatolickiej do prawosławnej, i to w jej moskiewskiej formule. Dlatego w 1914 r.,

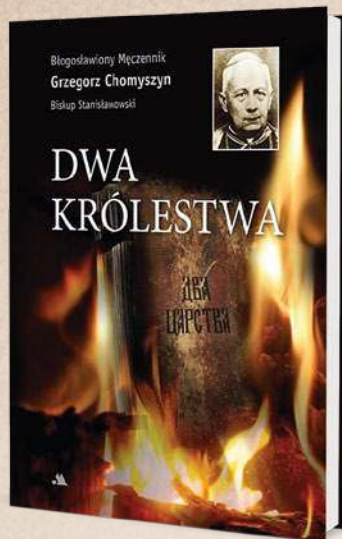


gdy do Galicji wkroczyły wojska rosyjskie, wystosował wiernopoddańczy list do cara Mikołaja II.

Bp Grzegorz Chomyszyn zdecydowanie krytykował tę opcję. Uważał, że jej przyjęcie jest zagrożeniem zarówno dla katolicyzmu, jak i ukraińskości wiernych. Pisał, że „bizantyzm jest czynnikiem rozkładowym na polu kościelnym, religijnym, państwowym i narodowym”, ponieważ „został zaszczerpiiony do Rosji jako spadkobierczyni Bizancjum i tam otrzymał grunt i ducha moskiewskiego. Rosja uważała za zadanie swego posłannictwa sprowadzić wszystkie słowiańskie rzeki do jednego morza, tzw. panslawizm pod rosyjską egidą. Do swojej propagandy politycznej i narodowej m.in. używała jako środka także prawosławia, przede wszystkim u nas, a dokładnie poprzez rozpowszechnianie obrządku rosyjsko-synodalnego pod hasłem: »wiera naszych ojców«. W Rosji prawosławie i carosławie – to były części składowe rosyjskiego imperializmu. I dlatego nasi rusofile tak silnie bili się o czystość obrzędu jako »wiary naszych ojców«, ażeby w ten sposób szerzyć prawosławie, a zarazem rosyjskie carosławie”.

Sam Chomyszyn uważał, że Ukraina powinna zdecydowanie wybrać opcję europejską i zakorzenie się w katolicyzmie. Dlatego w swej diecezji wprowadził wiele reform, za które był krytykowany jako „latynizator”, np. nauczanie teologii tomistycznej, celibat duchowieństwa czy zachodni kalendarz gregoriański zamiast wschodniego juliańskiego. Krytykował zwłaszcza rusofilskich teologów skupionych wokół lwowskiego czasopisma „Nywa”, na czele z ks. Gabrielem Kostelnykiem, który cieszył się wyjątkowymi względami metropolity Szeptyckiego. Ostrzegał, że ich działalność może doprowadzić do schizmy i rozbitcia Kościoła grekokatolickiego.

Historia przyznała rację bł. Grzegorzowi. W 1946 r. na rozkaz Stalina w zajętej przez Sowieców Lwowie zwołano pseudosynod Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego, który ogłosił samolikwidację i dobrowolne wcielenie do Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego. Na czele renegatów stał niedawny faworyt Andrzeja Szeptyckiego – ks. Kostelnyk.



HEREZJA NACJONALIZMU

Nie był to jedyny powód, dla którego bp Chomyszyn krytykował lwowskiego hierarchę. Jego zdaniem władca, ponieważ był z pochodzenia Polakiem i promował opcję rusofilską, tym bardziej starał się uwiarygodnić wśród Ukraińców jako prawdziwy patriota. To rzutowało na jego stosunek do ukraińskiego nacjonalizmu, rosnącego w siłę w latach 30. Już wówczas Szeptycki – zdaniem Chomyszyna – „zajął stanowisko pasywne względem bojówek terrorystycznych, a może raczej pośrednio im sprzyjał, a w każdym razie milczeniem aprobował”.

Biskup stanisławowski miał żal do metropolity o to, że nie potępiał on coraz bardziej agresywnych działań OUN, a nawet prowadził swoisty flirt z nacjonalistami. W 1933 r. w swej pracy „Kwestia ukraińska” przestrzegał przed „herezją nacjonalizmu”, pisząc: „Ów wadliwy, zatruty i szkodliwy nacjonalizm stał się u nas nową religią, podobnie jak materializm u bolszewików. »Ukraina nade wszystko« – to dogmat naszego nacjonalizmu. Sprawy wiary, Kościoła i religii nie mają w ogóle znaczenia, albo ustąpiły na drugi plan, z łaski tolerowane jeszcze dla tradycji albo zwyczaju. Wszystko, co jest narodowe, uważa się za święte, cenne i konieczne, a sprawy wiary, Kościoła i religii traktowane są jako zbyt cenne, nieproduktywne, zacofane”.

Grzegorz Chomyszyn nie miał wątpliwości: „Nacjonalizm począł u nas przybierać cechy ducha pogańskiego, albowiem wprowadza pogańską etykę nienawiści, nakazuje nienawidzić wszystkich, którzy są innej narodowości, a nawet wzbrania nieść im pomoc i okazywać miłosierdzie w ich nieszczęściu.

To właśnie jest przeciwne etyce chrześcijańskiej, Chrystus nakazał bowiem słowem i swoim przykładem miłować bliźnich swoich i nie tylko przyjaciół i swoich, ale również i wrogów osobistych, i ludzi obcych narodowością. [...] Ale nie tylko duchem pogańskim zaczął zionąć nasz ukraiński nacjonalizm. Co gorsza, na tle nacjonalizmu ukraińskiego zjawily się oznaki pewnego rodzaju satanizmu”. Biskup słusznie obawiał się, że hodowana przez lata nienawiść może doprowadzić do rozlewu krwi. Niestety także tym razem jego przewidywania okazały się prorocze, czego przejawem było m.in. ludobójstwo na Wołyniu.

DWIE LINIE KOŚCIOŁA

„Dwa królestwa” pojawiły się w czasie, gdy na Ukrainie trwa gloryfikacja banderyzmu, a tamtejszy Kościół grekokatolicki w dużej mierze wspiera ten proces. Chomyszyn potępia zaś ideologię ukraińskiego nacjonalizmu jako z ducha pogańską i heretycką. W decydującą fazę wchodzi też proces beatyfikacyjny Andrzeja Szeptyckiego, traktowanego jako ojciec narodu. Biskup stanisławowski krytykuje go natomiast za to, że kierował Kościół grekokatolicki ku temu, co stanowiło jego największe nieszczęście: rusofilskiej schizmie i nacjonalistycznej herezji. To wszystko może zaś zahamować lub nawet uniemożliwić wyniesienie metropolity na ołtarze. Tym bardziej że jak najgorsze świadectwo wystawia mu nie byle kto, bo męczennik i błogosławiony Kościoła katolickiego.

Z tego powodu książka stała się dla wielu środowisk na Ukrainie pozycją niewygodną. Kwestionuje się autentyczność rękopisu, a jego wydawca traktowany jest niemal jak zdrajca narodu. Tymczasem mamy do czynienia ze sporem wewnątrzukraińskim. Dotyczy on dwóch odmiennych linii rozwojowych Kościoła grekokatolickiego, które reprezentowali dwaj dostojnicy: Szeptycki i Chomyszyn. Większości Ukraińców znany jest tylko ten pierwszy, natomiast myśl drugiego pozostaje nieznana i dopiero teraz zaczyna się powoli przebijać do tamtejszych wiernych. Warto, by poznali oni poglądy swego zapomnianego proroka i mogli dokonać świadomego wyboru własnej tradycji.

Patriotyzm źródłem dobrej energii

Jesteśmy dumni z tego, co było
i nigdy nie przestanie być ważne
- historii nas, naszych rodzin i ojczyzny.
Chcemy, by kolejne pokolenia Polaków
dzieliły naszą dumę i troskę, dlatego
z oddaniem wspieramy inicjatywy
i działania, pielęgnujące polskie wartości.

**Dbamy o historię,
przekazywaną od pokoleń.**



Energa

www.energa.pl

Szczyt, który podsycił kryzys

Po czterech latach dyskusji, wysiłków, nacisków, a nawet gróźb upadł definitywnie pomysł na przymusową relokację imigrantów po całej Europie na podstawie jakichś centralnie ustalanych unijnych kwot



JAN ROKITA

W piątek 29 czerwca nad ranem, po całonocnej i dość chaotycznej kłótni, przywódcy państw Unii Europejskiej uzgodnili w końcu wspólną deklarację o polityce migracji. Nastąpiło to po ponad dwóch tygodniach publicznego stawiania sprzecznych żądań przez poszczególne rządy, zwłaszcza przez Rzym, Wiedeń i Berlin, a także po niezwykłym niedzielnym „miniszczycie”,

jaki wbrew przepisom traktatów i unijnym obyczajom zwołał szef Komisji Jean-Claude Juncker (traktat lizboński zastrzega bowiem uprawnienie do zajmowania się zebraniem szefów państw i rządów dla przewodniczącego Rady Europejskiej, czyli Donalda Tuska).

CENTRA KONTROLNE

Z dziennikarskich przecieków wynika, że także sama nocna dyskusja obfitowała w spektakularne wolty dokonywane przez polityków, radykalnie zmieniające się z godziny na godzinę wersje wspólnej deklaracji, a także otwarte lub poufne groźby zerwania całego szczytu przez odmowę zgody na ustalenie jakichkolwiek konkluzji Rady Europejskiej w jakiegokolwiek sprawie. Zdaje się,

że najbardziej „elastycznym” graczem na szczycie okazał się Emmanuel Macron, który wieczorem obiecał trójce wyszehradzkiej, że „idea relokacji uchodźców jest martwa”, a parę godzin później aktywnie wspierał włoskiego premiera Giuseppe Contego w dążeniu do czegoś dokładnie odwrotnego. Skądinąd tenże Conte w czwartek wieczorem bez ogródek groził, że doprowadzi do zerwania szczytu, jeśli Europa nie zobowiąże się odbierać z Włoch imigrantów, ale w piątek nad ranem zmienił zdanie i udawał zadowolonego, choć na szczycie nie spełniono w istocie żadnego z jego żądań. Poufnie zerwaniem szczytu grozili ponoć również premierzy Morawiecki i Orbán, a działo się to w okolicach północy, gdy na stole pojawiła się kolejna propozy-



cja Tuska, tym razem wracająca do idei obowiązkowej relokacji.

O ile jednak relacje z przebiegu narażone są wciągające i pełne napięcia, o tyle nie jest łatwo pojąć polityczny sens uzgodnionych w końcu konkluzji. Jasne jest w zasadzie tylko jedno: to, że po czterech latach dyskusji, wysiłków, nacisków, a nawet gróźb w piątek nad ranem upadł definitywnie pomysł na przymusową relokację imigrantów po całej Europie na podstawie jakichś centralnie ustalanych unijnych kwot. Pomysł ów, zgłoszony w 2015 r. przez Berlin, miał być obliczonym na przyszłość hamulcem bezpieczeństwa, którego zaciągnięcie w wypadku powtórki wielkiej fali imigracyjnej zablokowałoby spontaniczne parcie większości przybywców z śródziemnomorskiego wybrzeża

do Niemiec. „Będziemy nad tym pracować i nie odpuszczymy” – mówiła w październiku 2015 r. w Bundestagu kanclerz Angela Merkel. Do takiej decyzji parło z czasem coraz mocniej także europejskie Południe, a niedawna zmiana władzy w Rzymie sprawiła, że radykalny punkt widzenia na sprawę przyjął teraz rząd włoski. „Kto przybywa przez Morze Śródziemne na brzeg włoski, przybywa do Europy” – powtarzał ostatnio jak mantrę szef włoskiego MSW Matteo Salvini, a za nim wszyscy politycy rządzącej koalicji. Rzym domagał się, aby Europa stale i przymusowo zabierała z Italii zarówno uchodźców (mogących z powodu wojny i prześladowań ubiegać się o azyl), jak i imigrantów ekonomicznych, którzy przecież stanowią lwią część azjatyckiej i afrykańskiej migracji.

Ale teraz, kiedy Włosi zradykalizowali żądania europejskiego Południa, mocno zmieniła się sytuacja w Niemczech. Pani kanclerz, jak wiadomo, stanęła wobec naporu siostrzanej bawarskiej chadecji, aby w końcu zablokować tzw. migrację wtórną, czyli spontaniczny marsz lwiej części imigrantów do Niemiec. A że ani Unia, ani sama Merkel nie znalazła w ciągu czterech lat skutecznego patentu na ten problem, Bawarcyzcy i szef niemieckiego MSW z ich ramienia Horst Seehofer kategorycznie zażądali niemieckiego rozwiązania narodowego, tzn. wprowadzenia kontroli granicy z Austrią i cofania wszystkich, którzy zarejestrowani zostali jako ubiegający się o azyl w Grecji, we Włoszech czy w Hiszpanii. O ile zatem Merkel jechała na szczyt z planem sklonienia partnerów do brania z powrotem „swoich” imigrantów idących dalej do Niemiec, o tyle Conte miał plan dokładnie odwrotny. Nie tylko nie zamierzał odbierać ich z granicy niemieckiej, lecz szantażując zerwaniem zebrania i blokadą Unii, planował wymusić zabranie przybyłych Murzynów i Azjatów z własnego kraju.

Dynamika przebiegu szczytu sprawiła jednak, że w ciągu nocy włoski premier znalazł się w izolacji. Gdy Conte (florencki profesor, bez doświadczenia politycznego, który dopiero co objął deus ex machina funkcję premiera) zaczął się łamać, linę ratunkową rzucił mu Macron. Dla Paryża utrzymanie w Unii roli

politycznego „rzecznika” całego europejskiego Południa jest od lat ważnym czynnikiem budowania quasi-mocarstwowej roli Francji w Europie. Dlatego Macron najpierw próbował przeforsować przedstawiony przez Tuska „kompromis”, ignorujący antyrelokacyjne stanowisko państw wyszehradzkich, a gdy to z powodu uporu Morawieckiego i Orbána nie wyszło, skoncentrował się na staraniach o utworzenie tzw. centrów kontrolnych w poszczególnych krajach Unii, do których ci, którzy tak czy inaczej przedostali się już do Europy, byłiby przymusowo przesiedlani w celu dokonania selekcji na uchodźców (mogących dostać azyl) oraz imigrantów ekonomicznych (mających odtąd podlegać deportacji). Tyle tylko, że w zasadzie żaden z przywódców nie chciał podczas szczytu sam zadeklarować w imieniu swego kraju utworzenia tego rodzaju centrum, świadom, że taka decyzja oznaczałaby uruchomienie ruchu imigrantów do jego kraju zamiast z niego.

Przewrotność konkluzji szczytu polega na tym, że nie precyzują one, kto i kiedy ma obowiązek utworzenia centrum. Z tej przyczyny już kilkanaście godzin po rozjechaniu już polityków do swoich krajów wybuchł kolejny w ostatnim czasie kryzys włosko-francuski, gdy Macron oświadczył, że Francja nigdy nie miała i nie ma takich planów, a wystrychnięty na dudka Conte odpowiedział mu: „Nigdzie nie jest napisane, że mają to robić Włochy”. Jest najzupełniej jasne, że prawie nikt w Unii takich centrów nie chce tworzyć, więc nawet jeśli powstałyby one w najbardziej „obowiązkowych” w tej materii Niemczech, to i tak cały plan selekcji oraz deportacji wkrótce okaże się zapewne martwym świstkiem europejskiego papieru. Teraz włoski wicepremier i lider Ruchu Pięciu Gwiazd Luigi di Maio grozi, że jeśli tak by się stało, znaczyłoby to, że „Unia już nie istnieje”, a Rzym musiałby się zastanowić, czy w ogóle płacić dalej do Brukseli unijne składki.

OBOZY DEPORTACYJNE

Nieco podobnie rzecz ma się z drugim sztandarowym ustaleniem szczytu, czyli (ach, ten unijny żargon) „regionalnymi platformami do wykąretowania”. Owe

„platformy” to miałyby być po prostu obozy deportacyjne, zbudowane w Afryce do przyjmowania tych, którzy mają odtąd być zawracani na Morzu Śródziemnym. Na tego rodzaju wydatki przywódcy postanowili wyasygnować z europejskiej kasy dodatkowe 0,5 mld euro. Tyle tylko, że dopiero co Libia odmówiła właśnie zaprzyjaźnionym z nią władzom włoskim stworzenia takiego obozu na swoim terytorium, choć Salvini udał się przed szczytem z taką misją do Trypolisu. Wygląda na to, że bodaj wszystkie kraje arabskie leżące na śródziemnomorskim wybrzeżu mają podobne zdanie. Tymczasem Unia, poza pieniędzmi na ich ewentualne przekupienie, nie ma żadnego pomysłu na doprowadzenie idei „platform” do skutku. Toteż trudno dzisiaj wierzyć, że i w tej sprawie konkluzje szczytu mają większe niżli papierowe znaczenie.

Tymczasem Merkel, wbrew tym faktom, po powrocie do Niemiec oświadczyła w TV ZDF, że ustalenia szczytu „mają efekt równy zamknięciu granic dla wtórnych imigrantów przemieszczających się w stronę Niemiec”. Co prawda trochę też narzekała, że „ciągle nie jesteśmy w tym miejscu, w którym chcielibyśmy w tej sprawie być”, ale zarazem publicznie dzieliła się nadzieją, iż Seehofera i partnerów z bawarskiej chadecji takie ustalenia w pełni zadowolą. W liście do CSU kanclerz wspierała swoją nadzieję także tym, że aż 14 liderów ustnie zadeklarowało jej gotowość rozmów o readmisji imigrantów z Niemiec, jeśli wcześniej przeszli oni przez ich kraje. Na liście owych 14 przywódców znaleźli się m.in. premierzy Morawiecki, Babisz i Orbán, ale gdy z powodu takiego zobowiązania podniosły się w tych krajach protesty, wszystkie trzy MSZ (tzn. polski, czeski i węgierski) zaprzeczyły takim planom. Dla Merkel był to pierwszy zimny prysznic, tym bardziej że najprawdopodobniej w poufnych rozmowach takie słowa ze strony premierów istotnie padły, choć byli oni zaskoczeni faktem upublicznienia ich przez panią kanclerz dla celów wewnętrzniemieckiej rozgrywki partyjnej.

Ale prawdziwy cios spadł na kanclerz w niedzielę po szczycie. Jej minister

spraw wewnętrznych Seehofer spektakularnie zagroził swoją dymisją na znak protestu przeciw ustaleniom brukselskim, uruchamiając tym samym lawinę spekulacji na temat otwarcia na nowo kryzysu gabinetowego w Berlinie. Warto pamiętać, że Merkel dopiero co udało się skleić nowy rząd, po półrocznym okresie trwania międzypartyjnych sporów paraliżujących niemiecką politykę.

DOBROWOLNE RELOKACJE

Nieco przypadkowymi beneficjentami tych wszystkich konfliktów stały się kraje wyszehradzkie (w tym szczególnie dwa aktywne na szczycie – Polska i Węgry). Okazało się bowiem, że wobec podzielonej i niemogącej się porozumieć „starej Unii” pomysł, iż można przegłosować albo zignorować wolę „nowej Unii”,

„Wybory europejskie 2019 r. będą wielkim plebiscytem albo za Europą bez granic, albo za Europą chroniącą własnych obywateli”

okazał się całkiem nierealistyczny. Tymczasem co najmniej troje przywódców – Macron, Conte i Merkel – obawiało się najbardziej fiaska szczytu i rozjechania się jego uczestników bez żadnych ustaleń. Dla prezydenta Francji byłby to dowód na iluzoryczność jego spektakularnych projektów wzmacniania i federalizacji zachodniej części kontynentu. Dla włoskiego premiera powrót z niczym musiałby się wiązać z jakimiś antyunijnymi retorsjami rządu włoskiego, na co sam Rzym nie jest dobrze przygotowany. A najbardziej fiaska szczytu musiała się obawiać pani kanclerz, wiedząc doskonale, że oznacza to nieuchronny kryzys rządu w Berlinie.

W takich warunkach zapadła jedyna prawdziwie istotna decyzja szczytu, że wszelkie relokacje przybyszów mogą być na przyszłość wyłącznie dobro-

wolne, a zmiany tzw. konwencji dublińskich (czyli europejskiego prawa azylowego) muszą zapadać jednomyślnie. Nic dziwnego, że jedynymi politykami, którzy nie musieli udawać satysfakcji po brukselskiej naradzie, byli Orbán i Morawiecki. Premier węgierski ogłosił po powrocie do Budapesztu „wielkie zwycięstwo”, a polski mówił portalowi Niezależna.pl o „megasukcesie”.

Ale satysfakcja Warszawy i Budapesztu nie rozwiązuje żadnego z realnych problemów Europy z imigrantami. Dlatego wynik szczytu nie tylko nie zamyka kryzysu politycznego w Unii na tle migracji, lecz przeciwnie – podnosi go na jeszcze wyższy poziom. Całkiem na przekór temu, czego spodziewali się jego uczestnicy pracy w Brukseli za wszelką cenę do jakichś, byle wspólnych, konkluzji. Istota rzeczy tkwi dziś bowiem

w tym, że (mówiąc językiem niemieckiej kanclerz) „europejskie rozwiązania” migracyjnych kłopotów są już po prostu niemożliwe. Jeśli bowiem jakiś kraj uzna, że nie chce afroazjatyckich imigrantów na swoim terytorium w ogóle (jak Polska), albo że musi przynajmniej zmniejszyć ich liczbę (jak Włochy czy Niemcy), to jedynym na to sposobem są „rozwiązania narodowe”, czyli blokady wybrzeża, kontrole na granicach i obozy deportacyjne.

Są to jednak kroki, które podjęte w jednym kraju zawsze będą wywoływać jakieś dodatkowe kłopoty państw ościennych. Dlatego można je podjąć, tylko korzystając z narodowej suwerenności. W tym sensie bardziej realistycznym politykiem niż Merkel jest Seehofer, który domaga się „niemieckiego rozwiązania narodowego”. Ale zarazem perspektywa zwycięstwa realizmu Seehofera nie jest dobrą wróżką dla Unii. A zwłaszcza dla europejskiej swobody podróżowania, czyli tzw. strefy Schengen, której idea staje wobec coraz cięższych opalów.

W niedzielę po szczycie Matteo Salvini wróżył: „Wybory europejskie 2019 r. będą wielkim plebiscytem albo za Europą bez granic, albo za Europą chroniącą własnych obywateli”. Niestety jest coraz bardziej prawdopodobne, że prognoza włoskiego ministra okaże się prawdziwa.

Ustawa o IPN zakazująca obarczania państwa i narodu polskiego współodpowiedzialnością za Holocaust wywołała ostre protesty w Izraelu. Z inicjatywy premiera Mateusza Morawieckiego złagodźono prawo. Nowelizacja ustawy podzieliła nie tylko organizacje żydowskie, lecz także izraelskie media

Nie można mieć wszystkiego



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Dla części z nich to zwycięstwo władz w Tel Awiwie i dowód na to, że „presja ma sens”, w opinii innych izraelski premier Benjamin Netanjahu dokonał „zdrady”, stawiając krótkotrwale pragmatyczne interesy ponad prawdą historyczną.

ZADOWALAJĄCY KOMPROMIS

„Polska ugięła się” – informuje swoich czytelników hebrajskojęzyczny dziennik „Maariv”. Także redakcja gazety „Yedioth Ahronoth” podkreśla, że „krytyka i presja wywierane na

Polskę, m.in. przez USA, zadziałały”. Podobnie jak portal dziennika „Israel Hayom”: „Uginając się pod presją Izraela, polski premier wycofuje groźby kar za przypisywanie narodowi polskiemu współodpowiedzialności za zbrodnie nazistów z ustawy o Holokauście. Presja ma sens”. A „The Times of Israel” informuje, że Benjamin Netanjahu przypisuje sobie sukces porozumienia z Polską. Izraelski premier stwierdził bowiem podczas przemówienia w ministerstwie obrony w Tel Awiwie: „Staliśmy w obronie prawdy i spełniliśmy nasz główny obowiązek: zagwarantować historyczną prawdę o Holokauście”. Izraelski premier dodał: „I będziemy dalej działać w tym kierunku”.

Netanjahu nie krył swej „satisfakcji z decyzji Polski”. „Z zadowoleniem przyjmujemy te kroki” – zaznaczył, sugerując, że porozumienie to wynik starań strony izraelskiej. Według dziennika „Haaretz” osiągnięto kompromis między Polską a Izraelem, który „zado-

wala obie strony”. Gazeta, choć pisze z uznaniem o zaangażowaniu premiera Netanjahu w uregulowanie problemu i o jego współpracy z polskim rządem, nie omieszcza zauważyć, że we wspólnej deklaracji Morawiecki i Netanjahu odrzucili „wszelkie działania mające na celu przypisanie Polsce lub całemu narodowi polskiemu winy za okrucieństwa nazistów i związanych z nimi kolaborantów różnych narodowości”, a antypolonizm został postawiony na równi z antysemityzmem, co „bez wątpienia jest sukcesem Polski”. „Haaretz” w swej publikacji również zaznacza, że strona polska nie zrezygnowała ze ścigania osób, których wypowiedzi urągają prawdzie i uwłaczają dobremu imieniu Polski, ale Warszawa zamierza „raczej wnosić pozwy z powództwa cywilnego”.

„The Times of Israel”, który stwierdza, że doszło do ostatecznego zakończenia kryzysu polsko-izraelskiego, zauważa, iż obrady polskiego Sejmu były „bardzo emocjonalne”, a ustawa została

THE TIMES OF ISRAEL

Does the Israeli-Polish Holocaust law agreement defend truth or betray history?

JULY 5, 2018
CURRENT TOP STORIES

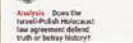
Yad Vashem slams 'highly problematic' Israeli-Polish Holocaust statement

by Yehuda Bauer
Israel's Holocaust memorial has slammed the Israeli-Polish Holocaust statement, saying it is 'highly problematic' and 'betrays the truth'.

Bennett: Israel-Polish Holocaust declaration 'a disgrace, sullied with lies'

Polish launch global drive to promote Holocaust law, despite rolling Israeli critics

Analysis: Does the Israeli-Polish Holocaust law agreement defend truth or betray history?



Iran tells Trump to stop tweeting about oil prices

Trump's OPEC representative claims US president's tweets damage negotiations

ANALYSIS: YEHUDA BAUER: IT'S A BETRAYAL OF THE MEMORY OF THE HOLOCAUST

Does the Israeli-Polish Holocaust law agreement defend truth or betray history?

Jerusalem's Yad Vashem's cancellation of law honoring claims of Polish complicity in Holocaust, but eminent Israeli scholar says mundane reality trumped historical verity

by YEHUDA BAUER
4 JULY 2018 5:22 AM

People often go to the Yad Vashem Holocaust Museum in Jerusalem to pay tribute to the victims of the Holocaust. In this photo, a group of people are seen walking through the museum grounds, carrying Israeli flags.

ARUTZ SHEVA 7

Timo 32, 5736, 150018

Home News Op-Eds Briefs Blogs Food Judaism Radio

News Briefs

Main > Editorials > The Polish Amendment is a change in tactics, not policy

The Polish Amendment is a change in tactics, not policy

Dr. Inna Rogatchi: To the PIS legislators and new-born fierce Polish ultra-nationalists of all denominations, many of whom virtually yesterday were active pro-Soviet activists, we have a simple message to convey: We do know who killed Jews in Poland.

Contact Editor: Dr. Inna Rogatchi, 0407110 00 191 updated 04/30

f t g

HAARETZ

Thursday, July 05, 2018
Timo 32, 5736, 150018

Israel News

All sections

Poland

NSO

Hezbollah - Syria

Israel spy

Jewish terrorists

Trump - Sup



Syria's Assad has become Israel's ally



Belgian model poses nude in front of Western Wall



The Iranian trouble

Trending Now

Home > Opinion

Opinion // Israel's Stupid, Ignorant and Amoral Betrayal of the Truth on Polish Involvement in the Holocaust

We accepted the mendacious official Polish narrative, and swallowed it. And we exposed the Polish liberals, and expose Poles' involvement in the

przyjęta większością głosów – za było 388 posłów, przeciwko 25, a 5 się wstrzymało. „The Jerusalem Post” tymczasem przywołuje słowa ministra Michała Dworczyka, który przyznał, że intencją ustawy jest „obrona dobrego imienia Polski” i przeciwdziałanie używaniu słów „polskie obozy śmierci” zamiast „nazistowskie”, ale – jak zauważa gazeta – spowodowała ona kryzys z Izraelem i „innymi partnerami Polski”, w tym z USA. „Na szczęście mamy to już za sobą” – twierdzi izraelski dziennik.

GŁUPIA, IGNORANCKA, AMORALNA ZDRADA

Nie wszyscy w Izraelu są jednak zadowoleni z porozumienia z Polską. W prasie pojawiły się liczne głosy krytykujące Netanjahu, a nawet zarzucające mu krótkowzroczność i zdradę.

Yehuda Bauer, izraelski historyk Holocaustu w Yad Vashem, pisze na łamach „Haaretz” o „głupiej, ignoranckiej i amoralnej zdradzie prawdy o współudziale Polski w Holokauście”. 92-letni historyk twierdzi, że podpisanie wspólnej deklaracji było „małym osiągnięciem i bardzo dużym błędem, graniczącym ze zdradą”. Jego zdaniem Izrael zaakceptował polską narrację i „usankcjonował ją”, mimo że była to „całkowicie kłamliwa opowieść”. Bauer

ostro skrytykował dalsze słowa zawarte w deklaracji: „Smutna prawda jest niestety taka, że w tamtym czasie niektórzy ludzie – niezależnie od pochodzenia, wyznania czy światopoglądu – ujawnili swe najciemniejsze oblicze”. W opinii historyka to „kompletne kłamstwo”. „Co to znaczy »niezależnie od pochodzenia«? Czy urodzili się oni na księżycu? To Polacy, a nie jeden czy dwóch” – pisze Bauer.

Nawiązując do uhonorowania przez Instytut Yad Vashem 6,7 tys. Polaków medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za ratowanie Żydów, Bauer powiedział, że liczba ta jest daleka od określenia „liczni”. „Nawet jeśli przyjmiesz, że ich faktyczna liczba to 200 tys. z 21 mln Polaków, to tylko 1 proc. A co z pozostałymi 99 proc.?” – pyta. Według izraelskiego historyka wspólna deklaracja premierów dewaluuje prawdziwych Sprawiedliwych wśród Narodów Świata i minimalizuje wartość ich bohaterstwa. Bauer dodaje, że Polacy „omotali nas, owinęli wokół palca i zgodziliśmy się na to, ponieważ dla Państwa Izrael więzy gospodarcze, bezpieczeństwa i polityczne są ważniejsze niż jakaś mała sprawa jak Holocaust”.

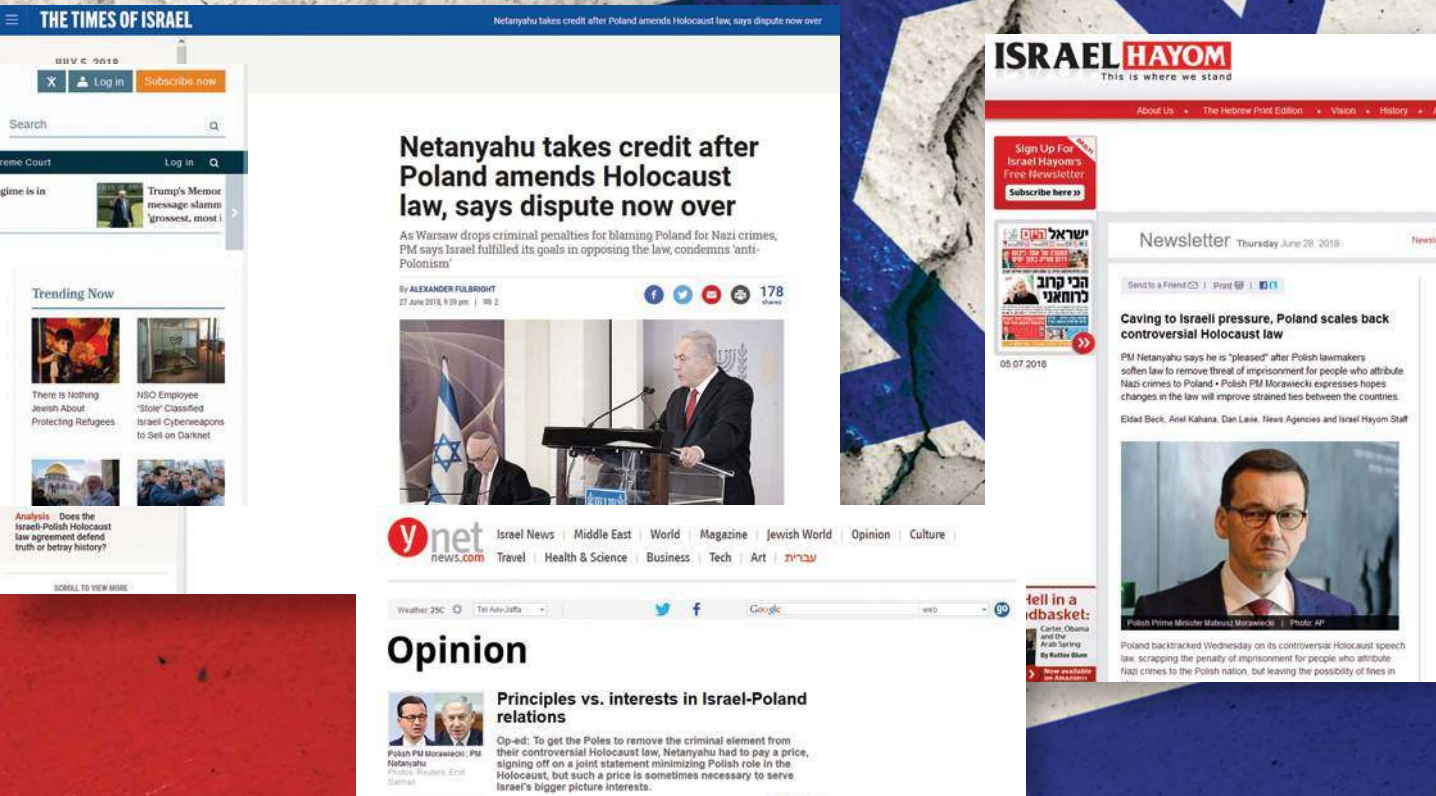
Podkreślił także, że podpisując deklarację, Izrael zdradził polskich historyków, którzy byli prześladowani przez polski rząd, gdyż „mówili prawdę”.

Odnosił się tu do naukowców takich jak Jan Tomasz Gross i Jan Grabowski, którzy badają rolę Polaków w mordowaniu Żydów podczas Holocaustu. Izraelski historyk zauważył, że Polska może w dalszym ciągu wykorzystywać przepisy cywilne do prześladowania polskich uczonych, którzy „mówią prawdę”. „Będą żądać od nich pieniędzy, będą ich zubażać [...]. I my (to) legitymizujemy. Oni powiedzą: »Czego chcecie, Izraelczycy zgodzili się na to, dlaczego więc robicie szum?“ – zaznaczył.

Zresztą Instytut Yad Vashem ostro skrytykował deklarację premierów Polski i Izraela. Jego zdaniem stwierdzenia zawarte w tym dokumencie są niezgodne z aktualną wiedzą historyczną.

ZASADY VS. INTERESY

Do podobnych wniosków dochodzi na łamach portalu Ynetnews.com także publicysta Nahum Barnea, choć broni on jednocześnie decyzji Netanjahu jako „wyraz niezbędnego pragmatyzmu”. „Aby skłonić Polaków do usunięcia kar z kontrowersyjnej ustawy o Holokauście, Netanjahu musiał podpisać deklarację minimalizującą polską rolę w Holokauście, bo taką cenę czasami trzeba zapłacić w imię szerszych interesów Izraela” – przekonuje Barnea. Według niego cenę tę warto było zapłacić, tym bardziej



że deklaracja nie ma „żadnego praktycznego znaczenia”. „Deklaracja jest skandaliczna, fałszuje historię. Ale mimo to należało ją podpisać. Premierzy to nie historycy, a w relacjach Izraela z innymi państwami istnieją zasady, ale także interesy” – przekonuje publicysta i porównuje ustawę o IPN do konkursu Eurowizji, który ma się odbyć w Tel Awiwie, i to w szabas. „Eurowizja powinna mieć oczywiście miejsce w Jerozolimie, a nie Tel Awiwie, i nie powinniśmy w tym celu zbezczeszczać szabasu. Tyle w sprawie zasad. Ale Eurowizja jest też dobra dla turystyki, dobra dla PR. Jeśli nie możemy konkursu urządzić w Jerozolimie, to trudno” – wyjaśnia. I dodaje: „Netanyahu to rozumie. Relacje z Polską może i są bardziej skomplikowane [niż Eurovizja – dop. red.], a polski rząd ma »antysemitkę« korzenie, ale Izrael ma interes w dobrych relacjach z Polską. Tak to już jest: zasady vs. interesy. Miejmy tylko nadzieję, że Netanjahu nie wierzy w deklarację, którą podpisał. Zresztą premierzy przychodzą i odchodzą, a historyczna prawda jest wieczna”.

Historyk dr Inna Rogatchi tymczasem zastanawia się na łamach portalu Arutz Sheva, kto zmusił polski rząd do zmiany ustawy: Amerykanie, izraelski rząd, a może żydowskie organizacje? Według niej wszystko wskazuje na to, że główną rolę odegrały tu USA, które

zmusiły rząd w Warszawie do „połknięcia gorzkiej pigułki”. Ufać Polakom, zdaniem dr Rogatchi, „i tak nie można”. „Przegrali i o tym wiedzą. Pozostaje pytanie, do jakich wniosków dojdą i jaką taktykę będą stosować w przyszłości, bo ich strategii się nie zmieni. Nie rozumiem tego pośpiechu i potrzeby udobruchania polskich liderów. Menachem Begin wołał zrezygnować ze stanowiska premiera, mając przed oczami perspektywę uścisku ręki z kanclerzem Niemiec. To świadczyło o jego uczciwości i sile charakteru” – twierdzi historyk oraz skarży się na kampanię zorganizowaną przez polski rząd w zagranicznych mediach, która „już niesie owoce”. „Szerzą swoją propagandę i to działa” – zaznacza dr Rogatchi.

PIES Z PODKULONYM OGONEM

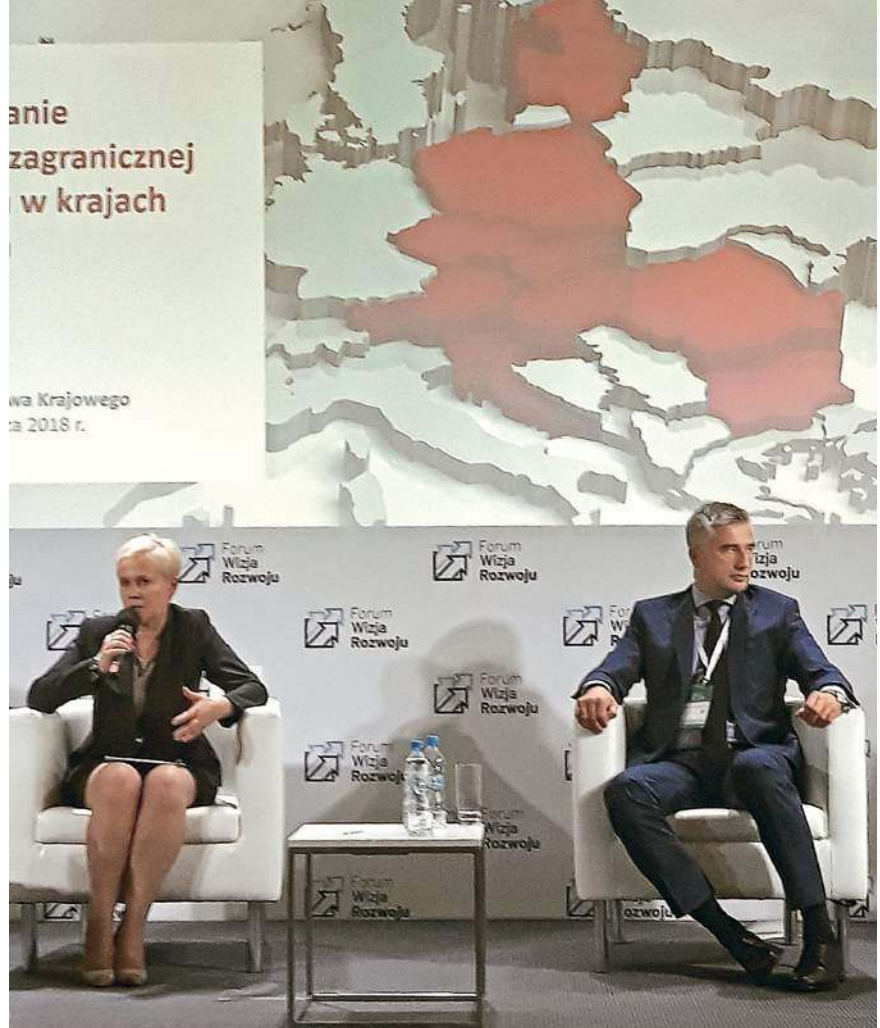
O kampanii PR-owskiej polskiego rządu pisze także „The Times of Israel”, który zaznacza, że polski rząd opublikował wspólną polsko-izraelską deklarację w niemieckich, francuskich, hiszpańskich oraz izraelskich mediach i tym samym „wyrolował” swoich krytyków z Izraela. „Rząd izraelski, wyrażając zgodę na wydanie tego oświadczenia, wręczył Polsce PR-owskie zwycięstwo w walce o przedstawianie Polaków przede wszystkim jako ofiar nazizmu,

a nie współsprawców popełnionych okrucieństw” – czytamy na łamach gazety.

„The Times of Israel” cytuje posła do Knesetu z Unii Syjonistów Itzika Shmuli, który nazwał deklarację „hańbą” i oskarżył izraelski rząd o udział w kampanii, która ma oczyścić Polaków z odpowiedzialności za Holocaust. „To zawstydzające” – dodał Shmuli. Gazeta przytacza także opinię doradcy Netanjahu Yaakova Nagla, który uczestniczył w negocjacjach umowy między Izraelem a Polską. Nagel zapewnia krytyków, że „to Polacy przegrali i musieli się wycofać z ustawy jak pies z podkulonym ogonem. To wielkie osiągnięcie dla Państwa Izrael”.

Na łamach tej samej gazety publicysta Raphael Ahren balansuje między rozczarowaniem a pragmatyzmem. „Netanjahu ma bardzo złożoną rolę do odegrania. Z jednej strony jest nosicielem narodu żydowskiego i pamięci o Shoah, a z drugiej musi prowadzić Realpolitik, by promować rzeczywiste interesy Izraela” – argumentuje Ahren. I dodaje, że główna historyk Yad Vashem Dina Porat potwierdziła, iż deklaracja jest „poprawna historycznie”. Cytując Yaakova Nagla, Ahren dochodzi w końcu do wniosku, że „nie można mieć wszystkiego”. „Negocjacje dyplomatyczne to dawanie i branie, a nigdy nie dostajesz wszystkiego, czego chcesz” – zaznacza.

Eksperci nie mają wątpliwości co do tego, że międzynarodowa inicjatywa skupiająca 12 krajów Europy Środkowo-Wschodniej, czyli tzw. Trójmorze, to ogromna szansa na integrację, a także rozbudowę gospodarczą Unii Europejskiej, rozwój inwestycji infrastrukturalnych, energetycznych i teleinformatycznych. Podczas organizowanego w Gdyni Forum Wizja Rozwoju, największego forum gospodarczego północnej Polski, tematami jednego z paneli, przygotowanego przez BGK, były udział Polski i szanse na rozwój całego regionu w ramach Trójmorza



Fot. Mat. prasowa / 1420618/F

Szansa na integrację w rejonie Trójmorza? BGK tworzy specjalny fundusz

W konferencji zorganizowanej przez Bank Gospodarstwa Krajowego, który wspiera wiele inicjatyw pojawiających się w ramach Trójmorza, udział wzięli m.in. prezes zarządu BGK Beata Daszyńska-Muzyczka, główny ekonomista BGK Mateusz Walewski i Adam Żołnowski, wiceprezes największego terminalu przeładunkowego na Bałtyku – DCT Gdańsk.

Jak przypomniiała prezes zarządu BGK, sam pomysł stworzenia grupy gospodarczej państw położonych w pobliżu Morza Bałtyckiego, Czarnego i Adriatyckiego został zapoczątkowany w 2015 r. Inicjatorami i sygnatariuszami porozumienia byli prezydenci Polski oraz Chorwacji – Andrzej Duda i Kolinda Grabar-Kitarović – którzy po-

stanowili powołać „grupę Trójmorza”. Jednak sama idea takiej współpracy handlowo-gospodarczej zrodziła się sto lat wcześniej. Już w 1918 r., niedługo po odzyskaniu niepodległości, Józef Piłsudski wyraził chęć utworzenia sojuszu Międzymorza, wyróżniając obszar współpracy zamknięty trzema morzami. Niestety plany Marszałka nie zostały wówczas zrealizowane z powodu złych relacji z Litwą i Czechosłowacją oraz popularnego wtedy dążenia państw do samodzielności.

ATRAKCYJNY RYNEK

Beata Daszyńska-Muzyczka wskazała, dlaczego rejon Międzymorza jest niezwykle atrakcyjny gospodarczo dla naszego państwa. „Gdy przyjrzymy się

liczbom, jest to bardzo strategiczny rejon, bo jest to jednak ponad 112 mln ludzi, to jest 10 proc. PKB Unii Europejskiej i jeden z najszybszych wzrostów gospodarczych” – komentowała prezes BGK.

W skład Trójmorza wchodzi również te państwa, które do Unii Europejskiej przystąpiły niedawno. „My na tym tle wyróżniamy się pod względem rozwoju gospodarczego i wysokości wzrostu PKB. Ta współpraca jest nam bardzo potrzebna ze względu na naturalną wizję rozwoju ekonomicznego. Jest to o tyle istotne, że mówimy o państwach, które w dużym stopniu dołączyły do »starej Europy« w późniejszym terminie. Mamy w wielu miejscach podobną historię i czekają na nas podobne wyzwania” – wyjaśniała Daszyńska-Muzyczka.

„To poważny region w skali euroazjatyckiej. Aby zobaczyć, o jak ogromnym potencjale mówimy, przypomnijmy, że skala wymiany handlowej między krajami Trójmorza oscyluje w granicach 210 mld euro. W sumie do siebie nawzajem eksportujemy 24 proc. obrotu handlowego. Nasz handel w ciągu ostatnich 10 lat rósł średnio o 5 proc. Porównywalnie do wzrostu obrotów krajów z całej reszty Europy” – powiedział Mateusz Walewski.

FUNDUSZ BGK

Taki rynek bez wsparcia inwestorów nie znajdzie jednak środków na rozwój. To właśnie dlatego ze wsparciem inicjatyw biznesowych przychodzi polski Bank Gospodarstwa Krajowego, który planuje w obrębie wszystkich 12 państw Trójmorza utworzyć specjalny międzynarodowy fundusz. Miałby on finansować przede wszystkim projekty związane z połączeniami kolejowymi, które skomunikowałyby porty w Polsce, Chorwacji, Słowenii i Rumunii. „Byłby to łańcuch dostaw Północ – Południe, tworzący możliwość zbudowania na nowo pożądanego ciągu logistycznych” – mówił główny ekonomista BGK. „Możliwe, że taki fundusz mógłby powstać podczas szczytu państw Trójmorza, który zaplanowany jest w Bukareszcie na 15 września br.” – dodał Mateusz Walewski.

Dokładne kwoty i możliwości takiego wsparcia nie są jeszcze znane. Pewne jest, że wszelkie inwestycje będą miały bardzo duży horyzont czasowy. Jak zauważyła prezes BGK: „Myślimy o inwestycjach, których łączna wartość wyniesie 100 mld euro”. Według niej inwestycje te miałyby być realizowane na przestrzeni nawet 30 lat.

Beata Daszyńska-Muzyczka zarysowała perspektywę trzech wymiarów inwestycji Trójmorza: „Wymiar polityczny już się rozpoczął. Minęły trzy lata od podpisania ważnych deklaracji na poziomie prezydenckim, a na poziomie rządowym jest duże zainteresowanie projektami strategicznymi dla wszystkich krajów rejonu. Priorytetowymi rynkami są oczywiście transport i branża teleinformatyczna. Na to nakłada się trzecia warstwa,

czyli mechanizmy rynkowe. Muszą one kształtować dojrzałe finansowanie projektów w taki sposób, aby uwzględnić wszelkie geopolityczne i biznesowe uwarunkowania”.

DOSTĘP DO MORZA

Kluczowym państwem w inicjatywie Trójmorza są Czechy, co związane jest z tym, że nasi południowi sąsiedzi stanowią dziś naturalną część niemieckiego łańcucha dostaw. To sprawia, że Polska i pozostałe państwa grupy są w dużym stopniu uzależnione także od naszego zachodniego sąsiada. Jak zauważył główny ekonomista BGK, jednym z warunków skutecznego funkcjonowania Trójmorza jest konieczność zintensyfikowania niezależnego handlu między państwami grupy. „Nie możemy stanowić jedynie rynku zbytu dla państw Europy Zachodniej, ale musimy oprzeć dużą część wymiany handlowej o te państwa, które są częścią naszej grupy i mają podobne wyzwania rozwojowe” – mówił Mateusz Walewski.

W dyskusji wziął udział również Adam Żołnowski, członek zarządu i wiceprezes do spraw finansowych w terminalu kontenerowym DCT Gdańsk. Wykazał, że trójmiejski terminal DCT, który już jest największym terminalem przeładunkowym na Bałtyku, może się stać kluczowym ośrodkiem w ramach inicjatywy Trójmorza. „To infrastruktura, która już dziś obsługuje największe kontenerowce na świecie. Gdybyśmy mieli odpowiedzieć sobie na pytania, jakie mamy moce przeładunkowe albo co my robimy w kontekście Trójmorza, wystarczy wspomnieć, że w ubiegłym roku ten terminal obsłużył 5 tys. pociągów, 300 tys. ciężarówek i ok. 500 statków. Stał się terminalem numer 93 na świecie i 16 w Europie” – wyjaśniał Żołnowski. „Terminal funkcjonuje, ponieważ jesteście doskonale położeńi. Polska jest zlokalizowana na skrzyżowaniu krajów o największym wzroście gospodarczym i DCT dokładnie wpisuje się w ten obszar o największej dynamice rozwoju” – mówił wiceprezes DCT.

Zatem infrastruktura związana z połączeniami i transportem morskim stoi na najwyższym poziomie. Sytuacja wygląda gorzej w przypadku

połączeń kolejowych. W zasięgu przeładowywanych w Gdańsku kontenerów jest głównie obszar Polski. „Owszem, mamy połączenie na przykład do Pańska, do Czech, jednak jest to dopiero połączenie raczkujące i nie można na nim budować swojej pozycji” – dodawał wiceprezes DCT.

TRANSPORT NA RZEKI

Ekspertci zgodnie podkreślili, że ogromne zaległości komunikacyjne i transportowe są największą bolączką inwestujących w całym regionie. Niezbędna jest dobra współpraca pomiędzy wszystkimi państwami Trójmorza.

Konieczność odciążenia transportu kolejowego wymusza większy nacisk na rozwój innych elementów transportu śródlądowego, także dróg wodnych. To, zdaniem uczestników panelu, pozwoli zwiększyć efektywność dostarczania towarów do państw grupy Trójmorza.

„Ogromnie ułatwiłaby transport udrożniona Wisła, która mogłaby usprawnić komunikację z całym krajem. Podobnie jest z Odrą, której odzyskanie dla żeglugi również jest planowane. Korzystanie z wodnego transportu śródlądowego pozwoliłoby być może w przyszłości na połączenie naszych kanałów transportowych z Dunajem. Myślimy także o połączeniu Świnoujścia z wyspą Krk w zakresie gazu skroplonego, który może też być dostarczany drogą wodną” – wyjaśniał Mateusz Walewski.

W czasach ekonomicznej niepewności nie ma lepszego miejsca na inwestycje niż region Europy Środkowo-Wschodniej. Inwestycje w infrastrukturę transportową i energetyczną wymagają stabilności oraz sprzyjającego otoczenia gospodarczego. Oba te warunki są spełnione w Europie Środkowo-Wschodniej.

Wymaga to jednak przemyślanego planowania. Z pewnością inicjatywa BGK do takich przemyślanej projektów należy. Jak podkreślali uczestnicy debaty na gdyńskim forum, to „inwestycje na lata”. Trzeba jednak pamiętać, że inwestycje związane z inicjatywą Trójmorza wrócą z nawiązką do skarbu państwa i obywateli.

Rafał Handzel

Kto po Nawałce?

Fot. EPP/Shutterstock.com

**CEZARY KOWALSKI**

Sluchając peanów na cześć Adama Nawałki, gorących podziękowań, po których niejednemu pewnie zakręciła się łezka w oku, można było odnieść wrażenie, że właśnie z reprezentacją żegna się ktoś, kto absolutnie na to nie zasługiwał.

Od razu pojawiało się więc pytanie: skoro był taki dobry, to dlaczego z niego zrezygnowano?

Oczywiście Adam Nawałka zasłużył na pochwały za całokształt swojej pracy. Dwa awanse na wielkie turnieje, ćwierćfinał mistrzostw Europy i pierwsze w historii zwycięstwo nad Niemcami. Tego mu nikt nie odbierze. Dla wielu kibiców i dziennikarzy to był najlepszy czas reprezentacji za ich życia. Wystarczy spojrzeć na pozytywny bilans meczów reprezentacji pod wodzą Nawałki, awans o kilkadziesiąt miejsc w rankingu FIFA czy niepoliczalny wzrost prestiżu kadry i polskiej piłki w reprezentacyjnym wydaniu pod jego wodzą, aby wystawić mu bardzo pozytywną ocenę. „Możliwie optymalną” – używając ulubionych określeń selekcjonera. Nie można jednak zgubić tego, co zdecydowało, że nie przedłużono jego umowy na następne lata. A chodzi o całkowi-

cie zawałony mundial. Kto wie, czy nie kluczowy turniej dla całego pokolenia najważniejszych zawodników grających w tej drużynie od lat.

POMYLIŁEM SIĘ

O przyczynach klęski napisano i powiedziano już sporo i pewnie jeszcze wiele się dowiemy w najbliższych dniach oraz tygodniach, bo coś tam zaczynają już mówić poszczególni uczestnicy rosyjskiej eskapady. Na razie w prywatnych rozmowach. Sam selekcjoner też wreszcie przyznał i powiedział chyba najbardziej wyraziste zdanie od początku swojej kadencji: „Pomyliłem się w kwestii składu”.

I prawdą jest to, co stwierdził Zbigniew Boniek – że Adam Nawałka dzięki tym prawie pięciu latom w re-

prezentacji jest mocniejszym trenerem niż wówczas, kiedy drużynę obejmował. Sam mocno na to zapracował, ale generalnie to kadra Nawałkę zbudowała. I będzie mógł na tej fali jeszcze długo oraz wygodnie płynąć. Nie tylko w Polsce, lecz również za przyzwoite pieniądze za granicą. Bo przecież CV poprawił sobie znakomicie. Niewykluczone jednak, że szybciej, niż nam się dziś wydaje, do tej reprezentacji powróci.

O trefnym mundialu szybko zapomnimy, o tym, co dobre, przeciwnie. To nawet logiczne, bo skoro przez lata utrwalił się w naszych głowach pozytywny obraz człowieka, to nie jest łatwo przekreślić go w ciągu pięciu dni, w których przegraliśmy mistrzostwa świata w Rosji, ulegając Senegalowi i Kolumbii.

Uśmiechnięty, elegancki i przystojny trener z klasą. Nikogo nie obraził, na nikogo się nie obraził. Podziękował za pracę, serdecznie wyściskał pracodawcę, pomachał do kibiców. Nawet dziennikarzom podziękował za „optymalną” współpracę, choć przecież wywiadów nie udzielał. Nikt nie będzie mu wypominał, że jego ostatnią decyzją w roli selekcjonera było polecenie... symulowania kontuzji Kamilowi Grosickiemu, aby wpuścić na ostatnią minutę Kubę Błaszczykowskiego, co też zresztą zakończyło się niepowodzeniem.

I dobrze. Tak to powinno wyglądać. Ani Jerzy Engel nie rozstawał się z kadrą w takich okolicznościach, ani Zbigniew Boniek, ani Paweł Janas, ani Leo Beenhakker, ani Franciszek Smuda, ani Waldemar Fornalik. Stopniowała te odejścia jedynie skala atmosfery skandalu...

Trudno się zgodzić jedynie ze słowami prezesa – że selekcjoner mógł być zaszczytowany przez dziennikarzy. Z naszego punktu widzenia był raczej przez większą część kadencji noszony na rękach i miał komfort medialny, jakiego nie mieli jego poprzednicy.

Zresztą nie tylko na wygodę relacji z dziennikarzami (polegającą generalnie na ich braku) mógł liczyć selekcjoner. Tak dobrych warunków do pracy nie miał żaden z wcześniejszych trenerów kadry. Być może możliwość zbudowania takiej twierdzy, z ogromną liczbą absolutnie oddanych współpracowników, pełniących funkcje żołnierzy trenera, tak naprawdę przyniosła zgubę selekcjonerowi przed mundialem?

Może warto było mieć obok siebie kogoś, kto byłby na kontrze, kto nie bałby się spojrzeć krytycznie na decyzje szefa? Gdyby tak było, nie mielibyśmy w tym momencie żadnego problemu z wyborem następcy selekcjonera.

Prezes PZPN wiedząc, jak mało czasu jest do następnego meczu (7 września gramy z Włochami pierwszy mecz w nowo utworzonym Pucharze Narodów), brał pod uwagę przedłużenie kontraktu Nawalki. Można się tylko domyslać, że „Zibi” proponował jednak wymianę sztabu czy też jego radykalne zmniejszenie. A tego z kolei nie chciał trener. W każdym razie do braku zgodności w tej decydującej sprawie doszło dosłownie tuż przed konferencją, na

której ogłoszono zakończenie współpracy. A mówiąc formalnie: nieprzedłużenia umowy. Bo przecież nikt tu nikogo nie zwalniał. Nawalka wypełnił po prostu kontrakt obowiązujący do końca mundialu.

KANDYDAT ZE ŚREDNIEJ PÓŁKI

Dlatego Zbigniew Boniek musi teraz mocno wziąć się do roboty (prawdopodobnie ogłosi nazwisko nowego trenera 14 lipca). Jak znaleźć dobrego kandydata, który nie będzie do tego chciał 3 mln euro kontraktu rocznie? Nawalka zarabiał ponad 200 tys. euro rocznie i był w gronie 32 selekcjonerów podczas mundialu w Rosji na przedostatnim miejscu. Niższy kontrakt miał tylko Aliou Cissé z Senegalu. Wbrew pozorom, mimo że związek szczeni się potężnym wzrostem przychodów za kadencji Zbigniewa Bońka, polskiej federacji nie stać na trenera z wysokiej półki, nie mówiąc już o najwyższej. A nawet jeśli kasę udałoby się wysuplać, to nie ma pewności, czy prezes w ogóle chce kogoś takiego. Czyli wielkiej gwiazdy, z wielkim nazwiskiem, która wybiję się w Polsce na absolutną niezależność, nad którą nie będzie kontroli i jeszcze nie zagwarantuje czegoś więcej niż trener znacznie skromniejszy.

A zatem jeśli chodzi o obcokrajowców, możemy liczyć na bezrobotnych trenerów ze średniej półki. Głośno mówi się o Cesare Prandellim, Gianim De Biasim, Slavenie Biliciu. Żaden z nich nie zgodzi się pracować w Polsce „za drobne”. Spekulacje co do trenera zagranicznego ruszyły, bo zaczęła obowiązywać już okrągła formułka, czyli „nie ma w Polsce odpowiedniego kandydata”. Fakt, że nie ma nikogo, kto w CV ma sukcesy poza Polską (może poza Henrykiem Kasperczakiem i Piotrem Nowakiem), ale przecież Adam Nawalka, zanim objął kadrę, też żadnych takich sukcesów nie miał. A jego Górnik Zabrze był niżej w tabeli niż ten obecny prowadzony przez Marcina Broszę.

To nieistotne. Zdaniem większości mediów trener ma być zagraniczny, bo rodzimymi już się znudziliśmy (Franciszek Smuda, Waldemar Fornalik, Adam Nawalka) i wydaje nam się, że człowiek

z innego, lepszego piłkarskiego świata da reprezentacji niezbędny impuls. Czasy, gdy Leo Beenhakker żegnał się z kadrą, przegrywając eliminacje, w których wyprzedziliśmy jedynie San Marino, wydają się zamierzchnią przeszłością.

Prezes Boniek, który decyzyjnie o wyborze podejmie jednoosobowo (akceptacja zarządu PZPN to formalność), sam zasugerował, że może warto byłoby postawić na kogoś, kto jest z dala od polskiego piłkarskiego piekielka i będzie w stanie podejść do tematu na chłodno. Z drugiej strony powiedział też, że trenerem powinien zostać ktoś, kto nie będzie miał żadnego problemu, aby z zawodnikami się dogadywać. Umiejący czytać między wierszami od razu zaczęli snuć przypuszczenia, że może to być trener z naszego kręgu kulturowego, ale też dobrze zakorzeniony w bliskich prezesowi Włoszech. Może były szkoleniowiec reprezentacji Słowenii Srećko Katanec? A może ktoś ambitny na drobku, powiedzmy w włoskiej Serie B, który w Polsce będzie chciał dopiero zbudować sobie markę i w związku z tym włoży w pracę więcej serca niż jakiś „spasiony kot”, który potraktuje nas jak bankomat? Nazwisk na giełdzie pada coraz więcej, tak jak coraz więcej na biurku Bońka ląduje ofert wysyłanych przez trenerów i ich menedżerów.

Czy naprawdę jest pewność, że taki Marcin Brosz, Michał Probiez, Maciej Skorża, Jerzy Brzęczek czy ktokolwiek inny, mając do dyspozycji najlepszych polskich zawodników, sztab 25 ludzi i właściwie wszystko, czego zapagnie, jak miał Adam Nawalka, pokpi sprawę i spisie się gorzej od dumnych oraz drogich Cesare, Gianniego czy Slavena?

Nawet krytycy Zbigniewa Bońka przyznają mu, że znakomicie wybrał, stawiając na Nawalkę. Wykreował wcale nieoczywistego wówczas kandydata na trenera, z którego dziś większość Polaków jest dumnych mimo porażki na mundialu.

Wydaje się, że wybór trenera reprezentacji nie powinien być jedynie potrzebą chwili, warto byłoby osadzić tę kandydaturę w dłuższej perspektywie. Dać mu szansę nie tylko na zbudowanie kadry naszych marzeń, lecz również na wykreowanie swojego nazwiska. 



Włoskie drogi

bardziej duchowości i refleksji niż sensualności.

Pierwszy raz trafiłem do Włoch jako 17-latek. To były lata 90. ubiegłego wieku. Wybraliśmy się w tę drogę z kolegą, autostopem. Już w czasie tej pierwszej wyprawy przede wszystkim ujęli mnie ludzie. Radością życia, otwartością. Byliśmy zapraszani do domów. Trafililiśmy m.in. do burmistrza Verony. Jego córki specjalnie dla nas dały koncert na wiolonczelę. W podziękowaniu za przyjęcie ofiarowałem gospodarzowi przedwojenne nuty, kupione tuż przed wyjazdem, na dworcu w Krakowie. Ktoś mi je dosłownie wcisnął. W drodze powrotnej z Włoch, na granicy ze Szwajcarią, trafiliśmy na wyjątkowo drobiazgową kontrolę. Gdyby znaleziono u mnie te stare druki, miałbym duże kłopoty.

W dzieciństwie nie trzeba mnie było namawiać do jedzenia. Zwłaszcza słodkiego grysiku. W rodzinie krąży nawet anegdota z tego okresu. Babcia – widząc, jak duża porcja znika w buzi pulchnego cztero-, może pięciolatka – zwróciła się do mamy: „Krysiu, nie ładuj mu tyle”, na co z pełnymi ustami

miałem rezolutnie odpowiedzieć: „Ładuj, ładuj”.

W szkole podstawowej, kiedy zainteresowałem się sportem – trenowałem m.in. piłkę nożną – słodycze przestały mnie pociągać. I tak już zostało. Dziś żartuję czasem, odnosząc się z dystansem do swojego nazwiska, że nie wiem, ile bym zjadł słodkiego, to i tak będę Kwaśny. Ale, zdaje się, ten smak jest dla organizmu bardzo korzystny.

Warszawska Akademia Teatralna, do której trafiłem z rodzinnego Tarnowa, okazała się na tyle absorbująca, że niewiele myślałem o jedzeniu. Żywiłem się w barach mlecznych i bardzo dobrej stołówce na akademii. Nie miałem potrzeby odkrywania w sobie kulinarnych talentów, ale także w tej dziedzinie wciąż się uczę. Spaghetti aglio olio albo z krewetkami potrafię zrobić. Nie czuję jednak przymusu, by poświęcać gotowaniu dużo czasu.

W teatralnych trasach – od września ruszymy do 50 miast Polski ze sztuką „Cudowna terapia”, która miała premierę tuż przed wakacjami – też najbardziej „smakuje” mi kontakt z widzami.

Notowała Jolanta Gajda-Zadźworna

Dziś najbardziej „smakują” mi Włochy. To kraj, do którego najchętniej podróżuję. Niekoniecznie dla tamtejszego jedzenia, choć bardzo mi ono odpowiada. Lecę do jakiegoś miasta, wypożyczam samochód i ruszam w drogę.

Ostatnio odwiedziłem w ten sposób San Giovanni Rotondo [miejsce życia św. Pio z Pietrelciny – przyp. red.], które leży na półwyspie Gargano (zwanym „ostrogą wielkiego buta”). Byłem też w Loreto (jednym z najpiękniejszych i największych sanktuariów maryjnych). Czy pani wie, że 6 lipca 1944 r., gdy na bazylikę spadły niemieckie bomby, to żołnierze z II Korpusu Polskiego gen. Andersa z narażeniem życia ugasiłi pożar kopuły, pod którą znajduje się bezcenna relikwia – Święty Domek?

Odwiedzam więc miejsca związane z kultem religijnym, ale też naszą historią. Szukam w podróży

Spaghetti

*przepis ze strony
Moje gotowanie*

Składniki: 250 g makaronu spaghetti (długiego lub krótkiego), papryka czerwona średnia, 2 papryczki chili, 5 ząbków czosnku, pół rosołku wołowego, 4 łyżki oliwy z oliwek, natka pietruszki, 50 g sera parmezan (do posypania).

Wykonanie: Gotujemy spaghetti i zabieramy się do reszty: podgrzewamy oliwę, dodajemy paprykę posiekaną w kostkę, papryczki chili i pół kostki rosołku wołowego. Dodajemy drobno pokrojony czosnek. Czekamy, aż czosnek zrobi się szklisty (ale nie



brązowy!). Odcedzamy makaron (al dente) i razem z posiekaną natką pietruszki wrzucamy go na oliwę. Wszystko mieszamy. Na końcu posypujemy parmezanem.

Smażone mirabelki

ANNA MONICKA

Wakacje zawsze były czasem poszukiwań. Nie tylko nowych miejsc czy szlaków, ale też smaków. Tak było zawsze. Nieraz wracaliśmy maluchem wypchanym wekami – a to węgorkami w zalewie octowej, a to jagodami w cukrze, a to suszonymi dzikimi jabłuszkami. Zdarzało nam się z mamą kupować jakieś paskudne, najtańsze, sklepowe przetwory i wyrzucać je cichcem, żeby mieć słoiki na wiejskie wiśnie, ogóreczki czy agrest – urlopowe trofea.

W tym roku nawiązałam do rodzinnej tradycji. Przypadkowo, ale zawsze. W poszukiwaniu czystego jeziora dotarliśmy z przyjaciółką i dziećmi do cudownego, kryształicznego leśnego oczka. Wieść gminna niesie, że przed wojną zimą wycinano z niego lód dla okolicznych majątków ziemskich. Gdy minęły zachwyty i pierwsze szaleństwo – bo pływałyśmy wśród ryb, które z ciekawości dotykały nas pyszczkami (a wszystko to było widać, bo woda wciąż jest przejrzysta) – ruszyłam na spacer. I po kilku krokach natknęłam się na olbrzymie stare mirabelki, ostatnie drzewka owocowe, które zostały po pałacu dawno zapomnianej hrabiny. Nieco zdziczałe, rozłożyste i obsypane żółtymi śliweczkami. Słodkimi i niesamowicie pachnącymi. Jak przetrwały tyle lat, skoro z domostwa nie został kamień na kamieniu? To, że o jezioru wie tylko garstka miejscowych, działa najwyraźniej na korzyść drzewek.

Cóż było robić, rodzinna tradycja zobowiązuje.

Nazrywałyśmy chyba z 5 kg owoców. Wystawiłyśmy na słońce, żeby te lekko jeszcze zielone dojrzały. I zabrałyśmy się do smażenia. Mirabelki to wyjątkowo wdzięczne owoce – pod wpływem wysokiej temperatury ich skórki uwalniają mnóstwo słodko-kwaskowatych, kwiatowych aromatów. Smażenie trwa kilka godzin. Gdy owoce się rozpadną, przecieramy je przez gęste sito, żeby pozbyć się pestek. Dodajemy miód, trochę imbiru, a na koniec odrobinę rumu. Przekładamy do małych słoiczków, takich na raz, zapiekamy słoje w piekarniku i na gorąco zakręcamy. Opatulamy kocem i pozwalamy ostygnąć.

Takie mirabelki można wykorzystać na kilka sposobów. Smarować nimi kanapki, naleśniki albo przekładać ciasta. Jako przyprawę do mięsa, pasztetów albo ryb (smak można wzmocnić, dodając łyżkę chrzanu). Można też po prostu zasiąść z nimi przed telewizorem i zajeść złocistym dżemem jesienną chandrę.

Kielbasa metka i porządek świata

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czy ślimak jest rybą? Czy wodorost to warzywo? Z takimi dylematami mierzą się urzędnicy unijni, narażając się na żarty osób niezdających sobie sprawy z tego, że pytania te są donioślejsze, niż może się zdawać.

Pierwsza refleksja człowieka nad światem dotyczyła właśnie uporządkowania mnogości bytów. To dzięki Teofrastowi z Eresos, uczniowi Arystotelesa, ludzkość otrzymała podział na rośliny i zwierzęta. Do IV w. p.n.e. nie było jasności co do tego, że cebula to inny rodzaj bytu niż jaszczurka. Przez tysiąclecia systematyka przyrodnicza niuansowała się, przyrastając do królestw.

Myli się jednak ten, kto sądzi, że dziś wszystko już zostało definitywnie przyporządkowane. Systematyce wymykają się np. sinice, które balansują gdzieś pomiędzy bakteriami a roślinami (a może pierwotniakami?). Wiele grup jest stworzonych sztucznie, wyłącznie dla ułatwienia ogarnięcia różnorodności świata. Takie patchworkowe rodzinki to np. ryby lub dinozaury. Aby zapanował wśród nich porządek, wielu członków należałoby z nich wyprosić i potworzyć dla nich osobne kategorie. Ta sama potrzeba porządkowania „mimo wszystko”, która kazała Teofrastowi zaliczyć brunatnice (głony) do kategorii podwodnych drzew, a współczesnej systematyce maleńkie, podobne do chomika góralki łączyć w jeden kład ze słoniami, zaowocowała w unijnych dokumentach następującymi ustaleniami: „Ryby i produkty rybołówstwa: kategoria ta obejmuje ryby i produkty rybołówstwa, w tym mięczaki, skorupiaki i szkarłupnie” lub „Owoce i warzywa: owoce, warzywa, grzyby i owocniki grzybów, korzenie i bulwy, rośliny strączkowe i motylkowe, wodorosty, orzechy i nasiona”. A tytułowa kielbasa surowa typu metka? W wytycznych opisujących kategorie żywności umiejscowiona jest tuż obok soczystego hiszpańskiego lomo adobado de cerdo, dopełniając tym samym uniwersum mięs i unijną systematykę produktów spożywczych w ogóle. Porządkowanie na różne sposoby świata, w zależności od tego, co chce się osiągnąć, jest naturalne dla istot myślących, dlatego zaliczenie ślimaków do ryb w unijnych wytycznych, biorąc pod uwagę cel, w jakim to zrobiono, w tej sytuacji jest słuszniejsze niż ustalenia systematyki zoologicznej.

PIOTR SKWIECIŃSKI

Realne „check and balance”

Srodowiska twardej opozycji, a zwłaszcza jej medialno-intelektualnego zaplecza, zachodzą w głowę: jak to możliwe, że Polacy, w przeszłości zawsze tak chętni do walki o wolność, dotąd nie powstałi i nie biją się o nią z PiS? Bo przecież, zdaniem tych środowisk, to, że ów demoniczny PiS zagraża wolności, jest jasne jak słońce. Bo przecież nadużywa konstytucji, niszczy zasadę „check and balance”, czyli równowagi władz, brutalnie przejął i uczynił swoimi media publiczne, powążył się na kroki, które częściowo odbierają sądownictwu status rządzącej się samemu i przed nikim nieodpowiedzialnej korporacji – a Polacy nic.

Tłumacząc ten fenomen, niektórzy intelektualisci z obozu III RP wydają z siebie wolny strumień świadomości na temat przecenianego dotąd (podobno przez nich; przyjmuję na słowo, bo nie pamiętam jakichś tego szczególnych przejawów) narodu niewolników, który sprzedał się za 500 srebrników, tak jak w latach 80. nie rzucił się przeciw gremialnie pod czołgi Jaruzelskiego. A wszyscy demonstrować poznawczą bezradność. Spróbuję im pomóc i wytłumaczyć to niepojmowalne przez nich zjawisko.

Bo pytanie, mimo całej histerii i stronniczości tych, którzy je zadają, jest i ciekawe, i realne. Zdefiniowane poważnie brzmi tak: przecież Polacy nie dzielą się wyłącznie na politycznych kiboli III i IV RP. Zostawmy na boku tych pierwszych. Ale jest przecież wielu Polaków, którzy nie są twardym (albo w ogóle nie są) elektoratem PiS i przy tym to, co robi partia rządząca, wcale niekoniecznie im się bardzo podoba. Ale mimo to, i mimo że TVN z „Wyborczą” już milionkrotnie opisały drobniaczko ociekające krwią pazury oraz potworne, skonfrontowane z kuriozalnie małym mózdzkiem szczęki pisowskiego potwora – owi Polacy nie tylko nie śpieszą na barykady, lecz również ci z nich, którzy głosowali na ugrupowanie rządzące, nie deklarują zmiany frontu. A ci, którzy na nie nie głosowali, nie zapowiadają, że teraz oddadzą głos na szlachetnych rycerzy ze smokiem walczących.

Dlaczego?

Może dlatego, panie i panowie intelektualisci oraz publicyści, rozczarowani (podobno, bo znów: nie pamiętam, byście kiedyś demonstrowali wobec nich jakieś szczególnie pozytywne emocje) Polakami, że nawet jeśli daleko nie wszystko, co robi PiS, owym Polakom się podoba, to zarazem widzą oni



Potęgą wrogów PiS działa, paradoksalnie, na jego korzyść

coś, co w ich oczach unieważnia wasze jeremiady nad umierającą demokracją. By nie rzec – czyni je w ich oczach śmiesznymi.

Może m.in. dlatego, że choć dostrzegają „rozmontowanie przez PiS bezpieczników konstytucyjnych”, to zarazem widzą ogromną potęgę wrogów tegoż PiS. Potęgę – wciąż – taką, że i bez bezpieczników nie dopuści ona do dyktatury tej partii (nawet gdyby ona sama chciała taką dyktaturę ustanowić). Potęgę obecnie nie obejmującą wprost sfery polityki, ale posiadającą potencjał, który w każdej chwili może znów przełożyć się na politykę.

Potęgi tych środowisk doznawali ci Polacy przez dekady, po 2015 r. została ona w ich oczach naruszona w niewielkim jedynie stopniu. I codziennie, gdy otwierają telewizor, odpalają internet czy rozmawiają z kimś, kto ma coś do czynienia z najbliższą im władzą lokalną, potwierdza im się wizja trwania tej potęgi. Nie obawiają się więc efektów naruszenia zasady „check and balance”; intuicyjnie uważają raczej, że dopiero teraz ów balans staje się realny.

Czują po prostu potencjał wrogich PiS elit. I intuicyjnie wiedzą to, co

– z pozycji przeciwnych moim – napisał w „Tygodniku Powszechnym” Klaus Bachmann. Pisząc o rzeczywistości innej, bo zachodniej, i o problemach unijnych, stwierdził, że dotąd „elity mogły pracować nad rozszerzeniem i pogłębieniem integracji nawet przy niesprzyjających nastrojach”. Innymi słowy – były na tyle potężne, że mogły sobie pozwolić na prowadzenie polityki w kierunku, którego większość sobie nie życzyła. Tę rzeczywistość Bachmann nazywa, nostalgicznie, demokracją – jego zdaniem już jej nie ma, bo zabiły ją internet i media społecznościowe. Do źródłosłowa pojęcia „demokracja”, czyli do władzy ludu, autor „Tygodnika” się nie odnosi.

Wielu Polaków, nawet – powtórzmy – niemilujących partii Kaczyńskiego ani jego samego, czuje to wszystko instynktownie. I zadaje sobie pytanie: w imię czego mielibyśmy opowiadać się przeciw rządzącym? Zagrożonej demokracji? Ależ pisowcy, choćby i chcieli, nie zdołają, mając takich wrogów, owej demokracji zagrozić. A co więc: teraz – myślą tacy Polacy – czujemy się właśnie bardziej demokratycznie. Bo na skutek pisowskiej rewolucji zapanowała chwiejna równowaga sił i ktoś wreszcie o nas zabiega. Liczymy się, pewnie po raz pierwszy od wyborów 1989 r.

No i co? Dalej będziecie pisać o 500 srebrnikach? 

Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, i chwała nam za to

Przecież to będzie bardzo niepopularne, zarówno w Ameryce, jak i w Europie – tak skomentowała ustawy o obowiązek przejścia na emeryturę I Prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf. Ależ oczywiście, w gremiach redaktorskich gazety „New York Times” czy „Die Welt”, no i w jakichś innych poprawnych politycznie oraz lewackich organach jeszcze rządzących partii liberalnych. Przede wszystkim na bardzo międzynarodowym portalu Politico, namiętnie czytany przez gospodynie domowe zamiast „Życia na gorąco”.

Gospodynie tak się przejęły utratą popularności rządu prawicy, że postanowiły się zająć polityką, i może się to skończyć ich rezygnacją z 500+, zwłaszcza matek wielodzietnych. Nie zrezygnują natomiast bogate matki bogatych dzieci, bo nie są głupie. Tak jak sędzia Gersdorf, która skorzystała z pozwolenia na prowadzenie wykładów na Uniwersytecie Warszawskim, wszak pecunia non olet, a pierwszym prezesem będzie wbrew ustawie, bo nie tylko nie jest głupia, lecz jest z natury bezczelna. Tak jak bezczelne są elity III RP, co im się należy od urodzenia i z pochodzenia. Mają też wrodzone cwaniactwo, cechę charakterystyczną dla klasy uprzywilejowanej z awansu społecznego. Wśród nich liczni prawnicy, co to ukończyli słynną dwuletnią Szkołę Duracza, dającą im prawnicze dyplomy. I prawo do ferowania „słusznych” wyroków.

I oto przedstawiciele tej pozał się Boże elity zawładnęli, przynajmniej tak im się wydaje, duszą narodu, dyktując mu, czego ma się wstydzić, a z czego ma być dumny. Taki potomek prokuratora Polski Ludowej Jerzy Stuhr nie ukrywa, że gdy jest za granicą, to wstydzi się, że jest Polakiem. Oto, co mówi w jednym z wywiadów: „Przychodzi do mnie maitre d’hotel, znał mnie z filmu, i pyta: »Maestro, czy wy naprawdę jesteście za torturami i karą śmierci?«” To tak wstrząsnęło Stuhrem, że „powolutku mówię już żonie na ulicy: tylko nie za głośno po polsku”. Proszę, jaki to maestro z tego „wodzireja”, zna go nawet zagraniczny hotelarz. Szkoda, że nie zna go ani jego potomek Maciej, jakiś słynny zagraniczny reżyser, np. z Hollywood. Niestety ta przaśna wielkopańskość działa w jedną stronę, w stronę pogardy, na jaką tacy artyści mogą liczyć we własnym kraju. Nic dziwnego, że starszy Stuhr nie może się doczekać jakiegś wybitnej roli w wybitnym filmie, nawet takim jak „Pokłosie”, w którym zasłynął jego syn.



Tak z grubsza wyglądają nasze elity i to ich, a nie Polski, powinniśmy się wstydzić. Do celebrytów dołączają politycy i ich rodziny. Małżonka byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego powinna się wstydzić, a obywateli razem z nią, jej skrzętnie ukrywanego, esbeckiego pochodzenia. A ona wstydzi się nas, Polaków. I występuje w charakterze moralnego oraz politycznego autorytetu. W jakimś wywiadzie powiedziała:

„Jest mi bardzo przykro, że pozycja Polski na świecie spada, i to drastycznie.

Znajomi powiedzieli, że jeżdżą rokrocznie na narty i przedtem z dumą rozmawiali po polsku, a teraz się tego wstydzą. To na mnie zrobiło wrażenie”. Na mnie nie, bo Anna

Komorowska jest żoną pewnego „hrabiego”, byłego na szczęście prezydenta, który z pozycji swojego wielkopańskiego pochodzenia poradził młodemu obywatelowi, żeby na kłopoty bytowe wziął kredyt i zmienił pracę. Zapewne z tej samej „hrabiowskiej” pozycji kazał stać kanclerz Niemiec Angeli Merkel w swoim prezydenckim pałacu, a sam się rozsiadł w fotelu.

Oboje Komorowscy pasują do polskich, a zwłaszcza europejskich, elit, jak pięść do nosa. Ich elitarność jest rodem z Budy Ruskiej i niech już taka zostanie.

Jeżeli my, Polacy, mamy się czegoś wstydzić, to właśnie takich Komorowskich, Stuhrow i reszty samozwańczego establishmentu, który wypłynął na powierzchnię dzięki zbrodniczej eksterminacji elit narodowych przeprowadzonej z rozmysłem, w zamiarze odebrania narodowi polskiemu godności i poniżenia go w oczach świata. To dzięki niemieckim obozom koncentracyjnym, Katyniowi i sowieckim łagrom do władzy doszły ciemnota, prostactwo i pazerność, krótko mówiąc, społeczne niziny, łatwe do zmanipulowania i kupienia. Nie-rzadko za marne grosze i nędzne kariery.

Na szczęście nie dało się skutecznie i ostatecznie upokorzyć narodu, bo jest to naród dramatycznie doświadczony i odporny na propagandę, a zwłaszcza propagandę najeźdźców, również tych ideologicznych, brukselskich. I niestraszny nam belkot niedobitków III RP, bo ich świat nie ma dla nas żadnych tajemnic. A przede wszystkim dla ludzi młodych, gdyż dzięki nowoczesnym środkom komunikacji poznają świat, jego wady i zalety, poznają prawdę. A prawda jest taka, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, i chwała nam za to. 

Kochając Pabla, nienawidząc Escobara



Filmoznawcom pozostawiam pytanie, dlaczego ten film się nie udał. Czasem tak bywa, że suma dobrych składników nie łączy się w rzecz godną uwagi. Jest więc Javier Bardem grający Escobara efektownie i przekonująco (na dodatek do „króla kokainy” ludzako podobny). W roli kochanki El Patrón, pięknej dziennikarki Virginii Vallejo, mamy Penélope Cruz, przez wielu uważaną przecież za wcielenie zmysłowej kobiecości. Mamy romans, politykę, tajne służby, korupcję, gorszącą bezkarność kartelu, wojnę, okrucieństwo, seks, narkotyki, wielkie pieniądze – mamy wreszcie sprawny reżyserię, spory budżet, a nawet pewną dozę poczucia humoru. Wszystko niby jest, a jednak z kina wychodzi się z uczuciem znużenia. Może to i dobrze, bo kiedy składniki mieszają się w uwodzicielską całość, nie widać, jak to wszystko jest jednak okropnie toksyczne. Wąsato-brzuchaty szef kartelu z Medellín, który w filmie obdarzony zostaje wdziękiem Bardema, to przecież jeden z najbardziej brutalnych bossów kokainowej mafii – morderca, sadysta, bestia.

Można oczywiście powiedzieć, że mitologizowanie zła to dla kina chleb powszedni. Bandyta jako postać pozytywna, a co najmniej niejednoznaczna i intrygująca, nie jest przecież żadnym novum ani w filmie, ani w sztuce w ogóle. „Ojciec chrestny”, stanowiący w tej kategorii bezsporne arcydzieło, otwiera długą listę filmowych portretów charyzmatycznych mafiosów. Może zresztą właśnie dzięki temu, że „Kochając Pabla...” jest filmem nieudanym, tak dobrze widać szwy rozmaitych zabiegów służących – jak mówią PR-owcy – „ocieplaniu” wizerunku Escobara. Jak w solidnej kampanii wizerunkowej mamy tu coś dla każdego rodzaju odbiorców.

Jest więc Escobar kochający ojciec, który synkowi tłumaczy, jak niebezpieczne są narkotyki, i do łez wzrusza się kłopotami córki. Jest czuły mąż. I choć wierność, delikatnie mówiąc, nie jest jego mocną stroną, to węzeł małżeński uważa za święty, a szacunek dla żony za sprawę najwyższej wagi. To dla konserwatystów. Dla wrażliwych społecznie mamy Escobara pomagającego ubogim. Owszem, są również wymyślne tortury i egzekucje, orgie i kilkunastoletnie kochanki, jest nawet na wszelki wypadek posłodzona nieco humorem sadystyczna scena z piłą mechaniczną – no ale przecież o kontrast tu właśnie chodzi. Zresztą od czego mamy filmową konwencję, która zbrodnię potrafi wziąć w cudzysłów. Kiedy tłusty Bardem ucieka nago przez dżunglę z kałasznikowem na ramieniu, bawimy się jak na „Pulp Fiction”. Problem w tym, że Escobar nie jest postacią fikcyjną.

Nawiasem mówiąc, mamy tu mocny dowód skuteczności PR Escobara. Król kokainy świadomie kreował się na Robin Hooda, który wprowadzie łamie prawo, ale pomaga nędzarzom. Ile było w tym solidarności, ile dbałości o wizerunek i bezpieczeństwo, trudno orzec. W każdym razie opłaciło się. Medellín, gdzie El Patrón zbudował stadion, zoo i domy dla bezdomnych, odpłacało mu się lojalnością, a mit dobroczyńcy wciąż wzrusza wrażliwych artystów Hollywood.

Może się łudzić, ale zdaje mi się, że niepowodzenie filmu ma jednak swoje źródła poza obszarem sztuki filmowej. Pewnych granic bezkarnie przekroczyć nie można. Film mówi przecież o bestii, która ma na swoim sumieniu tysiące istnień. Szacuje się, że w latach 80. kartel przemycił do USA 15 ton kokainy dziennie. A przecież ofiary

kokainowego biznesu to nie wszystko, co obciąża Escobara. Zabójstwa, zamachy, wojny z konkurencją, terror wymierzony w polityków, dziennikarzy i zwykłych ludzi, a wreszcie osławiony sadyzm bezlitosnego Pabla – to fakty, a nie jakiś postmodernistyczny żart w stylu Quentina Tarantino. Jeśli o tym pamiętać, to od tych wszystkich czarujących minek Bardema i Cruz robi się po prostu niedobrze.

Do Kolumbii czasów Escobara stosuje się to, co mówiono o Rosji Jelcyna – to nie było państwo, które miało mafie, to była mafia, która miała państwo. Escobar słynący z maksymy „plata o plomo” („srebro albo ołów”, czyli łapówka albo śmierć) skorumpował i sterroryzował kraj. Ten przyjaciel ubogich uchodził za jednego z najbogatszych ludzi na świecie (magazyn „Forbes” zaliczał go do grona siedmiu najzamożniejszych). W czasach świetności kartel z Medellín kontrolował 80 proc. handlu kokainą na świecie i zarabiał ok. 30 mld dol. rocznie.

Szkoda straconej okazji. Escobar to niewątpliwie temat na film. Choćby film o dopuszczalnych metodach walki ze złem. W powszechnej opinii Escobara zabito dzięki współpracy policji z kokainową konkurencją. I chodzi nie tylko o wymianę informacji, lecz o pomoc w wymordowaniu kilkuset współpracowników szefa kartelu z Medellín. Zwolennicy skuteczności powiedzą, że inaczej się nie da, przeciwnicy – że to droga donikąd. O podobnych dylematkach kino potrafi mówić ważne i poruszające rzeczy. Szkoda, że w ich miejsce mamy głupkowatą historię o czarującej bestii i zakochanej idiotce, która załatwia wszystko frazesem o kochanym Pablu i nienawidzonym Escobarze. **///**

Dariusz Karłowicz



Firmy ze wschodniej Polski mogą zaistnieć na rynkach międzynarodowych

Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości rozpoczyna 30 lipca II rundę przyjmowania wniosków w konkursie Internacjonalizacja MŚP w ramach Programu Operacyjnego Polska Wschodnia.

Beneficjenci mogą liczyć na wsparcie przy wprowadzeniu swoich produktów lub usług na rynki międzynarodowe. Wielkość środków przeznaczonych na ten cel wynosi 100 mln zł

Mikro, mały lub średni przedsiębiorca ze wschodnich województw może liczyć nawet na 800 tys. zł dotacji, jeśli jego zamiarem jest ekspansja na rynki światowe. Fundusze te pochodzą z Programu Operacyjnego Polska Wschodnia. Można się po nie zgłosić do PARP. O wsparcie mogą się ubiegać wspomniane firmy, które prowadzą swoją działalność w województwach: warmińsko-mazurskim, podlaskim, świętokrzyskim, lubelskim lub podkarpackim, potwierdzoną wpisem we właściwym rejestrze. Wpis ten musi być dokonany nie później niż 12 miesięcy przed dniem złożenia wniosku o dofinansowanie.

Beneficjenci mają szansę otrzymać pieniądze na usługi doradcze związane z przygotowaniem nowego modelu biznesowego dotyczącego internacjonalizacji (koszt przygotowania takiego modelu, o ile został poniesiony na rzecz zewnętrznych doradców, wybranych zgodnie z zasadą konkurencyjności nie wcześniej niż sześć miesięcy przed złożeniem wniosku, może zostać dofi-

nansowany w ramach projektu). Przy czym maksymalna kwota, którą można otrzymać na pokrycie wspomnianych kosztów przygotowania modelu, wynosi 30 tys. zł. Ponadto pomoc przeznaczona jest na udział w międzynarodowych targach (koszty udziału w targach, wystawach czy misjach gospodarczych nie mogą przekroczyć 49 proc. kosztów kwalifikowalnych projektu), na reklamę, szkolenia, dostęp do płatnych baz danych, badań, testów, zakup wartości niematerialnych i prawnych związanych z nabyciem oprogramowania niezbędnego do automatyzacji prowadzonego biznesu w związku z przygotowaniem do internacjonalizacji działalności oraz doradztwo z tym związane. Na pokrycie kosztów zakupu oprogramowania niezbędnego do wspomnianej automatyzacji procesów biznesowych można uzyskać maksymalnie 100 tys. zł.

Te firmy, które zaprezentują strategię ekspansji na nowe rynki z Europejskiego Obszaru Gospodarczego lub Szwajcarii, mogą liczyć na dofinansowanie w kwocie 550 tys. zł, a jeśli zechcą wprowadzić

produkt na rynek spoza tego obszaru – nawet na 800 tys. zł. Maksymalny udział dofinansowania został w bieżącym konkursie zwiększony z 80 do 85 proc. kosztów kwalifikowalnych.

Firma, która zamierza się ubiegać o wspomniane środki, musi zamknąć przynajmniej jeden rok obrotowy, trwający przynajmniej 12 miesięcy, osiągnąć przychody ze sprzedaży nie mniejsze niż 200 tys. zł przynajmniej w jednym zamkniętym roku obrotowym w okresie trzech lat poprzedzających rok, w którym złożyła wniosek o udzielenie wsparcia, przy czym nie mniej niż 100 tys. zł przychodów w jednym, zamkniętym roku obrotowym, w okresie trzech lat poprzedzających rok, w którym występuje z wnioskiem o wsparcie – ze sprzedaży produktów zgłoszonych w projekcie.

Każdy przedsiębiorca zainteresowany udziałem w konkursie może przesłać swoje pytania za pośrednictwem formularza kontaktowego dostępnego na stronie działania, dostępnej na stronach PARP.



Fundusze Europejskie
Polska Wschodnia



Rzeczpospolita Polska



PARP
Grupa PFR

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Casus Gersdorf

Trzeba przypomnieć, że „Konstytucja jest najwyższym prawem RP” (art. 8 Konstytucji RP), ale „Władza zwierzchnia należy do Narodu” (art. 4 Konstytucji RP)



Nadzwyczajna kasta” nie odpuszcza, a jej ostatnim bastionem stał się Sąd Najwyższy, w którym nadal pracują sędziowie ze stanu wojennego, o czym wspominał w Brukseli premier Mateusz Morawiecki. Wejście w życie ustawy z 3 kwietnia br. o Sądzie Najwyższym, która przeniosła w stan spoczynku także I prezes Sądu Najwyższego Małgorzatę Gersdorf, zostało przez nią zakwestionowane już w pierwszym dniu (4 lipca br.) obowiązywania nowej ustawy. Dlatego nie złożyła wcześniej wniosku o zamiarze kontynuowania pracy sędziego po przekroczeniu 65 lat. Ale wystąpiła do prezydenta o zgodę na kontynuowanie pracy w charakterze pracownika naukowego Uniwersytetu Warszawskiego. I taką zgodę otrzymała. To dobry przykład, jak sędzia III RP traktuje wybiórczo prawo. Ten sam zapis ustawowy raz akceptuje, gdy mu odpowiada, innym razem odrzuca, gdy jest dla niego niewygodny.

Tak więc Małgorzata Gersdorf nadal uważa się za I prezes SN, co wcześniej potwierdziła uchwała sędziów SN oraz wyznaczony przez nią na czas jej nieobecności sędzia Józef Iwulski. To sędzia, którego prezydent zaakceptował w roli zastępcy I prezes SN jako najbardziej doświadczonego, ale czy wiedział o tym, że sędzia Iwulski skazywał ludzi w stanie wojennym? Rzeczywiście trudno odmówić mu doświadczenia, gdyż wspólnie z panią I prezes doskonale rozegrali tę grę z prezydentem. „Prezydent wyraźnie oświadczył, że pani prezes przeszła na emeryturę, my uważamy inaczej” – zakomunikowa-

wał sędzia Józef Iwulski. On również nie złożył do prezydenta wymaganego przez ustawę właściwego oświadczenia o zamiarze kontynuowania pracy w roli sędziego, ograniczając się do „oświadczenia woli”, że chce pozostać w sądzie do 70. roku życia. Tym samym sprytnie odniósł się do starych zapisów ustawy, omijając nowe, ale podanie złożył. Nie dostarczył jednak zaświadczenia o stanie swojego zdrowia, czego wymaga obecna ustawa. Na konferencji prasowej w SN wyjaśnił, iż takiego zaświadczenia nie złoży, tym bardziej że prośba o jego dostarczenie wyszła z Krajowej Rady Sądownictwa bez daty na odpowiedź. W tym momencie widać było wyraźną satysfakcję ze strony sędziego, wytykającego formalny błąd ze strony KRS, z pewnością obcej mu ideowo i koleżeńsko.

Konferencja prasowa, którą tu przywołuję, pokazała butę „kasty” niekryjącej osobistej satysfakcji z tak rozegranej taktycznej walki o utrzymanie starych zapisów regulujących funkcjonowanie SN. Jak będzie się rozwijać ta kuriozalna sytuacja, trudno przewidzieć, pamiętając wcześniejsze słowa prezydenta RP, że „nie ma żadnej decyzji w sprawie prezes Gersdorf i nie będzie, dlatego że ustawa przesądza tę sprawę jednoznacznie”. Dodajmy: ustawa, która przenosi panią prezes w stan spoczynku. Ergo nie może być czynnym sędzią, tym bardziej prezesem SN, osoba, która przeszła w stan spoczynku.

Z rozczarowaniem należy też odnotować obecność I prezes na uroczystości zakończenia roku akademickiego

na Uniwersytecie Warszawskim. Jej wystąpienie stało się pretekstem do krytyki rządu i ustawy o SN. Studenci usłyszeli słowa o „końcu pewnej epoki w sądownictwie”, „brutalnie przerwanej kadencji”, „kryzysie państwa prawnego”, „czystce pod pozorem zmiany wieku emerytalnego”. Przekonywała też, że „tak zwany suweren nie może niszczyć zasad wpisanych do konstytucji”. Nie wiem, co pomyśleli sobie studenci, słysząc o „tak zwanym suwerenie”. Czy podzielają zdanie pani profesor prawa, wypowiedziane zresztą już dużo wcześniej (pisałem także o tym), że „suwerenem jest konstytucja, a nie naród”? Czyli według tej „oryginalnej” konstrukcji prawnej pani profesor nad narodem stoi konstytucja, której naród ma strzec i czytać się w nią jak w Biblię, a gdy będzie chciał ją zmienić, to w taki sposób, aby jej nie naruszyć, gdyż zdaniem pani profesor „konstytucja określa prawa narodu i w sensie prawnym ustanowiła pojęcie narodu i jego prawa, a także reguły zmiany konstytucji”. Zgoda co do ostatniego sformułowania. Nowe przepisy o SN mają swoją legitymację w konstytucji, czego nie chce dostrzec pani była prezes. Poprzednie uwagi zaś to prawniczy bełkot, który miesza w głowach studentów podstawowe kwestie ustrojowe. Dlatego trzeba przypomnieć, że „Konstytucja jest najwyższym prawem RP” (art. 8 Konstytucji RP), ale „władza zwierzchnia należy do Narodu” (art. 4 Konstytucji RP). Suwerenem jest zawsze naród i tylko naród może zmienić swoją konstytucję oraz zawarte w niej prawa. Inaczej naród nie mógłby się twórczo rozwijać. Nawet autorzy Konstytucji 3 maja zapowiadali, że po 20 latach jej treść powinna być dopasowana do nowych wymogów, tak aby oddawała współczesnego ducha narodu. ▲

Elita motłochu

José Ortega y Gasset dawno zdefiniował chorobę, której objawy zauważa teraz więcej obserwatorów. Rzecz ma się jak z masową zarazą – kiedy mówią o niej prorocy, zwykle uchodzą za głupców, kiedy zauważają ją już zwykli ludzie... jest za późno.

W „Buncie mas” Gasset przewiduje, jakie będą efekty duchowej stagnacji Europy, rozumianej jako przestrzeń cywilizacyjna. Lenistwo duchowe przyniesie rządy motłochu, najbardziej zwyrodniałych odpadów wcześniejszej cywilizacji. Mówiąc dziś o takich diagnozach, można się spotkać ze wzruszeniem ramion u większości słuchaczy, wszak to dzisiaj oczywistość. Europę coraz tłumniej zaludniają zombie – pół ludzie, pół trupy. Osoba martwa duchowo jest półtrupem, gdyż nie dochodzi w niej do wrażliwości na podstawowe tchnienia metafizyki, które nadają ludzkiemu życiu ten dyskretny, ale opisywany w literaturze, obrót.

Gasset okazał się prorokiem i przewidział nową formację społeczną. Nie dociągnął jednak swojej myśli do jej najbardziej – dziś – zajmującej esencji. Otóż nie da się rządzić przy pomocy samego jedynie motłochu. Nawet motłoch musi do władzy delegować swoich reprezentantów. Oni z czasem tworzą swoją elitę: elitę motłochu. Właśnie żyjemy w epoce, gdy motłochy różnych europejskich nacji zjednoczyły się

i przejęły kierownicę kontynentu. Cechą specyficzną elity motłochu jest powtarzanie zdań, które motłochowi podobają się najbardziej. Drugą cechą, która specyficznie różni „elitę motłochu” od elity po prostu, jest programowe dążenie do urzędzenia się na koszt publiczny. Jednym słowem – wszyscy muszą ponosić koszt funkcjonowania przedstawiciela motłochu.

Elita motłochu szczególnie wyraźnie wykształciła się w państwach „postkolonialnych”. Tam wpływy metropolii gwarantowane są przez kooptowaną „elitę”, czyli kompradorów gotowych do spółkowania z każdym, kto jest w stanie za to płacić. W tym odruchu elity postkolonialne nie tylko są elitami motłochu, lecz mają także specyficzne cechy charakteryzujące profesję kurtyzan. Trochę buntujemy się przeciwko stawianiu nas w jednym rzędzie z formującymi się państwami afrykańskimi, ale niestety są to emocje nieoddające stanu faktycznego. Przyglądając się sytuacji wokół prezes Sądu Najwyższego, dochodzę do wniosku, że właśnie mamy do czynienia z buntem elit motłochu. Nie przybiera on imponujących liczebnie obrazów, gdyż elita... to elita jednak. Mówiąc krótko – Gasset napisałby dziś: elity motłochu, które sprawują władzę w imieniu zwycięskiego motłochu, nie poddają się mechanizmom demokracji. Wydzwignięte na piedestał nie pogodzą się z tym, by zostały z niego usunięte. /



**Witold
Gadowski**

Na rozdrożu

11 lipca. Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej. Gdy wiele lat temu na specjalnym koncercie dla sędziwych kresowiaków pierwszy raz wykonałem balladę „Wołyń 1943”, nie spodziewałem się aż tak emocjonalnych reakcji. Widok lez płynących po policzkach starych kobiet i mężczyzn tak mnie poruszył, że nie byłem w stanie ukończyć pieśni. Ale oczy zaszkliły się również wielu młodym ludziom. A ja sądziłem już, że asertywnym do bólu, wychowanym na pokemonach małym obce są takie wzruszenia. I wtedy uwierzyłem w sens pracy u podstaw, pod prąd „europejskim” trendom...

Wiele wyjaśniła mi lektura wpisów młodych internautów na YouTube pod moimi (robionymi ad hoc) patriotyczno-historycznymi „teledyskami”. W komentarzach do Wołynia, Katynia, Monte Cassino, Pileckiego, „Roja” czy „Honoru” młodzież otwarcie i wrażliwie deklaruje swoją polskość oraz przywiązanie do tradycji. Bo Polacy

– w odróżnieniu od innych europejskich nacji – nie muszą się wstydić swojej historii i zapierać swej narodowości. Nigdy nie byliśmy bezwzględna, kolonialną tyranią, nie wywołyaliśmy światowych wojen, nie budowaliśmy gułagów ani obozów śmierci. Przeciwnie, pomagaliśmy prześladowanym ofiarom i pierwsi walczyliśmy z ludobójczymi totalitaryzmami. Zwykle to nas rabowano, mordowano, zdradzano.

Dziś, gdy większość europejskich społeczeństw ma bardzo niską samoocenę (efekt postkolonialnego/posttotalitarnego kompleksu winy?) i na siłę „ubogaca się” desantem multikulti, młodzi Polacy mogą być dumni z heroizmu swoich przodków. Ciężko doświadczeni przez komunę i faszyzm, odporni na utopijne eksperymenty – będziemy liderem odradzania się Europy. O ile polski rząd (zwłaszcza MEN i MKiDN) – mądrzejszy o błędy UE – wesprze oddolne działania i w sposób atrakcyjny oraz kompleksowy zadba o patriotyczne wychowanie młodzieży. Wbrew antypolskiemu mainstreamowi! /



**Lech
Makowiecki**

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Przeczytajcie Śliwerskiego

I mamy „konstytucję dla nauki”. Świadomie użyłem cudzysłowu, bo taka pisownia, jaka konstytucja. No cóż, chciał się Gowin ustawić w jednym szeregu z Kudrycką i Kolarską-Bobińską, to stoi. Jego wybór i nasza strata. Partyjność wygrała z rozsądkiem. A wicepremier przypomina mi jednego z sąsiadów z dzieciństwa, który mawiał do rodziny: „Powiedziałem, że tak będzie, to tak będzie!”.

Tymczasem nowe prawo zdaje się zupełnie nie załatwiać kilku najważniejszych spraw i tylko wywraca całość do góry nogami. A że Senat ustaw(k)ę przyklepie, nie mam wątpliwości. Nadzieja w prezydencie, ale i on, zdaje się, da sobie spokój z wetem, bo ma na głowie referendum i sądy. Jedną z takich niezalatywanych ustawowo kwestii jest sprawa stopni uzyskiwanych przez Polaków za granicą. I nie idzie tu o stopnie naukowe przywiezione ze stypendiów i staży w USA, Niemczech czy Skandynawii, ale o te bardziej swojskie, w dziwny sposób pozyskane na Ukrainie, Słowacji, a podobno teraz jest już nowy kierunek – Bułgaria. Całość polega na tym, że wszelkiej maści i wielu dyscyplin naukowych nieudacznicy, których tu nikt jako uczonych poważnie nie traktuje, czasami zwykli lenie, a pospolu rozmaici cwaniacy i oszuści przystępują do uzyskania (w zasadzie to kupienia!) stopni naukowych u sąsiadów z dawnych demoludów, a nasze prawodawstwo niemal automatycznie, na podstawie umów międzynarodowych, uznaje im tak zdobyte stopnie i tytuły. Nie muszę dodawać, że habilitacja (tzw. docentura) na Słowacji to w porównaniu z naszymi wymaganiami bułka z masłem, która udaje tylko wytworny obiad w dobrej knajpie. Jeśli ktoś pragnie mocnych wrażeń a la kryminał, horror czy thriller, to niechaj sięgnie po najnowszą książkę wybitnego badacza społecznego, humanisty i pedagoga prof. Bogusława Śliwerskiego. Tenże autor książką „Turystyka habilitacyjna Polaków na Słowację w latach 2005–2016” (Łódź, 2018) dostarczy najmocniejszych wrażeń, nastroju grozy przeplatanej z tragifarsą i wielu decydujących, piewcom nowej ustawy wciśnie rękę do nocnika. Śliwerski, precyzyjnie przedstawiając wszelkie możliwe dane liczbowe, reprodukcje dokumentów, statystyki, daty, nazwiska etc., ukazuje proceder zadziwiająco podobny do działań mafijnych. Jak pokazuje i udowadnia autor, „ścieżka słowacka” to wynalazek poczyniony „na szybko” dla byłych prominentów partyjnych, oficerów służb specjalnych i zuchów z dawnego LWP. System się sypał, no to Kwaśniewski podpisał z ościennymi państwami stosowne umowy o automatycznej uznawal-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Renomowane uniwersytety nie
zatrduniają takich dziwadeł.
Ale i tak mają one na swoje
„tytuły” rynek zbytu*

ności (bez nostryfikacji) wszelkich dyplomów. I tak pułkownicy oraz wielu, wielu towarzyszy stało się w krótkim czasie doktorami, doktorami habilitowanymi, a nawet profesorami. Niekiedy, a wcale nierzadko, w zakresie nieistniejących w polskim prawodawstwie dziedzin. Zaroiły się nimi prywatne uczelnie (które teraz dostaną z mocy ustawy kolejne wsparcie prawne) i inne instytucje naukowe. Najbardziej renomowane uniwersytety nie zatrudniają takich dziwadeł. Ale i tak mają one na swoje „tytuły” spory rynek zbytu, a co gorsza – kształcą stadami młodzież.

Z niezwyklej i odważnej książki Bogusława Śliwerskiego, dotyczącej kuriozum i dobrze trzymającego się postkomunizmu naukowego, można wysupłać „megakurioza”. Takie jak przy-

padek jednego księdza, który przy pomocy słowackich „rad naukowych” z uniwersytetu w Ružomberku zrobił najpierw doktorat, a po dwóch miesiącach habilitację. W kwietniu wyjechał z Polski jako magister, a w czerwcu wrócił jako doktor habilitowany i otrzymał stanowisko profesora (nie mylić z tytułem profesorskim). Inny zuch z kolei po nieudanych w Polsce próbach otwarcia przewodu doktor-

skiego pojechał na Słowację i po roku wrócił, a jakże!, z habilitacją. Ale by było ciekawiej, magisterka, doktorat i habilitacja to były prace pod identycznym tytułem. Oczywiście został rektorem w prywatnej uczelni stołecznej i pozuje do zdjęć w sobolach oraz z rektorskim berłem. Myli się ten, kto myśli, że ten „naukowy” i oszukańczy proceder dotyczy tylko pedagogów. Nic z tego. W ten bowiem sposób przybyło nam teologów, znawców nauk o zdrowiu (nie mylić z naukami medycznymi!), pracy socjalnej, socjologów, nauk o poznaniu i komunikacji społecznej (!!), nauk o kulturze fizycznej, o zarządzaniu, ekonomii, inżynierii materiałowej, o bezpieczeństwie, inżynierii produkcji, matematyki, językoznawstwa, fizyki, biologii czy religioznawstwa. Pedagogika nie jest wcale reprezentowana w przewodzie.

Jest jeszcze coś. To magiczny tunel na trasie Słowacja–Polska. Wystarczy przezeń przejechać i następuje przemiana. Oto lekarka, która zrobiła habilitację z pracy socjalnej, po powrocie do Polski już przedstawiała się jako „prof. nadzw. nauk medycznych”. Cudowna przemiana? Ale to tylko jeden przykład, bo wierszówka mi się bezlitośnie kończy. Przeczytajcie więc tę książkę! Omawianego wątku ustawa 2.0 specjalnie nie załatwia. Idzie więc nowe, ale stare chyba trzyma się mocno.

PRZESWIETLIK

Gangsta na legalu



Moda na organizowanie oryginalnych urodzin i imprez sprawiła, że czasami zdarza mi się zagościć na strzelnicy. Kiedyś, jako dziecko, jeździłem nawet bez większych sukcesów na jakieś zawody międzyszkolne, na których strzelaliśmy z wszędobylskich wówczas kabekaesów. Zapewne zła dieta i stresy sprawiają, że dziś mam pewien kłopot z trafieniem w czarną, środkową część tarczy, ale z pomocą przychodzi mi globalizacja. Amerykańskie strzelby śrutowe, które jeszcze niedawno podziwialiśmy tylko na filmach, teraz nawet niedowidzącemu z trzęsącymi się rękoma pozwalają w minutę zrobić z tarczą to samo, co wytrawnemu snajperowi. Mimo że strzelanie to rzecz generalnie przyjemna, miałem raczej dystans do powszechnego uzbrojenia społeczeństwa, a przynajmniej w natychmiastowej, bezrefleksyjnej formie, jak postulują to skrajni liberałowie.

Jakkolwiek by patrzeć, dziś jesteśmy jednym z najbezpieczniejszych krajów Europy, mamy bardzo małą liczbę incydentów (jak na Zachodzie nazywa się zamach terrorystyczny, w którym ginie kilkadziesiąt osób) z bronią palną. Mimo że ulica warszawska wcale do mało kolorowych nie należy, nie mamy terroryzmu, a liczba gangów i rozmaitych grup bandyckich jest poniżej regionalnej normy. Nawet liczba częstych niegdyś notek, że „konkubina konkubenta przy użyciu noża...” jakby spadła. Po prostu w Polsce jest stosunkowo spokojnie, a gdy u nas coś działa, to lepiej tego nie zmieniać i zajmować się tym, co nie działa.

Do tej pory w miarę wierzyłem więc w to, że dobrze uzbrojona policja powinna nam wystarczyć na czas pokoju, a sprawna armia, sojusze i przeszkoleni, ale niekoniecznie zasuwający na co dzień z glockiem pod pachą obywatel – to będą najskuteczniejsze opcje na czas wojny. W zeszły wtorek cała ta moja wiara została jednak wystawiona na próbę, bo oto zbliżają się zmiany i – jak śpiewała Sława Przybylska – „wy jeszcze nie wiecie, co komu pisane i kto będzie żył”. Jak się okazało, Lech Wałęsa nie dość, że jest uzbrojony, i nie dość, że w dodatku jest legalnie uzbrojony, to wprost zapowiada, iż ze swojej broni zrobi użytek. Oczywiście gdy będzie musiał. Czyli jak mu policjant wejdzie w drogę.

Swego czasu raper Ice-T z zespołem Body Count nagrał płytę „Cop Killer”, na której odtwarzał m.in. z aprobatą fikcyjną scenę zabójstwa policjanta rasisty. Przeciwno nagraniu protestował nawet starszy pan Bush, ówczesny prezydent, dzięki czemu Ice-T sprzedał kilka razy więcej płyt. Tyle że twórcy gangsta rapu wychowywali się w amerykańskich przestępczych gettach i żaden z nich nie ma Nobla. Tymczasem z uwagi na szczególny autorytet Lecha Wałęsy, który sprawiał, że powoływano się na niego choćby podczas ostatniej debaty parlamentarnej z udziałem polskiego

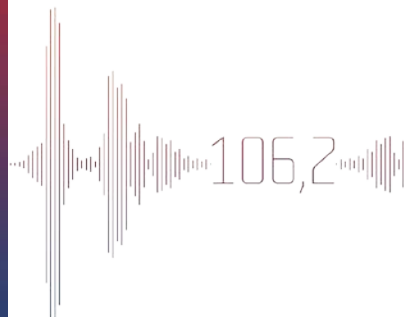
premiera, wygląda na to, że mamy do czynienia z w pełni akceptowaną normą. Wałęsa jak Timothy Dalton w Bondzie ma od Unii Europejskiej licencję na zabijanie, choć nie wiem, czy takie przywracanie właściwego porządku konstytucyjnego opisano w którymś ze wzniosłych aktów normatywnych.

Tylko co z biednymi policjantami? Kilku z nich to moi koledzy. Co mają zrobić, gdy były prezydent zacznie strzelać (jemu przecież nie wolno nawet zwrócić uwagi, że to niewłaściwe, bo byłoby to prześladowanie polityczne)? Trudna sytuacja. Wyjście jest jedno i w związku z tym mam do pana ministra Brudzińskiego oraz policji prośbę: poproście grzecznie Wałęsę, by oddał broń, a jeśli nie odda, to po prostu uzbrojcie całe społeczeństwo, aby mogło się przed nim bronić. Nietypalny furia z bronią, nawet jeśli to się mieści w normach europejskich, to jednak sytuacja niebezpieczna i wyjątkowa.

Wiktor Świątlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

30.05/18/F



JAN POSPIESZAŃSKI

Napotkana podczas wakacyjnych wędrówek rodzina Polaków z Oslo zwierzyła się, że rozważyła powrót do kraju.

Głównym powodem jest pragnienie ochrony córki przed deprawacją, jaka dzieje się tam za sprawą (sub)kultury, mediów, przy wydatnym wsparciu państwowego systemu edukacji.

W Norwegii dzieci już od szkoły podstawowej poddawane są obowiązkowej edukacji seksualnej, w której brak jakichkolwiek odniesień moralnych. Nacisk położony jest na antykoncepcję, techniki, anatomie, przy jednoczesnej indoktrynacji ideologią LGBT...

Gdy dziewczynka była młodsza, rodzice mieli naturalny autorytet, czasami dopytywała tylko, dlaczego ona ma jedną mamusię i jednego tatę. Koleżanki w klasie mają zwykle dwóch tatusiów, dlatego jest więcej dziadków i więcej prezentów. Ostatnio córka po przyjściu ze szkoły oświadczyła butnie, że jeżeli rodzice będą mnożyć wobec niej zakazy i wymagać zbyt wiele, ona ma prawo, jak każde dziecko w Norwegii, wystąpić o ochronę państwa i wymienić sobie

rodziców na innych, lepszych, takich, którzy będą pozwalali na więcej.

Moi rozmówcy zdają sobie sprawę, że jeśli zostaną w Norwegii, nawet mimo ogromnego wysiłku z ich strony mają mniejsze szanse niż w Polsce, by córka wytrzymała przy chrześcijańskich wartościach. Presja otoczenia, szkoły, grupy rówieśniczej jest tak wielka, że czują się w tej walce przegrani.

Dla przykładu opowiedzieli o pewnym norweskim zwyczaju – o obchodach święta Russ. Przypomina to trochę nasze juwenalia. Jest połączeniem dziwnych rytuałów inicjacyjnych z karnawalem, podobnym do zabaw organizowanych ostatnio na polskich wieczorach kawalerskich. Od końca kwietnia do 17 maja maturzystów ogarnia szaleństwo.

Dawne zabawy uczniów i czeladników, które kiedyś polegały na przebieganiu się w stroje robocze, malowaniu twarzy, włożeniu się gromadami po piwiarniach, robieniu mniej lub bardziej dokuczliwych kawałów i wyznaczaniu sobie nawzajem trudnych w realizacji zadań oraz zdobywaniu punktów, dziś zamieniły się w powszechne picie i seks bez ograniczeń.

W wynajętych przez szkolne rady rodziców autobusach – dyskotekach, które krążą po mieście, odbywają się zawody seksualne: która z uczennic będzie miała więcej partnerów. Dla tych, którzy chcą mieć dodatkową dawkę adrenaliny albo gdy na tym polega narzucone przez kolegów zadanie, autokary zatrzymują się na rondzie, a dzieciaki publicznie kopu- lują na klombach w środku miasta.

Azyl przed deprawacją

W Polsce mamy studniówkę z polonezem, w Norwegii są picie i orgie. Te „uczniowskie igraszki” dzieją się za wiedzą rodziców i nauczycieli, przy powszechnej akceptacji społecznej. Dziś córka moich rozmówców ma 12 lat, ale rodzice nie wiedzą, czy za sześć lat ich ukochane dziecko będzie miało tyle odwagi i siły (czy w ogóle będzie chciało), aby wyłamać się i nie uczestniczyć w przedmaturalnych harcach. Wobec państwowej, zinstytucjonalizowanej deprawacji rodzice nie mają szans. W Norwegii nie istnieje coś takiego jak edukacja domowa. Poza tym dziecko jest własnością państwa i systemu. Rodzice niewiele mają do powiedzenia.

Niepokój moich rozmówców jest zrozumiały, ich nadzieja, że w Polsce będzie w miarę normalnie, bo wiara silna – myślę – jest uzasadniona. Ale jak długo potrafimy utrzymać tę normalność?

Obserwacja trendów w zachodniej Europie nie pozostawia złudzeń. Antyklerykalna fobia obecnych władz Hiszpanii, przegłosowanie w Irlandii homomalżeństw i zniesienie ochrony życia, demolka nauczania Kościoła w wielu dzieciach zachodnioeuropejskich pokazują triumf neopogaństwa, szczególnie w kwestiach etyki seksualnej i kondycji rodziny. Ten nurt zniszczenia idzie równoległe z procesem „modernizacji” Kościoła. Postulowane przez neomarksistów wyzwolenie natury ludzkiej odbywa się przez zniesienie praw moralnych. A Kościół, który nie chce być solą ziemi, bo woli być słodzikiem, nie zatrzyma fali zniszczenia.

wSIECI

HISTORII

Szukaj w kioskach!



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU. WWW.FACEBOOK.COM/WSIECIHISTORII



Wałęsa nie robi korekty

– Panie prezydencie, co pan wyczynia?! Lufę do góry! Strzeli pan sobie w stopę, zanim ruszy na Warszawę! – ostrzegł Lecha Wałęsę jego były ochroniarz z początku lat 90., a wcześniej funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, „opiekujący się” byłym przywódcą „Solidarności” podczas jego internowania w Arłamowie. Dziś spec uczący strzelania, właściciel firmy zatrudniającej instruktorów tej jakże, jego zdaniem, przydatnej w naszym życiu specjalności.

Lech Wałęsa stał na strzelnicy naprzeciwko tarczy w szerokim rozkroku, niczym Cristiano Ronaldo przygotowujący się do oddania strzału z wolnego, spoza polakarnego bramki przeciwnika. W rękę trzymał złocistego Glocka 19X skierowanego lufą w dół. Tarczą była wykrojona z dykty sylwetka policjanta, z wymalowanymi akcesoriami – hełmem, tarczą i pałką – typowymi dla funkcjonariusza prewencji ochraniającego budynek Sądu Najwyższego.

Po próbnym wypróbnieniu pełnego magazynka zawierającego 15 pocisków namalowany policjant odniósł kilka niegroźnych ran – dwie w prawe udo i jedną w ucho po tej



**Jerzy
Jachowicz**

samej stronie. Pozostałe kule podziurawiły teren poza tarczą. Eksprezydent najwyraźniej był gotowy do oddania kolejnej serii, kiedy instruktor poprosił o przerwę w strzelaniu i o glocka.

– Muszę panu powiedzieć prawdę. Zauważyłem rzecz niedopuszczalną. Jeszcze nie wybrał pan celu, a już trzyma rękę na spuście. Martwi mnie też pana rozrzut. Dużo to mało powiedziane. To szalony rozrzut. Ponadto lufa zbyt szybko się rozgrzewa. A to znaczy jedno – strzela pan do zbyt wielu celów jednocześnie. To nie wszystko. Za często pan strzela, dlatego zużyły się panu gwinty w przewodzie lufy. Stąd tak wiele pudeł.

– Mówisz pan ciągle o tej lufie, jakby to była głowa.

– To jeszcze tylko jedna uwaga. Nie o lufie. Skąd u pana skłonność do ustawiania oświetlenia lewym reflektorem? Przy takim oświetleniu lewa strona muszki robi się jaskrawa i pozornie szeroka. To sprawia, że celuje pan prawą muszką, a pociski lecą tylko w prawą stronę.

– Panie, w tym wieku nie będę robił korekty. Ot co! 

CO MNIE WZRUSZA

Książki słuchane cd.

Często sięgając do książek słuchanych, widzę – nie, przepraszam: słyszę – jak ważną rolę w dobrym zrozumieniu tego, co słucham, odgrywa lektor.

Słuchałam wspomnień Jarka Abramowa. Pierwsza część mówi o wczesnych jego losach, o narodzeniu i rodzicach. O tym, co się działo przed wojną 1939 r., o obłężeniu Warszawy i przeżyciach okupacji. Bardzo ciekawe wspomnienia, doskonale czytane przez Zbyszka Zapasiewicza. Jego kolegę z żoliborskiego podwórka. Znałam go dobrze. Był moim kolegą w zawodzie. Nie wiedziałam, że w dzieciństwie przeżywał go „Słoń”. I ten „Słoń” tak pięknie przypomniał mi losy dzieci sprzed wojny i okupacji.

Druga część dotyczyła czasów studenckich Jarka Abramowa. Powstawania STS, czyli Studenckiego Teatru Satyryków. Ukazywała bohaterów młodzieżowych organizacji, wspaniałych poetów, rodzące się przyjaźnie, ale i to, co działo się w naszej ojczyźnie w 1968 r. Studenckie bunt. Postacie wydobywane były z mroków mojej pamięci. Konfrontowałam je z moimi wspomnieniami. Część z tych bohaterów to moi koledzy – aktorzy ze szkoły teatralnej. Przypominały mi się czasy walki z cenzurą, różne śmieszne sprawy, a wtedy może poważne i tragiczne. Zbyszek już nie czytał drugiej



**Katarzyna
Łaniewska**

części. Nie przeszkadzał mi lektor. Fascynowałam się wspomnieniami.

W książce słuchanej prowadzę czasem dyskusję z lektorem. Słuchałam wspomnień mojego kolegi, cudownego i wielce utalentowanego w różnych dziedzinach aktora – Andrzeja Zaorskiego. Stykałam się z nim w pracy i podziwiałam za mnogość talentów – dowcip, wdzięk i działalność w Polskim Radiu oraz piosenki. Wspomnienia Andrzeja są pisane po jego chorobie, wylewie – zaczynaniu życia od początku. Książka, która nosi tytuł „Ręka, noga, mózg na ścianie”, nie traciła nic z autentyczności. Żałowałam tylko, że nie słyszę jego głosu. Ciągle

wracałam do wspomnień – ciekawa, co będzie dalej. Denerwował mnie lektor, który nie wymawiał litery „z”. Takie rzeczy nie powinny się znajdować na nagraniu. Jak daleko było mu do tego, gdyby sam Andrzej mógł przeczytać swoją książkę.

Słuchając różnych lektorów, również moich kolegów – aktorów, stwierdzam, że są najlepszymi przenośnikami tego, co autor chciał do nas powiedzieć. Ci dobrzy aktorzy, którzy nie potrzebują się wyżyć tutaj, bo zagrali już wiele ról i grają nadal. To trudna i żmudna praca, ale dająca satysfakcję tym, którzy słuchają.

Słyszałam pięknie czytającą panią Polony, Halinę Łabonarską czy Jurka Zelnika. Za to im serdecznie dziękuję. 



TRENDY I OWĘDY

Bramka z siatką

*Bramki na stadiony w Rosji
dostarczyła polska firma
z Chwaszczyna*

Mistrzostwa świata w piłce nożnej popsuły nam humor. Mieliśmy wybudowane oczekiwania i jednego z najlepszych zawodników świata. Raptem kubłem zimnej wody okazało się to, że na tle piłkarskiej czołówki wypadamy patalachowato.

Zawsze gdy przechodzę obok współczesnych boisk komunalnych, targa mną zazdrość. Szczególny podziw wzbudzają bramki z siatkami. To jest luksus niebywały. Za tzw. moich czasów bramkę robiło się z dwóch tornistrów lub grało się na szkolnym boisku do piłki ręcznej. Na tym boisku bramki były albo z metalowych prętów, albo – jak w liceum w Aninie – miały drewniane obicie. Permanentnie brakowało siatek. Strzelenie gola z jednej strony cieszyło, a z drugiej – zmuszało do zasuwania po piłkę często dosyć daleko. Oj, marzyło się o piłce łopoczącej w siatce. Ech! Tym bardziej trudno zrozumieć, że z pokolenia „orlikowego” nie udało się stworzyć reprezentacji na miarę naszego uświęconego tradycją pobrzękiwania szabelką.

Żeby nie wpaść w meandry futbolowej frustracji, warto kultywować informację wpędzającą w niebywałą dumę. W czasach innowacyjności i start-upów okazało się, że firma na Kaszubach ma taki prozaiczny produkt jak bramki, ale w takim sorcie, iż biją na głowę wszelką konkurencję. Serce rośnie! Tak, proszę państwa! To my (sukces, wiadomo, jest wspólny) dostarczyliśmy bramki na mistrzostwa w Rosji! I w finale też będziemy! I to łopotanie piłki w siatce będzie nasze, nasze, nasze!



**Ryszard
Makowski**

Zawistowski prezentuje: **Spoczynek**



Wycinki z przeszłości

Słowo „wakacje” trwale wyparło już z języka polskiego „letnisko”. A szkoda, bo miało ono swój urok, wiązało się ściśle z długim pobytem na wsi. Pismo „Kobieta w świecie i domu” z 1933 r. przynosiło taką uwagę:

„Wyjeżdżając na letniska, jesteśmy z reguły optymistycznie nastawieni do naszego nowego miejsca pobytu. Różowe okulary zawiodą nas już często po kilku dniach. Uroczą sielskość staje się lichym i prymitywem, zaczynamy widzieć mnóstwo wad i braków.

Jako klasyczny przykład można przytoczyć wiejskie kuchnie. Przywykłe w mieście do gazu i dobrych kuchen węglowych, nie wyobrażamy sobie, jaką nieprawdopodobną lichotą są owe twory domorosłego, wiejskiego zduństwa. Ile się z taką kuchnią trzeba namęczyć, ile nerwów napsuć, ile nakłócić – o tem się wie dokładnie po kilku tygodniach pobytu na wsi.

Jeżeli widzimy, że z kuchnią »wpadliśmy«, należy natychmiast temu zaradzić w sposób nietrudny, wystarczy bowiem sprowadzić zaraz kuchenkę spirytusową i »tragedja kuchenna« skończy się bezpowrotnie. Niezależnie od brudnego, grymasnego pieca kuchennego, gotując na spirytusie – będziemy naprawdę wypoczywały”.

Swoją drogą, gdyby dzisiaj wiele pań usłyszało, że na wakacjach ma gotować, a nie stołować się w stołówce, barach, restauracjach, to dopiero rozegrałaby się „tragedja”.

(mk)



Z piosenką na lato

Kwiecista zwiewna twa sukienka
I tamto lato sprzed tylu lat?
Ach, popatrz, wszystko to pamiętam
Czuję na twarzy tamten wiatr...
– Rzeźby obłoków, nieba błękit
Wyraźnie każdy szczegół trwa
I niecierpliwość mojej ręki
i twoje – n i e
I twoje nie i twoje – t a k



Leszek Długosz

I doprawdy, przecież było tak?
Ja ten obraz wciąż w pamięci żywy mam
– Gdy na kwiecistej twej sukience
Rumieńcem płonął po raz pierwszy
Każdy kwiat

Ach, coś już przeszło, coś się zmierzchno
I coraz dalej tamte dni
Na dnie szuflady twa sukienka
W klębek zwinięta dawno spi

Cóż, „życie życie” ludzkie sprawy
Na niebie znów żurawi klucz
Na szmatki poszła twa sukienka którejs jesieni
– Którejś jesieni znikła już
I to się skończyło nie inaczej, właśnie tak
Ja ten obraz wciąż w pamięci jeszcze żywy mam
– Pocięłaś kwiatki już na szmatki
Żeby posprzątać, żeby zetrzeć
– Żeby pościerać z mebli kurz

Ot historyjka, taka piosenka
Do rymu się doczepia rym
Taka muzyczna fotografia
Wyblakły urok dawnych chwil
– Rzeźby obłoków w niej i błękit
W zieleni jeszcze serca dwa
A chcesz, przypomnę jeszcze więcej?
– Ja gdzieś to wszystko w nutach mam...
I choć tyle już pozmieniał, tyle zabrał czas
Ja ten obraz wciąż w pamięci jeszcze żywy mam:
– Na ławkach mej pamięci jeszcze
Jeszcze wiruje, wciąż szeleści
Kwiecista zwiewna twa sukienka
I tamto lato
I tamto lato sprzed ilu lat?

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
w SIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Demokracja nieliberalna

Ostatni dzień czerwca 2018 r. był w Warszawie chłodny, deszczowy, nieprzyjemny. Ale to nie był jedyny powód, dla którego wybrałem się na konferencję filozofów polityki z Instytutu Studiów Politycznych PAN oraz UW zorganizowaną z inicjatywy prof. Pawła Kaczorowskiego.

CZAS NA DYSKUSJĘ

Temat konferencji = tytuł niniejszego felietonu. Referaty nie były za długie, a czasu na dyskusję sporo. Uczestników konferencji można podzielić na dwie grupy: obrońców demokracji liberalnej oraz jej mniej lub bardziej zdecydowanych krytyków. Spór toczono rzeczowo i uprzejmie. Ale brakowało czegoś, co nazwałbym wyobraźnią praktyczną.

ŻYWI KLASYCY

Nieustannie obecny jest wśród filozofów polityki styl rozważań, który polega na ciągłym przywoływaniu klasyków filozoficznej refleksji nad ustrojami politycznymi. Do teraźniejszości odnosimy się, cytując Platona, Arystotelesa, Johna Locke'a lub innego brytyjskiego Johna – Stuarta Milla.

Czyżby namysł klasyków dotarł aż do tak głębokich mechanizmów życia społecznego, że mimo ogromnego rozwoju, w tym technologicznego, ich opisy podstawowych mechanizmów władzy nadal zachowują swoją aktualność? Wątpię.

ESTETYKA POLITYKI

Czyż donioślejsze poznawczo nie byłoby prowadzenie namysłu w bliskim kontakcie z tym, co w polityce dzieje się obecnie? Z tym, co wyłania się w świadomości masowej? Masy wprowadzić ułudom ulegają – z tym pewnie wszyscy konferencjusze by się zgodzili. Ale co do tezy, że filozofowie też bywają więźniami intelektualnych fikcji, to już pewnie nie dałoby się zgody uzyskać.



*Mamy do czynienia z czymś
więcej niż tylko z kryzysem
w demokracji Zachodu.
To już co najmniej kryzys tej
demokracji, a być może nawet
jej zmierzch*

Nawiązujemy do badań empirycznych (socjologicznych, ekonomicznych, historycznych etc.) – one pogłębią interpretację praktyki. Uchronią przed konkluzjami typu – powiem zjadliwie – demokracja liberalna jest dobra, bo jej teoria jest głęboka i piękna...

NIELIBERALNA JEST MOŻLIWA?

Czy na pewno rozumiemy, jak faktycznie działa demokracja w takich krajach jak Indonezja lub Malezja? Przecież najpoważniejsi zachodni badacze spierają się, w jakim stopniu u nas, na Zachodzie, demokracja liberalna jest niespełnionym (niespełnialnym?) projektem, a na ile – i dla jakich grup – rzeczywistym doświadczeniem społecznym. Jeśli badacze ci są w jakiejś kwestii zgodni, to najpewniej byłaby to teza o narastającym chaosie interpretacyjnym.

W jednym z referatów przytoczono głosy znanych autorów, że demokracja

inna niż liberalna nie jest możliwa. Bo albo jest liberalna, albo demokracją w ogóle nie jest.

Po serii krytycznych dla demokracji liberalnych wystąpień jedna ze zwolenniczek tej formy ładu życia zbiorowego celnie zauważyła, że wreszcie chciałaby się dowiedzieć, na czym w praktyce miałyby polegać owa – tytułowa dla konferencji – demokracja nieliberalna. W tej kwestii pozostał niedosyt.

DEMOKRACJA MERYTORYCZNA?

Na pewno mamy do czynienia z czymś więcej niż tylko z kryzysem w demokracji Zachodu. To już co najmniej kryzys tej demokracji, a być może nawet jej zmierzch. Jeśli światu grozi zwycięstwo jakiejś formy autorytaryzmu – np. cyfrowej, śmiało wprowadzanej w Chinach – to filozofowie mają zadanie nie lada. Być może, jeśli zawczasu nie przeżyjemy jakichś form demokracji nieliberalnej, to nie uda się uchronić świata przed brutalnymi wersjami autorytaryzmu.

W dyskusji przywołałem dociekania prof. Daniela A. Bella, dziekana Wydziału Nauk Politycznych i Administracji Publicznej na Uniwersytecie Shandong. Wskazał on, że w autorytarnym systemie chińskim występują obszary demokracji merytorycznej, polegającej na względnie zobiektywizowanym ocenianiu umiejętności i osiągnięć polityków. To motyw wart osobnego rozwinięcia przy innej okazji.

Na konferencji celnie przypomniano, że nazwa „demo-kracja” – rządy ludu – jest myląca. Tak naprawdę to lud nigdzie nie rządzi. Zawsze rządzą nieliczni. Ale lud może mieć na rządy mniejszy lub większy wpływ. Tu właśnie znajduje się punkt ciężkości.

Mamy dużo do przemyślenia, jeśli chcemy ocalić wolność (choć może nie tę oszalała w pogoni za bożkiem różnorodności, buzującą dziś na Zachodzie). Trzeba więcej takich konferencji. 

Andrzej Zybertowicz

TELEWIZJA
W POLSCE PL

Pilnujemy **Polski!**

Telewizja **wPolsce.pl**
właśnie obchodzi pierwsze urodziny.

Nadajemy 24-godzinny program,
w którym coraz więcej miejsca
zajmują tak lubiane przez widzów
magazyny z interesującymi gośćmi
i wyrazistymi prowadzącymi.



MAGAZYN KRYMINALNY,
CZYLI POLICJA, SŁUŻBY
I MAFIA OD KULIS



ROZMOWY
Z KOBIETAMI O TYM,
CO DLA NICH WAŻNE



GORĄCA Dyskusja,
MERYTORYCZNE STARCIE
ARGUMENTÓW



PROGRAM,
W KTÓRYM LICZBY
NIE KŁAMIAJĄ

OGLĄDAJ W



NA POZYCJI

196

Na wakacje dołącz do Sieci Przyjaciół

Zamów subskrypcję:

na **1** miesiąc

~~19,99 zł~~

tylko 9,99 zł



koszulka
RED IS BAD™
o wartości 103 zł

na **12** miesięcy

159,99 zł + prezent!



biała lub czarna do wyboru

www.SiećPrzyjaciół.pl